

MAGAZYN POMORSKI

MP

NR 28 (375) ROK 2017

CENA 5 ZŁ

**„Ojciec Mateusz”,
z Telekamerą
Teletygodnia**

Termika rozwija
się bez przeszkód

Gala Evening
Pracodawców
Pomorza

Alu International
Shipyard stawia
na wspólne cele
i nowe pomysły

**Hanna
Bakula
o sobie**

Kapitan Foka
– człowiek, który
daje słowo

***Rektor,
który
ma szczęście***

***Stocznia Crist
jedna z najlepszych w Europie***

ISSN 0667-8073



9 770667 807203

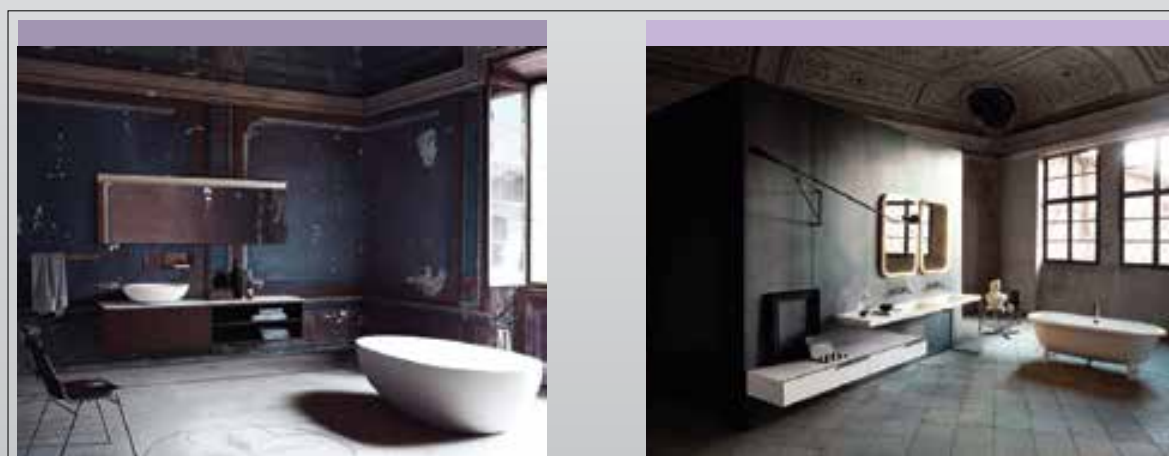


06>

Otwarcie nowej ekspozycji Agape w salonie Sanart



Agape to marka wyposażenia wnętrz dla odważnych klientów, ceniących prostotę i elegancję



Założycielem **HOLISTIC CLINIC** jest
dr n. med. Krzysztof Gojdz, jedyny w Polsce
certyfikowany lekarz, wykładowca oraz ekspert
American Academy of Aesthetic Medicine.

- Na antenie TVN, TVN Style – dr Gojdz w autorskim programie „**Niezwykłe przypadki medyczne**”.
- Autor bloga www.drgojdz.com
Dowiedz się jak dbać o siebie aby być zdrowym i młodym.

- **MEDYCYNĄ ESTETYCZNĄ I REGENERACYJNĄ**
- **KOSMETOLOGIA**
- **LASEROTERAPIA**
- **USUWANIE PRZEBARWIEŃ**
- **OSOCZE BOGATOPYŁKOWE**
- **KOMÓRKI MACIERZyste**
- **REWITALIZACJA MIEJSC INTYMNYCH**
- **LIPOSUKCJA ULTRADŹWIĘKOWA**

NAJLEPSZE
MIEJSCE
BEAUTY 2015



HOLISTIC CLINIC GDYNIA

Al. Zwycięstwa 241/6
81-521 Gdynia
tel. 796 771 170
www.holisticclinic.pl/gdynia

HOLISTIC CLINIC WARSZAWA

ul. Biały Kamień 3/U4
02-593 Warszawa
tel. 22 100 62 26, 603 482 484
www.holisticclinic.pl



INTELLIGENTNE DOMY:
fibaro-gdansk.com
+48 500 621 700
biuro@fibaro-gdansk.com

Instalator



<https://www.facebook.com/InstalatorFibaro>

**ZMIENIMY KAŻDY DOM
W INTELLIGENTNY**

Dowolna konfiguracja i prosta rozbudowa



System bezprzewodowy

**Bez kucia ścian
Instalacja w 1 dzień**

**Oszczędność energii do 30%
Sterowanie oświetleniem i roletami**

**Obsługa informatyczna firm
Systemy monitoringu**



USŁUGI IT
mmsystems.pl
+48 882 701 701
biuro@mmsystems.pl



NASZE ROZMOWY

- 6 Mam przedmiot pożądania muzeów na świecie – rozmowa z dyrektorem Muzeum Narodowego w Gdańsku Wojciechem Bonisławskim
- 16 Gdańsk to mój dom, chciałbym tu wrócić... – rozmowa z Jarosławem Wałęsą, europarlamentarzystą od 2009 roku
- 20 Rektor, który ma szczęście – rozmowa z prof. dr. hab. inż. Jackiem Namieśnikiem, rektorem Politechniki Gdańskiej
- 26 Stocznia Crist ma 27 lat – rozmowa z Ireneuszem Ćwirko i Krzysztofem Kulczyckim, założycielami stoczni, laureatami Złotego Oxera
- 30 Termika rozwój bez przeszkód – rozmowa z laureatem Złotego Oxera oraz jego synem Maciejem Sochackim, obecnym prezesem Termiki
- 34 „Szkuner” – w sztormie, ale wytrwale do przodu – rozmowa z Michałem Hernikiem, prezesem „Szkunera”
- 38 Kapitan Foka – człowiek, który daje słowo... – rozmowa z Mariuszem Grzędą, właścicielem Biura Usługowego Mario
- 43 Myśmy już swoje zrobili, ale mam nową pasję... – rozmowa z Janem Łabasem, twórcą Alu International, laureatem Złotego Oxera
- 45 Mam wspólne cele i coraz więcej pomysłów na rozwój firmy... – rozmowa z Katarzyną Szyber, prezes zarządu i dyrektor zarządzającą oraz Rafałem Smolnickim, wiceprezesem i dyrektorem zarządzającym Alu International Shipyard
- 52 „Ojciec Mateusz” nigdy nie był zagrożony... – rozmowa z Krzysztofem Grabowskim, producentem serialu nagrodzonego tegoroczną Telekamerą Teletygodnia
- 62 Gmina nie do poznania – rozmowa z Magdaleną Kołodziejczak, panią wójt gminy wiejskiej Pruszcz Gdański
- 66 Zawsze stolicą były Kartuzy... – rozmowa z Mieczysławem, Grzegorzem Gołuskim, burmistrzem Kartuz
- 70 Nieprawdą jest, że nie lubię mężczyzn... – rozmowa z Hanną Bakulą, pisarką, malarką
- 74 Adrenalina schodziła ze mnie powoli, przez cały tydzień! – rozmowa z Dorotą Miśkiewicz, wokalistką, skrzypaczką, kompozytorką
- 82 Mam czas – rozmowa z Izabelą Laskowską, Islet, wokalistką, autorką tekstów, ambasadorką kampanii „Mam Czas”
- 92 Bogusław Kaczmarek. Był piłkarzem, jest trenerem, a kiedyś uczył biologii w podstawówce – rozmowa z Bogusławem „Bobo” Kaczmakiem

AKTUALNOŚCI

- 10 Pomorskie – wiceliderem
- 11 Sukces Trójmiasta na Gali CEE Awards 2017
- 12 Przywrócić blask Ratuszowi Głównego Miasta i Dworowi Artusa
- 13 Portret gdańskiego mistrza w zbiorach muzeum
- 14 Stypendia dla twórców kultury
- 14 Rozbudowa węzła Kowale
- 15 Szukam optymizmu... w teatrze. Światło w tunelu – felieton Aliny Kietrys
- 22 Gala Evening Pracodawców Pomorza
- 33 Modernizacja na kolei
- 48 Urodziny po raz 91.
- 50 Jubileusz Pomorskiej Nagrody Jakości
- 56 Jeden z najsilniejszych trawlerów na świecie zwodowany w Naucie
- 57 Ekologiczny prom dla Finów ze stoczni Crist
- 58 Kolejny magazyn wysokiego składowania
- 59 Rekordy w gdyńskim porcie
- 60 Rafineria Lotos będzie najnowocześniejsza w Unii Europejskiej
- 61 Udany rok Portu Gdańskiego
- 65 Przeciwno ubóstwu i społecznemu wykluczeniu
- 69 Doroczne spotkanie konsułów honorowych
- 73 Prawdziwa pasja... zaczyna się od spotkania inspirującego człowieka
- 77 Letnia część trasy Forever Child Tour
- 78 Promieniowanie madame Curie
- 80 Gdańska Klinika Urody otwarta
- 81 170 tysięcy – donacja Rotary
- 84 Marka Wspiera Markę
- 86 Uśmiech dla dzieci
- 87 Forum Fracht 2017 pod honorowym patronatem dwóch ministrów
- 88 13 zł za godzinę pracy
- 89 Otwarte drzwi do biznesu
- 90 Biznes jak wyprawa w kosmos
- 95 Technologia dla europejskich sieci handlowych
- 96 Rośnie biznes paczkowy Poczty Polskiej
- 98 Grand Prix dla „Kaszubianek”
- 99 Już 10 lat „Przemek (pomaga) Dzieciom”
- 100 Młodzi, zdolni, ambitni
- 101 Literacki debiut roku
- 101 Program Inkubator Innowacyjności



22



55



58

MAGAZYN POMORSKI

Wydawnictwo Prasowe Edytor sp. z o.o.
81-596 Gdynia
ul. P. Gojawiczyńskiej 3/C/6
tel. +48 58 6 291 995
redakcja@magazynpomorski.eu

Prezes: Grażyna Anna Wiatr
Redaktor naczelny: Zbigniew Żukowski

Zespół: Ewa Judycka, Anna Umięcka, Alina Kietrys, Barbara Miruszewska, Cezary Spigarski, Jerzy Uklejewski, Paweł Janikowski, Tomasz Wróblewski
Skład: Maciej KREDA Jurkiewicz, www.produktart.pl

Dział foto: AJF Media, Maciej Kosycarz KFP, Mieczysław Majewski, Radosław Michalak, Sławomir Panek

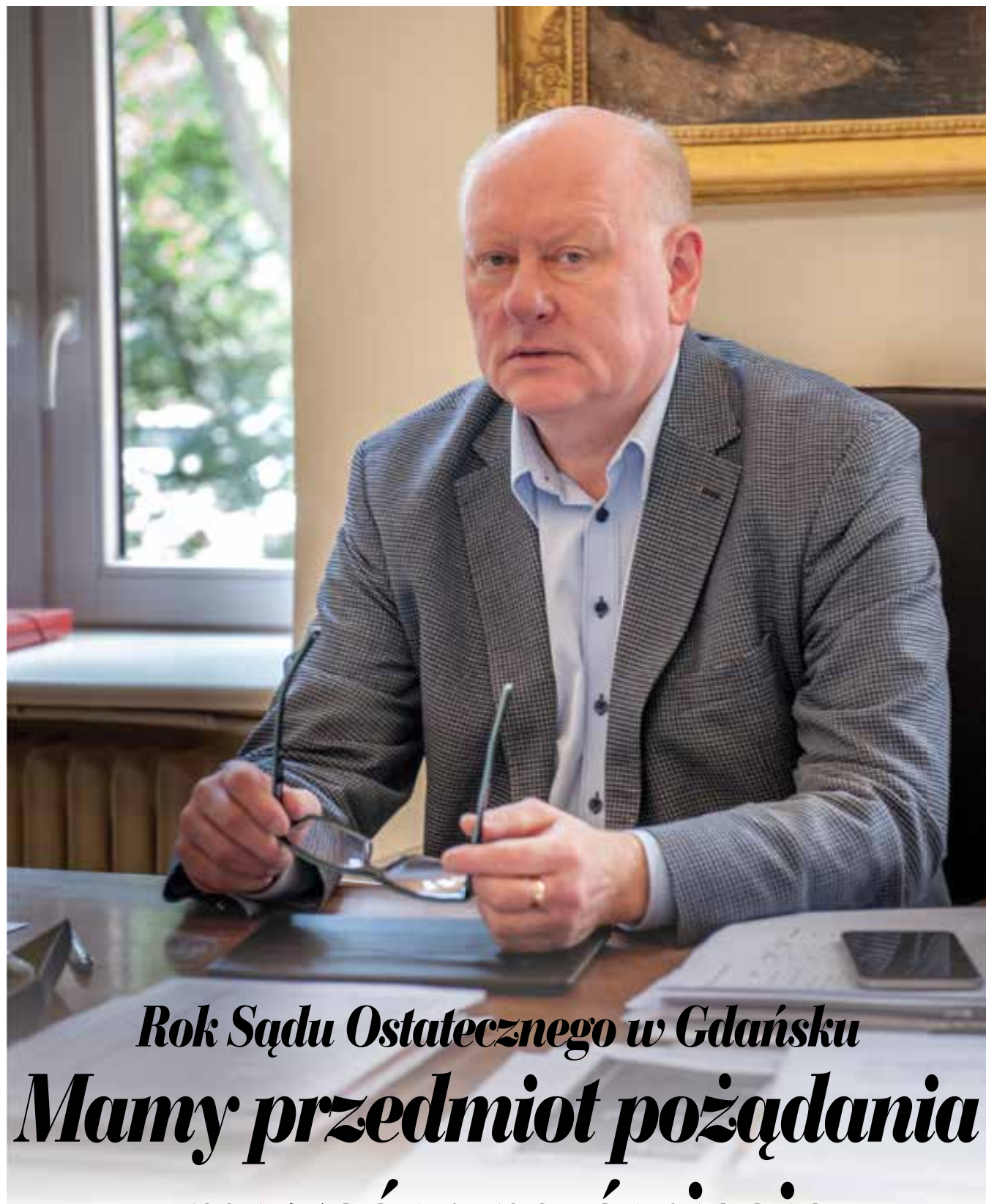
Szukaj nas na:



www.magazynpomorski.eu



Na okładce:
Janusz Gajos
Foto: Maciej Kosycarz/KFP



Rok Sądu Ostatecznego w Gdańsku Mamy przedmiot pożądania muzeów na świecie

Z dyrektorem Muzeum Narodowego w Gdańsku Wojciechem Bonisławskim rozmawia Alina Kietrys

Rok 2017 ma być w Gdańsku znaczący za sprawą dzieła „cenniejszego niż złoto”, czyli tryptyku Sąd Ostateczny Hansa Memlinga. To inicjatywa Muzeum Narodowego. Stworzyliśmy projekt, którego celem jest zaprezentowanie jednego z najcenniejszych dzieł w polskich zbiorach muzealnych. Chcemy dzieło Memlinga zaprezentować bardzo różnorodnie, przede wszystkim, by popularyzować wiedzę o tym naprawdę wyjątkowym tryptyku. Będziemy snuli refleksje naukowe, aby wykazać, ile jeszcze kryje on tajemnic. A poza tym zarówno gdańszczanie jak i osoby przyjeżdżające do naszego miasta ciągle nie bardzo wiedzą, że to wyjątkowe i tak cenne dzieło jest właśnie w Muzeum Narodowym w Gdańsku. Mało znana jest ciągle historia tego obrazu i opowieść o niesłychanych losach, które znakomicie nadają się na dobry przygodowy film. Jednocześnie chcemy podkreślić rangę muzealnych zbiorów gdańskich i możliwość wchodzenia właśnie dzięki Memlingowi w różne koneksje muzealne z największymi muzeami na świecie.

Dlaczego właśnie rok 2017?

Dla Memlinga tak naprawdę każdy rok jest dobry. To nie jest jednorazowa akcja, będziemy się starali co roku tworzyć nowe projekty wokół Sądu Ostatecznego. Ale ten rok jest szczególny. 550 lat temu Memling zaczął malować swoje dzieło, 210 lat temu dyrektor nowo powstałego Muzeum Napoleona z siedzibą w Luwrze na życzenie cesarza wywozi po raz pierwszy ten tryptyk z Gdańska do Paryża, a 200 lat temu tryptyk Memlinga wraca do Gdańska, ale już z Berlina, bo tam trafił z Luwru za sprawą rewindykacji zagarniętych dzieł sztuki.

Ale i do Gdańska Sąd Ostateczny trafił w awanturny sposób.

Tak, losy tego dzieła były przedziwne. 27 kwietnia 1473 roku, w czasie woj-

gundii, a równocześnie w tę walkę włącza się ówczesny papież Sykstus IV. Badacze sądzą, że to Medyceusze wpłynęli na papieża, by dzieło odzyskać. Właścicielami obrazu de facto byli bankierzy florenccy, którzy pracowali w filii banku Medyceuszy w Brugii: Giacomo Tani, który zamawiał obraz, i Tommaso Portinari. Żeby było bardziej tajemniczo, w archiwum w Gdańsku jest dokument – bulla papieska z tamtego okresu, w której zapisano nazwiska poszkodowanych Florentczyków, ale nie ma tam nazwiska Taniego. Portinari dochodził swoich praw w sądzie. Co ciekawe w żadnym dokumencie nie zapisano nazwiska autora tryptyku. W XVII wieku cesarz Rudolf II, kiedy przyjechał do Gdańska i zobaczył ten obraz, zaproponował gdańszczanom,

”A w XVIII wieku car Piotr I czynił różne starania, żeby obraz przejąć. Nie udało się, ale dokonał tego w XIX wieku Napoleon, a po traktacie wersalskim Sąd Ostateczny przejeżdża do Berlina i tam podziwiany jest w Akademii Sztuk Pięknych. Elity berlińskie czynią starania, żeby ten obraz nie wrócił do Gdańska. Ale wrócił 200 lat temu i został w Gdańsku do II wojny światowej.

”Mało znana jest ciągle historia Sądu Ostatecznego Memlinga i opowieść o niesłychanych losach, które znakomicie nadają się na dobry, przygodowy film. Jednocześnie chcemy podkreślić rangę muzealnych zbiorów gdańskich i możliwość wchodzenia dzięki dziełu Memlinga w różne koneksje muzealne z największymi muzeami na świecie.

że kupi go za 40 tysięcy talarów. To była ogromna suma. Ale gdańszczanie się nie zgodzili. A w XVIII wieku car Piotr I czynił różne starania, żeby obraz przejąć. Nie udało się, ale dokonał tego w XIX wieku Napoleon, a po traktacie wersalskim Sąd Ostateczny przejeżdża do Berlina i tam podziwiany jest w Akademii Sztuk Pięknych. Elity berlińskie czynią starania, żeby obraz nie wrócił do Gdańska. Ale wrócił 200 lat temu i został w Gdańsku do II wojny światowej. W czasie wojny armia niemiecka rozmontowała i zabrała dzieło do Turynii, tam tryptyk zajęła Amia Czerwona i przewiozła go do Ermitażu. Sąd Ostateczny wrócił do Polski, do Warszawy dopiero w 1956 roku na mocy rozmów międzyrządowych dotyczących kolekcji Jacoba Cabruna. Notabene wróciły wtedy obiekty z Ermitażu, a do tej pory nie wróciły te, które znajdują się w Muzeum Puszkina w Moskwie. Do Gdańska przyjeżdża Sąd Ostateczny jeszcze w tym samym roku i trafia do naszego muzeum.

Tryptyk, eksponowany w pierw w kościele Mariackim, teraz jest w muzeum. Przypomnijmy: w latach 80. ubiegłego wieku trwały dyskusje, czy nie powinien wrócić do kościoła.

Nie wszystko jest takie jednoznaczne, bo nie ma jednoznacznego przekazu, gdzie był eksponowany Sąd Ostateczny przed II wojną światową. Są informacje, że obraz trafił do Stadtmuseum. Stan prawny był specyficzny. Kościół Mariacki był wtedy kościołem protestanckim, a według prawa całe wyposażenie kościoła należało do gminy protestanckiej. A w imieniu gminy wszystkimi zabytkowymi obiektami majątku protestanckiego zarządzał dyrektor Stadtmuseum, czyli dyrektor muzeum miejskiego, który decydował, gdzie dany obiekt ma się znajdować.

A w ubiegłym wieku rzeczywiście dyskutowano, gdzie należy Memlinga eksponować. Te dyskusje były i myślę, że jeszcze będą powracały. My uważamy, że muzeum jest najlepszym miejscem ze względu na ochronę fizyczną, konserwatorską i sposób eksponowania w specjalnej kapsule, w której utrzymuje się odpowiednie i konieczne warunki klimatyczne. Monitoring trwa 24 godziny. Mamy znakomite urządzenia i specjalny żel, który pochłania albo

ny między Anglią a Hanżą, gdański kaper Paweł Beneke napadł na dobrze uzbrojony galeon włoski, który płynął do Florencji pod banderą neutralnej Burgundii, i zdobył łupy. Kapra Beneke wynajęli patrycjusze gdańscy i im też kaper przekazał łupy, których było niemało: m.in. tkaniny, skóry, futra, kosztowności i bardzo cenny wówczas atun do utrwalania barwników. I był też ołtarz przedstawiający Sąd Ostateczny. Tryptyk patrycjusze przekazali do kościoła Najświętszej Marii Panny.

Są jakieś dokumenty dotyczące tej pierwszej darowizny?

Nie ma. Ale już wtedy rozpoczęła się walka o Sąd Ostateczny. To przedziwna sprawa, że ten obraz od początku wzbudzał takie namiętności. Bo z jednej strony występuje o odzyskanie łupów i Sądu Ostatecznego książę Bur-

oddaje wilgoć i odpowiednie, bardzo nowoczesne światło, ale bez urządzeń elektrycznych.

Dyskutowano też czy dzieło Memlinga powinno jeździć po świecie, czy nie.

Tak. Memling kilka razy podróżował, był w Europie w Brugii, Kolonii i Stanach Zjednoczonych w Milwaukee, a stamtąd poleciał do Wiednia. Obraz zawsze jest dobrze ubezpieczony i odpowiednio chroniony. Inaczej wygląda transport kołowy, inaczej samolotowy. To zawsze wielka wyprawa i precyzja logistyczno-ubezpieczeniowa.

Wartość Memlinga to nie jedyna tajemnica.

Fakt, na przykład od początku niejasne było, kto namalował Sąd Ostateczny. W Paryżu był oglądany jako dzieło braci van Eycków. Dopiero późniejsze badania wykazały, że autorem jest Memling. Artysta zostawił około stu obrazów, a Sąd Ostateczny uważany jest za najcenniejszy i największy. To jego dzieło życia, a znawcy twierdzą, że jeden ze stu najcenniejszych obrazów sztuki dawnej na świecie.

Jak powstawało to dzieło?

Są przekazy polskie i zagraniczne. Wiemy, jak wyglądała pracownia Memlinga, jak wyglądała droga Memlinga do Brugii, bo on urodził się w Niemczech. Wiemy, jak wyglądała wtedy technologia malowania. To jest malowane na de-

”Memling kilka razy podróżował z Muzeum Narodowego w Gdańsku. Był w Europie w Brugii, Kolonii i Stanach Zjednoczonych w Milwaukee, a stamtąd poleciał do Wiednia. Obraz zawsze jest dobrze ubezpieczony i odpowiednio chroniony. Inaczej wygląda transport kołowy, inaczej samolotowy. To zawsze wielka wyprawa i precyzja logistyczno-ubezpieczeniowa.

skach, a więc także prowadzone były badania dendrologiczne, które mówiły o datowaniu dzieła. Sąd Ostateczny jest jednym z najlepiej przebadanych obrazów w Europie przy użyciu najnowszych technologii. Pracownicy krakowskie, które nim się zajmowały, wykazały, że jest bardzo dobrze zachowanym obiektem. Dużo wiadomo na temat zmieniających się kompozycji, użytych materiałów, techniki malowania. Profesor Antoni Ziemia z Uniwersytetu Warszawskiego i Muzeum Narodowego w Warszawie oraz Till-Holger Borchert, znawca malarstwa flamandzkiego, dyrektor muzeum w Brugii uważny za „pa-

pieża od Memlinga”, autor wielkiej wystawy w Rzymie, mają absolutną wiedzę na temat tego dzieła. A naukowców interesujących się Memlingiem jest wielu.

Konserwacja Memlinga to również interesujący rozdział.

Tak, bo ostatnia konserwacja odbyła się jeszcze w Leningradzie w 1956 roku i od tamtej pory nie było konieczności jej powtórzenia. Zabiegałem o dokumenty przedstawiające tamte prace konserwatorskie bardzo długo i w końcu, przy pomocy kolegów muzealników i byłej minister kultury Rosji, udało się te dokumenty zdobyć. Jeszcze ich nie publikowaliśmy, bo trwa ich opracowywanie. Konserwatorzy mówią, że to „pancerny” obraz. Ma za sobą sześć wieków i różne okoliczności transportu. Zdarzyła się tylko do tej pory jedna rzecz: twarz Sprawiedliwego, czyli głowa na cynowej blasze, została kiedyś zmyta,



Hans Memling, Sąd Ostateczny, 1467–1473, Muzeum Narodowe w Gdańsku.

Fot. © Muzeum Narodowe w Gdańsku

ale to przez niemieckiego konserwatora. To był tzw. nieszczęśliwy wypadek przy pracy. I tę twarz odtworzyli inni konserwatorzy, więc jest na obrazie.

Mówi się, że gdański Sąd Ostateczny ma specjalną moc.

Jest teoria, która mówi, że obraz mógł służyć przekazywaniu wiedzy ezoterycznej i wyznawcy tej teorii uważają, że obraz ma szczególną moc. Ale jedni wierzą, inni nie. Natomiast ten obraz zawsze fascynował historyków sztuki i oglądających.

A co muzeum proponuje w Roku Memlingowskim w Gdańsku?

Wydaliśmy wielki album Sądu Ostatecznego. Prace trwały dwa lata, ukazał się po polsku i po angielsku w 2016 roku. Rozszedł się błyskawicznie, będziemy robili dodruk. Autorem świetnych zdjęć (otwieraliśmy kapsułę dwa razy) i całej koncepcji albumu jest Andrzej Nowakowski, dyrektor krakowskiego wydawnictwa Universitas. Wydawcami są także Muzeum Narodowe w Gdańsku i Narodowe Centrum Kultury. Eseje do tego niezwykłego albumu pisali świetni znawcy Memlinga. Wydaliśmy też kalendarz memlingowski na rok 2017, książkę popularyzatorską gdańskich autorek o obrazie, wydajemy publikacje w trzech językach, które udostępniamy za darmo zwiedzającym. Jest też gra muzealna dla dzieci i dla młodzieży, w której zapisana została wiedza o obrazie, w czerwcu uło-

żymy memlingowskie puzzle w skali 1:10 w sercu Gdańska na Długim Targu z okazji święta miasta. Będą też wykłady cykliczne pod wspólnym tytułem „Akademia Sądu”. Profesor Marcin Kaleciński tworzy program naukowy tych spotkań. Zorganizujemy międzynarodową konferencję ze specjalistami z Europy i USA. Konferencji będzie towarzyszyła wystawa, na którą mają przyjechać dwa obrazy Memlinga. Ma zostać też wystawiona opera na kanwie Sądu Ostatecznego – libretto już jest, Opera Bałtycka działa. Zaplanowano instalację ceramiczną włoskiego artysty poświęconą barwom Sądu Ostatecznego. Wiele instytucji kultury współdziała przy Roku Memlinga, m.in. Nadbałtyckie Centrum Kultury, Muzeum Historii Gdańska, a Biblioteka Wojewódzka już rozstrzygnęła konkurs na komiks. Książkę dla dzieci na Dzień Dziecka pisze Jacek Frydrych. Młodzi poeci też będą mówili i pisali o Memlingu. Myślę, że te wszystkie działania wywołają poczucie dumy, że mamy w Gdańsku tak niezwykle dzieło, obiekt, który jest przedmiotem westchnień wielu muzealników na świecie. Obok Damy z gronostajem, ołtarza Wita Stwosza – oba dzieła w Krakowie, nasz Sąd Ostateczny to czołówka najwybitniejszych dzieł w Polsce i w Europie.

Dziękuję za rozmowę i zaprosimy wszystkich do Muzeum Narodowego w Gdańsku przy ulicy Toruńskiej. Bądźmy dumni z naszych zabytkowych obiektów i zbiorów, i chwalmy się tym głośno. Zapraszam serdecznie i będziemy promować Memlinga.

”Pracownicy krakowskie, które zajmowały się tym dziełem wykazały, że jest bardzo dobrze zachowanym obiektem. Dużo wiadomo na temat zmieniających się kompozycji, użytych materiałów, techniki malowania.

Raport Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości Pomorskie – wiceliderem



Województwo pomorskie zajmuje drugie miejsce w Polsce według raportu o stanie sektora małych i średnich firm, opublikowanego przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości. Jest więc krajowym wiceliderem, plasuje się tuż za województwem mazowieckim. Raport został przygotowany po raz 19. Przy jego opracowywaniu PARP opierała się na wskaźnikach dotyczących miejsc zajmowanych przez województwa w 26 podrankingach dotyczących rozwoju przedsiębiorczości. A przy ocenie poszczególnych województw opierała się na takich kryteriach, jak liczba firm na 1000 mieszkańców, liczba pracujących, przychody, czy przeciętne wynagrodzenie.

Pomorskie jest regionem świetnie wykorzystującym środki i programy unijne, wprowadza nowe technologie i stosuje się do sprawdzonej zasady, że najpierw trzeba coś zbudować, zainwestować, a dopiero potem ściągać inwestorów, by czerpać zyski – stwierdza prezydent Pracodawców Pomorza Zbigniew Canowiecki.

Na ten sukces składa się wiele czynników, w tym takie, jak bardzo dobrze zorganizowany system pozyskiwania kapitału zagranicznego. Działające samodzielnie Agencja Rozwoju Pomorza, Gdańska Agencja Rozwoju Gospodarczego, sprawne start-up, parki naukowo-technologiczne oraz inkubatory przedsiębiorczości też mają swój udział w osiągniętym bardzo dobrym wyniku.

– Jesteśmy zadowoleni z tak wysokiego miejsca, ale nie zaskoczeni – mówi Adam Mikołajczyk, dyrektor Departamentu Rozwoju Gospodarczego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego. – Na 1000 mieszkańców przypada u nas ponad 11 firm. Przeciętne wynagrodzenie miesięczne w sektorze przedsiębiorstw wynosi 3950 zł brutto, co daje nam trzecią lokatę w kraju. Pokazuje to, że działania wspierające pomorskie przedsiębiorstwa dają dobre wyniki. – Nie można nie zauważyć, że niektóre z nich

upadają, ale to nieuniknione w gospodarce rynkowej – dodaje Mikołajczyk. – W województwie pomorskim w 2014 r. funkcjonowało ponad 118 tys. aktywnych przedsiębiorstw. O prawie 20 tys., w porównaniu z 2013 r., wzrosła liczba zatrudnionych w pomorskich firmach – podkreśla Mikołajczyk.

– Coraz więcej osób zatrudnia przemysł, taki jak kosmetyczny, farmaceutyczny, klimatyzacyjno-wentylacyjny, drzewny, stolarki okiennej. Swoje produkty tworzą nie tylko na polski, ale i zagraniczny rynek. Coraz więcej pracowników zatrudnia branża IT. Przeciętne wynagrodzenie w Intelu wynosi ponad 12 tys. zł brutto. To zachęca młodych, zdolnych i ambitnych do poszukiwania u nas pracy.

Jak podkreśla Zbigniew Canowiecki, odradza się przemysł stoczniowy i okrętowy. Stocznie Remontowa, Nauta, Shipbuilding, Wisła, Crist przeżywają prawdziwy boom. Poza tym jak grzyby po deszczu powstają firmy, które wykonują prace na ich zlecenie. Dodatkowo cała branża, która produkuje jachty, katamarany przeżywa gigantyczny rozwój.

Wszystkie te wskaźniki i informacje są częściami składowymi sukcesu województwa pomorskiego w rankingu o stanie małych i średnich przedsiębiorstw, przygotowanego przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości.

Sukces Trójmiasta na Gali CEE Awards 2017

Pięć bardzo prestiżowych nagród przywiozła reprezentacja województwa pomorskiego z Gali CEE Shared Services and Outsourcing Awards 2017, w jakiej co roku uczestniczą reprezentanci międzynarodowych firm outsourcingowych, samorządów oraz specjalistów branży nowoczesnych usług dla biznesu z obszaru Europy Wschodniej. Gala od pięciu lat odbywa się w Warszawie. W tegorocznej uczestniczyli reprezentanci Gdańska, Gdyni, Agencji Rozwoju Pomorza i firm z Trójmiasta.



Od lewej: Alan Aleksandrowicz, prezes InvestGDA, Wojciech Tyborowski, dyrektor Invest in Pomerania, Aniela Kulej, Urząd Miasta Gdynia, Marcin Piątkowski, były dyrektor Invest in Pomerania, Anton Koval, Project Manager w Invest in Pomerania i Piotr Ciechowicz, wiceprezes Agencji Rozwoju Pomorza S.A.

Nagrody CEE Shared Services and Outsourcing Awards 2017 przyznawane są za wkład w rozwój sektora usług dla biznesu w 25 kategoriach. Aż pięć głównych nagród trafiło do Trójmiasta i firm działających na jego terenie.

Międzynarodowe jury przyznało tytuł najbardziej dynamicznie rozwijającego się miasta aglomeracji trójmiejskiej, a główną nagrodę za inicjatywę roku w sektorze publicznym – Gdańskowi. Nagrodzone zostały również trójmiejskie firmy z sektora Business Services.

Nagrodę w kategorii: Najbardziej dynamicznie rozwijające się miasta – przyznano aglomeracji trójmiejskiej, na co złożyło się m.in. 10 projektów inwestycyjnych oraz wiele planów rozwoju firm z sektora usług biznesowych działających w Trójmieście, przy udziale Invest In Pomerania. Warto podkreślić, że inwestorzy zadeklarowali stworzenie ponad 1000 miejsc pracy. W tej kategorii Trójmiasto wyprzedziło takie miasta, jak Katowice, Poznań i Wrocław.

– Nagroda jest potwierdzeniem atrakcyjności Trójmiasta zarówno na polskiej, jak i europejskiej mapie najlepszych lokalizacji dla sektora nowoczesnych usług. Dynamiczny wzrost liczby inwestycji oraz zatrudnienia idzie w parze z przenoszeniem przez inwestorów coraz bardziej skomplikowanych procesów biznesowych, wymagających od pracowników coraz wyższych kwalifikacji i umiejętności. Po raz kolejny Trójmiasto udowadnia, że jest w stanie sprostać nawet najtrudniejszym wymaganiom globalnych in-

westorów z branży usług dla biznesu – powiedział Mieczysław Struk, marszałek województwa pomorskiego.

Kolejne wyróżnienie przyznano Gdańskowi. Gdańskie Centrum Usług Wspólnych – jednostka budżetowa utworzona w 2016 roku – zostało wyróżnione w kategorii: Inicjatywa roku w sektorze publicznym.

Podczas gali nagrody odebrali również lokalni inwestorzy. Firma PwC otrzymała tytuł: „Dostawca najbardziej unikalnych usług” za zlokalizowane w Gdańsku Finansowe Centrum Doskonałości, obsługujące procesy związane z zapobieganiem przestępstwom finansowym. Nagrodę otrzymała również firma SII, która została nagrodzona w kategorii: Najlepsze centrum IT. Prestiżowym tytułem Managera Roku wyróżniony został dyrektor zarządzający i wiceprezes Polskiego Oddziału State Street Bank Scott Newman.

– Sukces trójmiejskich firm to także sukces zespołu Invest in Pomerania. Firma SII od 2008 roku jest jednym z najważniejszych dostawców usług IT w Trójmieście. Największy spośród wszystkich oddziałów firmy w Polsce zlokalizowany jest właśnie na Pomorzu. Cieszy nas także wyróżnienie dla firmy PwC, której procesy obsługiwane przez gdańskie centrum należą do jednych z najbardziej zaawansowanych na rynku finansowym. Jednocześnie procesy te należą do najbardziej złożonych wśród obsługiwanych na rynku trójmiejskim. Dynamiczny rozwój centrów usług dla biznesu i wzrost kompetencji ich pracowników jest wyraźnym dowodem atrakcyjności trójmiejskiej lokalizacji – podsumował Marcin Grzegory, wicedyrektor zespołu Invest in Pomerania.

Przywrócić blask Ratuszowi Głównego Miasta i Dworowi Artusa



Lampa Smolna na fasadzie Ratusza Głównego Miasta Gdańska.



Palowa wizualizacja wejścia.



Lampa Smolna.



Zachowany fragment latarni smolne.

Muzeum Historyczne Miasta Gdańska rozpoczyna realizację projektu „Przywracanie blasku Drodze Królewskiej w Gdańsku – rewitalizacja Ratusza Głównego Miasta i Dworu Artusa”, w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2014–2020. Gdańskie muzeum podpisało umowę na remont tzw. Komory Palowej, gdzie do końca 2014 roku mieściła się restauracja Palowa.

Prace modernizacyjne mają potrwać do połowy listopada 2017 r. W połowie 2017 r. ruszą prace w Dworze Artusa. Wartość projektu to 6 409 362,04 zł. Wkład własny udało się pozyskać dzięki wsparciu prezydenta Gdańska – Pawła Adamowicza. Projekt obejmuje dwa najbardziej reprezentacyjne oddziały naszego muzeum, a także ich przedproża. Pomimo zaplanowanych intensywnych prac bez przeszkód będzie można zwiedzać Ratusz Głównego Miasta, natomiast Dwór Artusa w drugiej połowie.



Portret gdańskiego mistrza w zbiorach muzeum

Początkowo obraz ten uznawany był za dzieło nieznanego malarza. Jednakże podczas jego konserwacji w 2015 roku okazało się, że jest to dzieło sygnowane przez Jacoba Wessla, tworzącego w XVIII wieku jednego z najwybitniejszych nowożytnych malarzy gdańskich. Jacob Wessel pozostawił po sobie około sześćdziesięciu portretów wybitnych gdańszczan: uczonych, burmistrzów, rajców. Do dzisiaj zachowało się tylko około dwudziestu.

Muzeum Historyczne Miasta Gdańska zakupiło ten XVIII-wieczny portret, przedstawiający Johanna Adama Kulmusa, ze środków własnych za 72 tys. zł.

Johann Adam Kulmus, profesor medycyny i nauk przyrodniczych gdańskiego Gimnazjum Akademickiego, był jednym z najbardziej znanych gdańskich medyków. Wydany w 1722 roku zbiór jego wykładów anatomicznych i chirurgicznych zmienił podejście ówczesnych uczonych do anatomii. Dzieło to zostało przetłumaczone na wiele języków.

– Portret Kulmusa zakupiony został do zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Gdańska w grudniu 2016 roku, po wielu miesiącach poszukiwań, zaskoczeń i odkrywania tajemnic, związanych zarówno z uwiecznionym na obrazie gdańskim uczonym, jak i autorstwem nieznanego wcześniej przedstawienia wybitnego anatoma – mówi Dorota Powirska z Muzeum Historycznego Miasta Gdańska.

To nie jedyny, ale najbardziej spektakularny zakup wzbogacający kolekcję gdańskiego muzeum związaną z miastem. Dyrekcja Muzeum Historycznego ma wkrótce podjąć decyzję, w którym ze swoich oddziałów udostępni obraz zwiedzającym. Wydaje się, że najbardziej prawdopodobnym miejscem ekspozycji jest Muzeum Nauki Gdańskiej.



Fot. Agnieszka Grabowska-Ogrodnik. Ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Gdańska.

Stypendia dla twórców kultury



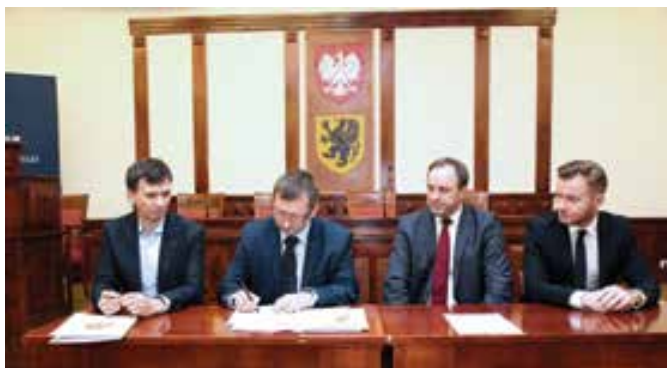
Fot. Sławomir Lewandowski

Zarząd Województwa Pomorskiego przyznał stypendia twórcom kultury. Otrzymało je 97 osób zajmujących się twórczością artystyczną, upowszechnianiem kultury i opieką nad zabytkami. Zarząd Województwa Pomorskiego przeznaczy na stypendia w 2017 roku 350 tysięcy złotych. Średnia wysokość stypendium wyniesie 3608 złotych. W tym roku najwięcej wniosków dotyczyło projektów muzycznych.

Wśród dofinansowanych przedsięwzięć znalazły się między innymi: książka pod roboczym tytułem „Jestem aktorką” – wywiad-rzeka Barbary Kanold z Dorotą Kolak; przetłumaczenie przez Stanisława Janke na język kaszubski „Wierszy wybranych” Władysława Szymborskiej; książka Edmunda Zielińskiego „Drogi krzyżowe na Kaszubach i Kociewiu”; rzeźby w brązie i porcelanie Ewy Beyer-Formeli; scenariusz filmu fabularnego „Obcy wśród swoich” Pawła Zbierskiego; nagranie debiutanckiej płyty Patryka Podwojskiego z muzyką organową na organach Bazyliki Archikatedralnej; sztuka teatralna Moniki Milewskiej „Twarz Napoleona”; nagranie dwupłyty albumu CD „24 preludia i fugi Dymitra Szostakiewicza”; stworzenie kompozycji Dariusza Michalaka do instalacji muzycznej realizowanej podczas cyklicznych wydarzeń „Międzynarodowe pozdrowienia Saelencium” w miastach całej Polski na Wiśle i w Zatoce Gdańskiej – rekonstrukcja dźwiękowa dawnych sposobów komunikacji z okazji obchodów 550. rocznicy pierwszego wolnego flisu na Wiśle.

Rozbudowa węzła Kowale

Prawie 1 mln zł władze województwa pomorskiego przeznaczyły na rozwiązanie problemów komunikacyjnych w ciągu Obwodnicy Trójmiasta, pomiędzy węzłami Południowym i Szadółki Trwają intensywne prace mające na celu rozwiązanie problemów komunikacyjnych w ciągu Obwodnicy Trójmiasta pomiędzy węzłami Południowym i Szadółki oraz węzła Kowale. W tej sprawie, w obecności marszałków Mieczysława Struka i Ryszarda Świńskiego, a także przedstawicieli zaangażowanych samorządów, podpisana została umowa pomiędzy Zarządem Dróg Wojewódzkich w Gdańsku a firmą EUROPROJEKT SA na opracowanie koncepcji rozbudowy węzła Kowale.



Fot. Sławomir Lewandowski

Celem podpisanej umowy będzie poznanie uwarunkowań terenowych, środowiskowych, technicznych, ekonomicznych, ruchowych i organizacyjnych kompleksowej rozbudowy układu komunikacyjnego w m. Kowale w obrębie drogi wojewódzkiej nr 221 na odcinku od planowanego skrzyżowania z ul. Nową Świętokrzyską w Gdańsku, poprzez węzeł „Kowale” włącznie do skrzyżowania ulic Staropolskiej i Ordynackiej w Jankowie i między węzłami Gdańsk Południe oraz Szadółki wzdłuż S6. Projektowany układ ma uwzględniać powiązania rozbudowywanej drogi wojewódzkiej nr 221 oraz węzła „Kowale” z siecią dróg publicznych oraz zasady obsługi terenów do niego przyległych.

Firma Europrojekt SA przygotowuje do 30 listopada br. dokumentację, która będzie zawierać: wstępną koncepcję programową (określenie zakresu rzeczowego i finansowego przedsięwzięcia, opracowanie minimum 3 wariantów zadania inwestycyjnego, uszczegółowienie przebiegu tras poszczególnych wariantów, dostarczenie informacji do podjęcia wstępnej decyzji inwestorskiej w sprawie celowości, zakresu i horyzontu czasowego realizacji zadania inwestycyjnego, przeanalizowanie wpływu rozpatrywanych wariantów na środowisko wraz z uzyskaniem decyzji o środowiskowych uwarunkowaniach); koncepcję programową wraz z opracowaniami środowiskowymi i uzyskaniem decyzji środowiskowej oraz opracowania geologiczno-inżynierskie.

Inwestycja ta jest zrealizowaniem oczekiwań i postulatów mieszkańców miejscowości, które obejmują planowane prace.

Alina Kietrys, dziennikarka, publicystka, nauczyciel akademicki na Uniwersytecie Gdańskim.



Szukam optymizmu... w teatrze Światelko w tunelu

Ma być ciekawie, dowcipnie, z pazurem i na czasie. Wszak to felieton. Więc się chwilę pogimnastykuję – nie dosłownie, ale umysłowo, a może duchowo?

Szukam miejsc, by doładować osobisty optymizmu. Robię własny rekonesans. Babski. Na pocztce (mojej dzielnicowej) sprzedają paski i jedyną słuszną prasę oraz książki o jednorodnej tematyce, których nikt nie kupuje. Zasięgnęłam w tej sprawie języka. Kiedyś w jubilerze we Wrzeszczu kupowałam skórzaną rękawiczkę. Na obsługę w okienku pocztowym muszę czekać cierpliwie w kolejce, jak za dawnych słusznie minionych czasów, bo panie znikają zostawiając kartkę „chwilowo nieczynne”.

W sklepie osiedlowym chleb podróżał, marchew lekko podsuszona zalega na półkach, pieczarki szczerbiały, wędlina błyszczy w lodówce, ekspedientka kroci plastery z sercem, czyli grubo jakby to były kromki chleba. Dalej szukam.

W lokalnej bibliotece otwieranej niedawno z pompą, książek i e-booków jak na lekarstwo, a dostępna literatura mało pociągająca. Marudzę? Skąd, z radością znoszę pouczenie pani bibliotekarki, gdzie powinienem szukać interesujących mnie książek. Najlepiej na drugim końcu miasta. W przychodni zdrowia tłum zagrypionych i chaos kolejkowy. Starsi pacjenci, wspierani w tym roku przez Wielką Orkiestrę Jurka Owsiaka, siedzą z nadzieją, że doktor z nimi dłużej porozmawia. Na mojej ulicy tłok obcych samochodów, bo gdański Zarząd Dróg i Zieleni nie jest w stanie wprowadzić stref płatnego parkowania dla obcych, mimo że tzw. Garnizon buduje się od ponad pięciu lat. A Garnizon sprytnie wprowadził płatne parkowanie. Więc samochodziarze lokują się jak leci na sąsiednich ulicach i śmieć, brudzą – wszak Polak potrafi! A właściciele chodników sprzątaj, bo taki jest obywatelski obowiązek. Kiedy patrzę na bezzadność urzędników, mam ochotę uciec z mego miasta. Może do Wrocławia albo do Chojnic. Wiem, co mówię.

Odrywam się od codzienności i szukam szczęścia w teatrze. Dlaczego – bo

27 marca co roku Międzynarodowy Dzień Teatru. Ten dzień ustalono dokładnie 60 lat temu w Paryżu z okazji otwarcia Teatru Narodów. A w Polsce przetacza się dyskusja z powodu jednej „Kłątwy” w Warszawie. Reszta teatrów nieco w cieniu.

U nas nie ma kłątwy. W Teatrze Miejskim w Gdyni tylko „Lot nad kukułczym gniazdem”. Spektakl idzie w nadkompletach. Nie można dostać biletów. Radość. Choć trudno znaleźć optymizm w szpitalu wariatów. Tekst Kenna Keseya sprzed 55 lat owiany jest legendą filmową i teatralną. W polskim najgłośniejszym przedstawieniu Wojciech Pszoniak i Roman Wilhelmi – grali McMurphego, czołowego wariata totalnego, największego ze wszystkich, a Franciszek Pieczka był wodzem Bromdenem. Miodzio. Tuż polskiej sceny, wlewali w serca wiarę, że teatr jest sztuką. Krzysztof Babicki, reżyser gdyńskiego przedstawienia o konwencjonalnym nastawieniu, z respektem traktuje własną widownię i zmaga się z tekstem-legendą. Piotr Michalski jest McMurphy, który gra siebie, jak szepczą tzw. „życzliwi”, ale Grzegorz Wolf jako wódz Bromden buduje inny świat. Ten mało optymistyczny spektakl tworzy jednak wewnętrzny system. I co z tego, że w domu wariatów? I tak wiadomo, kto przegra.

Z jeszcze większą nadzieją oglądałam dyplom IV roku Studium Wokalno-Aktorskiego im. Danuty Baduszkowej w Teatrze Muzycznym w Gdyni. „Ostatni dzwonek” według scenariusza filmowego Włodzimierza Boleckiego i Magdaleny Łazarkiewicz w reżyserii Mirosława Baki i Anny-Marii Urbanowskiej. Film w reżyserii Łazarkiewicz powstał 28 lat temu. Opowieść o uczniowskim buncie, któremu przewodzi „nowy” brzmi dzisiaj inspirująco. Przedstawienie w przedstawieniu udaje się młodym adeptom w Gdyni. Piosenki z muzyką Gintrowskiego, Kaczmarek, Preisnera brzmią przejmująco. Przy tym spektaklu warto pomyśleć i zaufać sztuce. I to jest optymistyczne.

Gdańsk to mój dom, chciałbym tu wrócić...

Z Jarosławem Wałęsą, europarlamentarzystą od 2009 roku, rozmawia Alina Kietrys

Polityki uczył się Pan w domu rodzinnym, od ponad dwudziestu lat jest Pan w polityce – pierwsze wybory jeszcze w Komitecie pana marszałka Macieja Płażyńskiego. Jak ocenia Pan te doświadczenia?

Kiedyś nienawidziłem polityki, uważałem, że ukradła mi ojca i zniszczyła rodzinę. Teraz, kiedy sam jestem czynnym politykiem, patrzę na to wszystko z innej perspektywy. Staram się wykonywać swoje obowiązki zawodowe sumiennie. Jednak dbam również o to, by mieć czas dla mojej rodziny: żony i synka. Synkowi poświęcam dużo czasu, chcę, by widział mnie jak najczęściej. Priorytetem dla mnie jest znalezienie równowagi między działalnością publiczną a życiem rodzinnym.

Wyjechał Pan na studia do Stanów Zjednoczonych dzięki wsparciu mamy. Czy spojrzenie z oddalenia nauczyło Pana dystansu do codzienności politycznej w Polsce?

Wydaje mi się, że tak. Gdy spotykam się z młodymi ludźmi w liceach czy na uczelniach wyższych, a mam tych spotkań sporo, to bardzo często powtarzam im, żeby wykorzystywali swoje szanse i wyjeżdżali na stypendia zagraniczne czy też wymiany studenckie. Poprzez poznawanie innych krajów, narodowości, języka, czy choćby systemów edukacji, poszerzają swoje horyzonty, zdobywają doświadczenie i kształtują swoje poglądy. Dzięki temu mogą spojrzeć na swój kraj z innej perspektywy. To jest bezcenne. Jestem o tym przekonany. Dlatego z przyjemnością przyjmuję na praktyki do swojego biura w Brukseli stażystów z partnerskich uczelni na Pomorzu.

Jako bardzo młody człowiek starałem się trzymać od tego politycznego zamętu jak najdalej, fascynował mnie sport. W 1995 roku wyjechałem jednak do Stanów Zjednoczonych. Skończyłem szkołę średnią w Connecticut i postanowiłem studiować politologię na Uniwersytecie Świętego Krzyża w Massachusetts. To był przełom w moim myśleniu o polityce. Zacząłem wnikliwiej obserwować, analizować i oceniać. A dyplom Bachelor of Arts na politologii zobowiązywał. Odbylem roczny staż w firmie komputerowej, a potem w Instytucie Hudsona zajmowałem się m.in. analizą mediów i działaniami władz lokalnych. Po powrocie do Polski rozpocząłem pracę w Biurze Lecha Wałęsy. Bacznie przyglądałem się działaniom mojego ojca, brałem udział w konferencjach, spotkaniach na arenie międzynarodowej, miałem okazję poznać wybitnych światowych polityków. Dzięki tej pracy polityka mnie tak zafascynowała, że postanowiłem sam spróbować i wystartowałem w wyborach do Sejmu. To zakończyło się sukcesem. I jak widać, sam zostałem politykiem.

Jest Pan posłem Europejskiej Partii Ludowej w Parlamencie Europejskim. Pracuje Pan w kilku komisjach. Zajmuje się Pan między innymi sprawami rybołówstwa. Jak wygląda nasza polska sprawa w kontekście europejskim, rybacy mają ciągle wątpliwości, czy ta wspólnota unijna dobrze im służy.

Rybacy mają uzasadnione wątpliwości. Co siedem lat przechodzimy przez reformę wspólnej polityki rybołówstwa. To czego doświadczyli do tej pory rybacy pokazało, że Bruksela często bardziej szkodziła niż pomagała sytuacji np. na Bałtyku czy innych akwenach. W tej chwili wprowadzamy w życie nową reformę. W zeszłym roku zakończyłem też prace nad planem zarządzania stadami dorsza, śledzia i szprota na Bałtyku w ramach tej reformy. Najważniejsze, że zrozumiano, iż to nie Bruksela powinna narzucać szczegółowe warunki połowów na wszystkich akwenach, bo to niepraktyczne i szkodliwe dla ekosystemu. Każde morze jest inne, dlatego stawiamy teraz na regionalizację, na przygotowanie planów zarządzania odpowiadających na potrzeby danego akwenu. Uwzględniana jest w nich charakterystyka Bałtyku czy Morza Północnego. To pokazuje, że uczymy się na błędach. Z pokorą słucham słusznych postulatów naszych rybaków, którzy co siedem lat próbują odnaleźć się w tej narzucanej brukselskiej rzeczywistości. Do tej pory ich głos nie był uwzględniany, teraz konsultacje ze środowiskiem są jednym z głównych elementów wprowadzanych zmian.

Czy polscy rybacy będą łowić więcej?

Niestety, jasno trzeba powiedzieć, że pracy nie wystarczy dla wszystkich. Bo prawdą też jest, że musimy ograniczać połowy nie tylko na Bałtyku. Wszyscy



lubią ryby, ale paradoksalnie niechętnie się rozmawia o tym, skąd te ryby brać. Polska wchodząc do Unii Europejskiej spełniła oczekiwania Brukseli, to znaczy ograniczyła zdolność połowową, ograniczyła liczbę statków, które wychodzą w morze. Warto pamiętać, że rybacy są tylko częścią całego wielkiego systemu. Jest jeszcze przemysł przetwórczy, logistyka oraz rodziny rybaków, to wszystko składowe tego łańcucha. A więc duża grupa ludzi zależna od tego, jak będziemy zarządzali i prowadzili zrównoważone działania związane z rybołówstwem. Warto też pamiętać, że Bałtyk jest akwenem prawie zamkniętym, z powiększającymi się obszarami beztlenowymi. Bałtyk jest też zanieczyszczony. Musimy więc dbać o ekosystem naszego morza. Natura nam trochę pomogła. Dwa lata temu mieliśmy napływ świeżej wody, bardziej zasolonej z Morza Północnego i to pozytywnie wpłynęło między innymi na stada dorsza. Działalność człowieka powoduje, że te okresy wymiany wody na Bałtyku występują coraz rzadziej i to jest szkodliwe.

Poza rybołówstwem jakie Pana działania w Brukseli są teraz ważne?

W tej chwili jestem sprawozdawcą opinii w komisji handlu międzynarodowego w sprawie rozporządzenia nawozowego. Jego celem jest otwarcie rynku europejskiego nawozów na nawozy organiczne i mieszane, a także ograniczenie niektórych zanieczyszczeń w nawozach. Do tej pory warunki dostępu do rynku produktów nawozowych były tylko częściowo zharmonizowane na poziomie UE. W związku z tym Komisja Europejska postanowiła uporządkować zapisy. Niestety, zaproponowane bardzo niskie limity zanieczyszczeń nie mają uzasadnienia naukowego. Tym samym polscy czy europejscy producenci nawozów będą mieli problemy z wprowadzaniem swoich produktów na unijny rynek. Nie będą mieli dostępu do surowców, bo złoża czystego surowca są bardzo ograniczone, znajdują się m.in. w Rosji. Gdyby ta propozycja weszła w życie, mogłaby bardzo uciepić nasza Grupa Azoty. Muszę podkreślić, że w pełni popieram cel Komisji Europejskiej, która chce chronić jakość naszych gleb, żywności oraz zdrowia. Należy jednak uważać, aby Komisja Europejska nie wykorzystywała tego celu do nakładania nieuzasadnionych ograniczeń bez wystarczających podstaw naukowych, łamania zasad handlu międzynarodowego oraz nakładania nadmiernych trudności na naszych pro-

ducentów nawozów i rolników. Dlatego trzeba znaleźć złoty środek. Rozwiązanie, które będzie gwarantowało ochronę środowiska, ale w sposób, który nie będzie zbyt restrykcyjny w handlu.

Wiem, że zajmuje się Pan również międzynarodowymi umowami handlowymi.

Tak, w tej chwili jestem sprawozdawcą przyznania dodatkowych koncesji handlowych Ukrainie.. Sytuacja jest bardzo trudna ze względu na toczącą się tam wojnę oraz transformację ustrojową. Musimy jednak namawiać Ukrainę, aby nie rezygnowała z trudnych, lecz bardzo potrzebnych jej reform, które będą harmonizowały m.in. prawo ukraińskie z prawem europejskim po to, by Ukraina zbliżała się do Zachodu. My, jako Polacy rozumiemy, jak trudno jest reformować kraj i przez kilka lat naprawiać zaniedbania z poprzednich dzieścioleci.

Kolejną umową, którą zajmują się obecnie w komisji handlu, jest umowa o wolnym handlu z Japonią. Tu tematów nie brakuje: przemysł samochodowy, kolejowy, przetwórczy, spożywczy. Japonia jest ciągle trzecią największą gospodarką świata, negocjacje toczą się cały czas, jednak mało się o nich mówi.

Czterdzieści procent budżetu Unii Europejskiej to wsparcie dla rolnictwa i rozwoju obszarów wiejskich. A co Pan myśli o ekspansji żywności modyfikowanej?

Każdy kraj członkowski może jasno powiedzieć, czy chce mieć taką żywność czy nie. Osobiście uważam, że w tej dyskusji o GMO jest więcej hysterii niż faktów naukowych. Amerykanie stosują taką żywność od wielu lat. A w Unii Europejskiej najbardziej aktywny jest rynek soi. To jest ponad 80 procent żywności modyfikowanej. Nie zapominajmy też, że już teraz w Polsce podstawą produkcji pasz jest właśnie żywność genetycznie modyfikowana.

Czy smog, który jest teraz złą sprawą wielu miast w Polsce, to też historia?

O nie. Przynajmniej od dwudziestu lat powinniśmy ograniczać naszą zależność od węgla. Oczywiście, jest to trudne, bo mamy takie elektrownie, ale

nie możemy na tym poprzestawać. Potrzebne są zmiany. Powinniśmy szukać nowych źródeł energii odnawialnej, ponieważ czystsze technologie są konieczne. Poza tym bardzo ważne jest podnoszenie świadomości społecznej, by nie palić w naszych piecach groźnymi dla środowiska śmieciami czy nie kupować zużytych samochodów. Europa pozbywa się tych trucicieli, a my kupujemy takie samochody w dużych ilościach. To jest groźne.

Pracuje Pan również w Komisji Petycji UE.

Tak. Jest to bardzo ciekawa komisja, ponieważ wystarczy tylko jedna osoba, żeby złożyć petycję i poinformować nas o problemie dotyczącym prawa europejskiego. Zajmujemy się więc wieloma tematami, najczęściej z obszarów praw podstawowych, środowiska czy transportu, m.in. kopalnią odkrywkową w Małopolsce, czy też weksłami, które muszą in blanco podpisywać pracownicy przy zawieraniu umów o pracę. Ostatnio omawialiśmy wprowadzenie płacy minimalnej w Niemczech, co bardzo uderza w nasze firmy transportowe. Staramy się chronić interesy mieszkańców Europy, a tym samym Polaków. Bardzo ważne jest, żeby poseł z kraju, który składa petycję, walczył o jego interes. Moje drzwi są zawsze otwarte i staram się pomagać, pod warunkiem, że mamy do tego w Komisji Petycji odpowiednie instrumenty.

Prowadzi Pan ożywioną działalność dotyczącą edukacji młodych ludzi, organizuje Pan konkursy, staże w Brukseli. Wspomaga Pan młodych, by otwierali się na świat i osiągnęli znaczące doświadczenie w Europie.

Uważam to za swój obowiązek. Unia Europejska jest naszą szansą i muszą to przyznać nawet jej przeciwnicy. Czasami jest mityczna i tajemnicza. I dlatego uważam, że moja działalność poselska powinna odkrywać te „dziwne” tajemnice, edukować i pokazywać, czym naprawdę jest Unia Europejska. Najlepiej więc osobiście się o tym przekonać. Co roku organizuję konkursy i kilka osób przyjeżdża do mnie na staże trzymiesięczne. Ponadto organizuję „wyjazdy” do Parlamentu Europejskiego dla grup zorganizowanych i wyjaśniam jak najwięcej na miejscu. Zapraszam dziennikarzy, nauczycieli, pracodawców, handlowców, słowem – wszystkich zainteresowanych. Ciągłe powtarzam, że Unia Europejska to my. Im łatwiej będzie nam to zrozumieć, tym skuteczniej będziemy zmieniali Unię Europejską, która jest projektem w ciągłej budowie.

Często zarzuca się UE nadmierną biurokrację i śmieszny wręcz drobiazgowość.

To prawda. Czasami zdarzają się absurd, choćby słynne uznawanie ślimaka za rybę lądową, czy prostowanie banana, albo mierzenie długości ogórka. Jest też dużo biurokracji. Ale myślę, że są to błędy przy pracy. Wszystko można skorygować. Natomiast najważniejsze, by rozumieć i doceniać rangę Unii Europejskiej. To jest eksperyment na lepsze funkcjonowanie Europy i świata w pokojowych warunkach. Pewnie jeszcze będziemy popełniali błędy, ale ważniejsze jest wyciąganie wniosków. Oczywiście, wzrasta znaczenie i siła nacjonalizmu w całej Europie, nie tylko w Polsce, jednak nie wystarczy sam populizm w dzisiejszym współczesnym, skomplikowanym świecie. Musimy spokojnie dyskutować, przeciwdziałać mitologii i rozwiązywać powstające problemy.

Gdańsk też pięknie dzięki Unii Europejskiej. Czy myśli Pan o powrocie do Gdańska i funkcji prezydenta w naszym mieście?

Myślę. Kocham Gdańsk, czuję się tutaj najlepiej ze wszystkich miast i miejsc na świecie. Byłem na wszystkich kontynentach, poznałem niesamowitych ludzi, ale do Gdańska wracam do domu i czuję się tutaj absolutnie u siebie. Moja praca zawodowa od dwudziestu lat próbowała oddalić mnie od Gdańska. Na szczęście bezskutecznie. Chcę działać i tworzyć nowe. Gdańsk to wspinali ludzie, którzy dają siłę. Jesteśmy niezwykli i unikatowi. Chcę tu być.

I kandydować na prezydenta miasta?

...(uśmiech) Tak.

Dziękuję za spotkanie.





Rektor, który ma szczęście

Rozmowa z prof. dr hab. inż. Jackiem Namieśnikiem, rektorem Politechniki Gdańskiej

Rektor częstuje swoich gości galaretkami o smaku aronii. Cukierki produkuje gdańska fabryka słodczy, ale zdrowy i unikatowy ich skład powstał przy udziale naukowców z Wydziału Chemicznego Politechniki Gdańskiej. W ten sposób nauka spotyka się z biznesem.

Serdeczne gratulacje z okazji przyznania Panu Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski. To wyjątkowe wyróżnienie za wybitne zasługi w działalności naukowo-badawczej, dydaktycznej i społecznej oraz za popularyzowanie nauki w Polsce i na świecie. Czy profesor zwyczajny, rektor, ma jeszcze czas na działalność czysto naukową?

Profesor Jacek Namieśnik, rektor Politechniki Gdańskiej: Dziękuję bardzo. To zaszczytne odznaczenie nie jest w żaden sposób związane z pełnieniem przeze mnie funkcji rektora. Cała procedura przyznania ruszyła na długo przed wyborem. Można więc powiedzieć, że to nagroda za moją pracę naukową, przed objęciem funkcji rektora.

Ma Pan jeszcze czas na taką działalność?

Podzieliłem dzień na dwie części, naukową i urzędową. W pracy jestem codziennie wcześniej, za piętnaście piąta rano. Co najmniej do siódmej mam czas tylko dla mojej Katedry Chemii Analitycznej. To ogromny organizm, prawdziwy kombinat naukowy – trzynastu nauczycieli, w tym dziewięciu samodzielnych profesorów, ponad 40 doktorantów. Ogromna liczba publikacji, zajęcia dydaktyczne, dyplomy. Minęło pół roku takiej łączonej pracy naukowca i rektora. Na razie się udaje, głównie dzięki dobrej organizacji pracy.

Pytanie laika: Jak zostaje się naukowcem?

Całkowity przypadek. Nigdy nie myślałem że będę naukowcem. Nie byłem najlepszym studentem, a kiedy odkryłem satysfakcję studiowania, nie planowałem, że osiągnę coś więcej niż doktorat. Pochodzę z prostej rodziny, każde moje osiągnięcie naukowe, to był potężny awans zawodowy i społecz-

ny. I to dawało dużo radości. W nauce pomagała mi konsekwencja i systematyczność. W karierze pomagało szczęście, szczególnie do trafiania w odpowiednim czasie na odpowiednich ludzi, z którymi można osiągnąć sukces. I dzięki temu od 1995 roku kieruję katedrą, 13 lat byłem dziekanem, teraz od pół roku próbuję kierować całą uczelnią.

Perfekcyjnie zaplanowana ścieżka rozwoju.

Rektorem chciałem zostać od dawna, to wygrane w 2016 roku to już moje trzecie podejście. „Nauczyłem się politechniki”, od zawsze chodzę po całej uczelni, znam wszystkie wydziały, widzę co działa, ale przede wszystkim, co niedomaga. Mówiłem o tym, o czym inni chcieli szybko zapomnieć. Być może czasem odbijało się to na popularności, bo nie kryłem się z tym, co myślę.

Przecież panuje opinia, że PG to dobra marka?

To silna marka, ale znam jej słabości. Moglibyśmy być zdecydowanie dalej. Trzeba ciągle myśleć o rozwoju, szczególnie jeśli chodzi o kadrę naukową. Praca tutaj nie jest zajęciem od godz. 7 do 15, to misja i pasja. Pracownik naukowy musi być pasjonatem. Nie da się zapomnieć o pracy po wyjściu z uczelni. To stan umysłu. Trzeba walczyć o sukces, nie patrząc na trudności. Ja jestem wierny politechnice od młodych, trudnych i biednych czasów i wiem, że powolna droga rozwoju doprowadziła mnie tu, gdzie jestem. Chcę do tego przekonać innych.

Następne pytanie z gatunku akademickich. Jak naukowiec zostaje rektorem? I co zdecydowało o chęci pełnienia tej chwalebnej, ale też bardzo wyczerpującej funkcji?

Każdy naukowiec na uczelni musi brać pod uwagę, że jest też przewodnikiem, nauczycielem. Trzeba chcieć przekazywać swoją wiedzę i umiejętności. Widzę to dokładniej, im częściej, jako rektor, spotykam się z pracownikami wszystkich wydziałów. Mówię im, że jesteśmy w trudnej sytuacji. Mamy wspomniane wcześniej kłopoty wewnętrzne. I jest też nieznaną obszar, jak nowa ustawa o szkolnictwie wyższym, której kształtu nikt jeszcze nie zna. Wiele poważnych zmian jest z tego powodu blokowanych. Zostaje nam praca u podstaw, większa dyscyplina, podnoszenie jakości pracy. To mogą być niewygodne decyzje dla niektórych pracowników. A ja chce przyjmować nowych pracowników, nieskażonych złymi zwyczajami, którzy z entuzjazmem podejmą się ciężkiej pracy.

Społeczna rola ludzi nauki musi być Panu bardzo bliska. Poza stanowiskiem rektora PG, jest Pan wiceszefem Konferencji Rektorów Polskich Uczelni Technicznych oraz członkiem wielu polskich i zagranicznych stowarzyszeń naukowych i zawodowych. W jaki sposób takie działania pomagają w wyjściu poza świat nauki, na przykład w sferę działań biznesowych? Jako uczelnia współpracujemy ściśle w obrębie konwentu, w którym działają nasi absolwenci, dziś liderzy biznesu. Mamy Centrum Transferu Wiedzy i Technologii – miejsce kontaktu nauki i biznesu. Właśnie teraz na dziedzińcu PG odbywają się targi pracy dla naszych studentów. Są specjalności, zatrudnia się ich na pniu, jeszcze przed zakończeniem nauki. To zawody z zakresu IT, budowy maszyn, inżynierii. Są też kierunki nie dające od razu bardzo lukratywnych kontraktów, ale oferują rozwój i dalsze zdobywanie wiedzy, jak na przykład biotechnologia.

Jak wyglądają relacje nauki i biznesu na Politechnice Gdańskiej? Wiem, że dochodzi do badań dość unikatowych, jak chociażby współpraca PG z Kliniką Stomatologiczną Vivadental.

To działania z zakresu inżynierii materiałowej. Ze strony uczelni odpowiada za nie zespół profesora Zielińskiego. A celem badań jest zaprojektowanie powłok implantów, odpowiednio odpornych i aseptycznych. Taki model działa w oparciu o finansowanie badań przez zainteresowaną firmę, choć zdobywamy też coraz więcej grantów i innych sposobów finansowania. Zdobycie środków na badania to nie tylko dodatkowe wynagrodzenie dla kadry, to środki na utrzymanie i rozwój uczelni. Taka współpraca z biznesem udaje nam się na przykład w badaniach związanych z technikami informacyjnymi, inżynierią środowiskową, technologiami chemicznymi, biotechnologią i oceanotechniką.

Coraz śmielsze działania naukowców w świecie biznesu na pewno podnoszą poziom dydaktyczny uczelni. Z czego jeszcze wynika duża popularność studiów na PG i jej wysoka pozycja w wielu rankingach?

Często popularność niektórych kierunków zbyt mocno kreują media. Korczy się tym, że „Inżynieria i technologie kosmiczne i satelitarne” jest już chyba na sześciu uczelniach w Polsce, w tym na jednym uniwersytecie. Zgadzam się, że takich inżynierów trzeba kształcić, to ważne dla rozwoju, obronności i bezpieczeństwa państwa. Nie jestem przeciwnikiem nowości, ale na pewno cenię umiar.

Mnie szczególnie cieszy wyróżnienie politechniki przez wielki międzynarodowy koncern wydawniczy ELSEVIER za oryginalne badania o charakterze interdyscyplinarnym, na styku nauk humanistycznych z naukami ścisłymi. Na to wyróżnienie zapracowali pracownicy kilku wydziałów. To właściwa droga rozwoju.

Marzy się Panu jakiś wyjątkowy nowy kierunek studiów?

Wolę ewolucyjny rozwój, a nie tworzenie kierunków według czyjegoś upodobania. Uczelnia musi się rozwijać, a paradoksalnie potrzebne do tego jest ograniczenie liczby studentów. Mamy ich w tej chwili około 20 tysięcy, optymalną liczbą dla naszej kadry i naszych możliwości jest nie więcej niż 16 tysięcy. Tysiąc z tych szesnastu, to powinni być studenci zagraniczni. Mamy ich teraz ponad trzystu studiujących w pełnym cyklu edukacji. Założeniem na moją kadencję, najbliższe trzy lata, jest wspomniany tysiąc cudzoziemców, ale żeby to osiągnąć, trzeba rozwinąć kilka kierunków, wprowadzić zdecydowanie więcej zajęć w języku angielskim.

Dlaczego to takie ważne?

Każdy student z zagranicy świadczy o uznaniu dla naszej uczelni, jest najlepszą wizytówką Politechniki Gdańskiej. Przecież mógł wybrać każdą inną szkołę na świecie. W tej chwili najwięcej studentów przyjeżdża do nas z Chin, Indii, Ukrainy i krajów Unii. Wybierają kierunki mechaniczne, chemiczne, zarządzanie, gdzie mamy nawet całe grupy chińskich studentów. Mam małą satysfakcję, że pierwszy kierunek z angielskim językiem wykładowym udało się otworzyć na wydziale chemicznym. To właśnie ja byłem inicjatorem organizacji tego kierunku, jako prodziekan do spraw kształcenia. Taką funkcję wtedy pełniłem. Ponad 20 lat temu studia po angielsku wydawały się fanaberią. Większość to byli Polacy uczący się po angielsku, żeby później rozwijać się i pracować za granicą.

Jedno z ostatnich badań wykazało, że po ukończeniu PG można liczyć na najwyższą pensję spośród absolwentów wszystkich uczelni Pomorza. 5700 zł brutto dla rozpoczynającego dorosłe życie zawodowe, to na pewno duża zachęta do studiowania.

Na pewno nasi absolwenci mają duże szanse na atrakcyjny zawód i opłacalną pracę. Trzeba pamiętać, że nie wszystkie kierunki są tak opłacalne. Na przykład biotechnologia, kierunek bardzo na czasie, nie daje od razu takich możliwości, oferuje trochę wolniejszą ścieżkę kariery.

Czy rektor, ale przede wszystkim wybitny profesor chemii, odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, marzy o jeszcze jakimś naukowym odkryciu?

Naukowo nie pracuję sam, z całym zespołem mamy tych zadań bardzo dużo. Chociażby w obrębie programu Maestro, finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki. To najważniejszy grant, przyznawany tylko kilkunastu naukowcom w Polsce w skali roku.

Największe wyzwanie dla całej politechniki, to coraz wyższa jakość, elitarność. I to jest moje główne zadanie, co najmniej na trzy lata.

Jest jakaś godzina, o której ogłasza Pan koniec dnia pracy?

Raczej nie. Na szczęście rodzina to rozumie. Dwie córki same kończyły politechnikę. A żona dzielnie znosi to, że praca jest najważniejsza. Druga pasja to rower wyścigowy i samotne podróże. Od 20 do 70 kilometrów dziennie. Był rok, który zakończyłem wynikiem ponad siedmiu tysięcy kilometrów. To jest mój wolny czas, wysiłek, spalanie kalorii, endorfin. Do domu i do pracy wracam dzięki temu pełen energii i optymizmu.

Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał: Tomasz Wróblewski



Zbigniew Canowiecki, prezydent Pracodawców Pomorza.

Fot. Maciej Kosycarz / KFP

Gala Evening Pracodawców Pomorza

Prawie 700 właścicieli i szefów pomorskich firm oraz przedstawicieli środowisk nauki, kultury i pomorskich samorządów wzięło udział w dorocznej Gali Evening Pracodawców Pomorza, która odbyła się w centrum wystawienniczym Amber Expo w Gdańsku. Gala, wraz z rozstrzygnięciem konkursu Pomorski Pracodawca Roku, w pomorskich środowiskach gospodarczych uważana jest za biznesowe wydarzenie roku. Gościem specjalnym tegorocznej gali był, gorąco witany, wybitny polski aktor i wykładowca akademicki Janusz Gajos. Rolę gospodarza uroczystości pełnił prezydent Pracodawców Pomorza dr Zbigniew Canowiecki, który powiedział, że konkurs narodził się z potrzeby dostrzegania i doceniania osiągnięć pomorskich firm.

Podczas gali wręczone zostały nagrody Pomorski Pracodawca Roku w ramach kolejnej edycji konkursu organizowanego przez Pracodawców Pomorza, a także nagrody specjalne: Złote Oxery i Primum Cooperatio. W konkursie startują co roku pomorskie firmy wyróżniające się w zakresie społecznej odpowiedzialności biznesu oraz tworzące miejsca pracy przyjazne pracownikom. Nagrody przyznawane są w trzech kategoriach: przedsiębiorstwa małe – do 50 pracowników, przedsiębiorstwa średnie – od 51 do 250 pracowników i przedsiębiorstwa duże – ponad 250 zatrudnionych.

W kategorii małe przedsiębiorstwa tytuł Pomorskiego Pracodawcy Roku otrzymało Biuro Usługowe Mario z Gdańska, wykonujące roboty konserwacyjne na statkach oraz na platformach wiertniczych. Ponadto nagrodzone zostały trzy kolejne gdańskie firmy: Aste, MGB Pompy Instalacje oraz Olicon.

W kategorii średnie przedsiębiorstwa nagroda główna przypadła firmie „Szkuner” z Władysławowa, zajmującej się połowem ryb na Bałtyku oraz ich przetwórstwem. Statuetki otrzymały również przedsiębiorstwa Gardner Aerospace z Tczewa, Goyello z Gdańska oraz Solwit z Gdańska.

W kategorii duże przedsiębiorstwa laureatem nagrody głównej została firma Intel Technology Poland z Gdańska. Nagrody w tej kategorii zdobyły również firmy: Marcopol z Chwaszczyna, NFM Production z Lęborka oraz Zakłady Porcelany Stołowej Lubiana z Lubian koło Kościerzyny.

Natomiast bardzo prestiżowy tytuł Pracodawcy Roku Obszaru Metropolitalnego Gdańsk – Gdynia – Sopot przypadł w udziale Kazimierzowi Wierzbickiemu, właścicielowi Grupy Trefl, produkującej puzzle oraz gry planszowe i karty do gry. Kazimierz Wierzbicki jest także właścicielem spółki Baltic Media Group oraz spółek sportowych: Trefl Sopot – koszykówka męska, Lotos Trefl Gdańsk – siatkówka męska i PGE Atom Trefl Sopot – siatkówka żeńska.



Od lewej: Tomasz Jabłoński, dyrektor Banku PKO BP SA, Mariusz Grzęda, właściciel Biura Usługowego „Mario”, Joanna Marczak, prezes Oliconu, Grzegorz Banaszak, właściciel MGB Pompy Instalacje, Andrzej Stelmasiewicz, prezes Aste, Jerzy Jerkiewicz, prezes Pracodawców Pomorza i Mieczysław Struk, marszałek województwa pomorskiego.



Od lewej: Arkadiusz Kawecki, dyrektor Grupy Lotos, Michał Hernik, prezes „Szkunera”, Katarzyna Szmro, dyrektor Goyello, Rafał Jakubek, dyrektor Gardner Aerospace Tczew, Leszek Pankiewicz, prezes Solwitu, Jerzy Jerkiewicz, prezes Pracodawców Pomorza i Mieczysław Struk, marszałek województwa pomorskiego.



Od lewej: Tomasz Gieszc, dyrektor Biura Wojewody, Maciej Grabski, prezes Olivia Business Centre, Krzysztof Jurczyk, manager Intel Technology Poland, Zbigniew Andrzejewski, prezes Lubiany, Małgorzata Dombrowska, prezes NFM Production, Piotr Pierowicz, dyrektor Marcopolu, Mieczysław Struk, marszałek województwa pomorskiego i Jerzy Jerkiewicz, prezes Pracodawców Pomorza.

Złote Oxery, nagrody specjalne za wzorowe budowanie swoich firm, otrzymali: Ireneusz Ćwirko i Krzysztof Kulczycki – Stocznia Crist oraz Zdzisław Sochacki – Termika.

Statuetka **Primum Cooperatio**, przyznawana laureatom ze środowiska akademickiego za osiągnięcia naukowe, wręczona została prof. dr. hab. Januszowi Rachoniowi. Były rektor Politechniki Gdańskiej i senator RP otrzymał ją za wyniki badań wdrażanych we współpracy z Zakładami Farmaceutycznymi Polpharma SA, dotyczących substancji do produkcji leków na osteoporozę.

Tegoroczna Gala Evening Pracodawców Pomorza przebiegała w doskonałej atmosferze, jak przystało na spotkanie przyjaciół. Powszechna była powtarzana w kuluarach opinia, że ta doroczna uroczystość co roku osiąga coraz wyższy poziom.



Marszałek Mieczysław Struk i aktor Janusz Gajos.

(z)



Piotr Pierowicz, dyrektor Marcopoli, odbiera statuetkę z rąk marszałka Mieczysława Struka.



Marszałek Mieczysław Struk wręcza nagrodę Primus Inter Pares Krzysztofowi Jurczkowi, dyrektorowi Intel Technology Poland.



Mariusz Grzędą, właściciel Biura Usługowego „Mario”, odbiera z rąk marszałka Mieczysława Struka nagrodę Primus Inter Pares.



Gość specjalny wieczoru, Janusz Gajos.



Primus Inter Pares, Pierwszy Wśród Równych, dla Michała Hernika, prezesa „Szkunera”. Wręcza marszałek Mieczysław Struk.



Od lewej: Tomasz Hapaniuk, Zofia Hapaniuk, dyrektor finansowy „Szkunera”, Marcin Ryngwelski, dyrektor stoczni, Tomasz Herman, wicestarosta pucki, Danuta Hernik, Michał Hernik, prezes „Szkunera”, Jarosław Białk, starosta pucki z żoną Barbarą



Zbigniew Andrzejewski, prezes Zakładów Porcelany Stołowej Lubiana SA.



Wyróżnienie Pracodawców Pomorza dla Flextronics Tczew.



Złoty OxeR w rękach Ireneusza Ćwirko i Krzysztofa Kulczyckiego, założycieli stoczni Crist.



Bogdan Borsewicz, marszałek Senatu wręcza nagrodę Primum Cooperatio prof. Dr. hab. inż. Januszowi Rachoniowi.



Od lewej: Zbigniew Canowiecki, prezydent Pracodawców Pomorza, Kazimierz Smoliński, podsekretarz Stanu w Ministerstwie Infrastruktury i Budownictwa, Paweł Adamowicz, prezydent Gdańska i Krzysztof Hildebrand, prezydent Weherowa.



Minister Kazimierz Smoliński wręcza nagrodę Złotego OxeRa Zdzisławowi Sochackiemu, właścicielowi Termiki.



Krzysztof Wierzbicki, właściciel Trefla, laureat nagrody Pracodawca Roku Obszaru Metropolitalnego Gdańsk-Gdynia-Sopot z pracownikami i przyjaciółmi



Prof. Edmund Wittbrodt, przewodniczący Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i Krystyna i Janusz Rachoniowie.



Prof. Edmund Wittbrodt, przewodniczący Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i Krystyna i Janusz Rachoniowie.



Zdzisław Sochacki z żoną Lidą i synem Maciejem.

Stocznia Crist ma 27 lat



Ireneusz Ćwirko (z prawej) i Krzysztof Kulczycki nagrodzeni za konsekwencję i determinację.

Spróbujemy powspominać. Dwóch przyjaciół, inżynierów okrętowców, postanowiło w 1990 roku rozpocząć własną inwestycję. 27 lat wspólnego bytowania, po drodze wiele przemian, zdarzeń. Jak Panowie dzisiaj wspominają tamten start i początki Stoczni Crist, która dzisiaj obsypana jest nagrodami, zaszczytami i uznawana za jedną z najlepszych w Europie.

Ireneusz Ćwirko: Poznaliśmy się w Stoczni Północnej, ale każdy z nas miał już za sobą sporo doświadczeń zawodowych. Obaj jesteśmy absolwentami Politechniki Gdańskiej. Ja skończyłem studia wieczorowe, a kolega w trybie dziennym. Zacząłem pracę w 1970 roku, tu w Gdyni i po 40 latach zatoczyłem koło, znowu wróciłem w to samo miejsce. W Stoczni Północnej pracowałem blisko 20 lat, ostatnie lata na wydziale K2 po powrocie z rejsu, gdzie

i produkcję. I tak się stało. To była połowa 1990 roku, ale już wiedziałem, że to mnie mało interesuje, dlatego nie widziałem siebie w tej firmie. We wrześniu spotkaliśmy się z Ireneuszem. Pogadaliśmy, umówiliśmy się na kolejne spotkanie przy piwie i dogadanie szczegółów. Niewiele później zapadła decyzja, a w październiku zarejestrowaliśmy i założyliśmy firmę.

Na początku były to urządzenia wentylacyjne?

I.Ć.: Niezupełnie. Robiliśmy też wiele innych rzeczy, współpracowaliśmy ze stoczniami remontowymi, ze stoczną rzeczczą na Żuławach, robiliśmy różne konstrukcje, korzystaliśmy też z wcześniejszych doświadczeń laminatowych, nawet braliśmy udział przy budowie stacji paliwowej – rury były właśnie z laminatu.



plywałem jako inżynier gwarancyjny. To była końcówka lat 80. – zaproponowano mi wówczas, żebym wystartował w konkursie na dyrektora technicznego stoczni. Nie byłem członkiem partii, a kandydatów było dwóch, więc wybrano odpowiedniego człowieka na tamte czasy. Wtedy uznałem, że pora zmienić firmę. Pracowałem rok z kolegą, a potem postanowiłem założyć własną firmę. Zaczynałem od zera.

Krzysztof Kulczycki: Od lat 80. byłem praktycznie na swoim. Trzy lata spędziłem w Libii. Do 1983 roku pracowałem jako superintendent w administracji, która zajmowała się jednostkami rybackimi. W tym czasie budowano sześć trawlerów połowowych w Grecji. Później wróciłem do Stoczni Północnej, pracowałem trzy lata w biurze projektowym. Od 1986 roku przez dwa lata pływałem u Greków, potem był Dubaj i stocznia, a potem Kuwejt – i też stocznia. Po inwazji Iraku na Kuwejt wróciłem do Polski. Szybko znalazła mnie szwedzka firma, która chciała tu zbudować fabryki. Nie znałem się na laminatach, na rurach i zbiornikach, ale podjąłem się uruchomić fabrykę

K.K.: To był wówczas niewielki rynek, więc postanowiliśmy spróbować. Robiliśmy zbiorniki z laminatu, tzw. bioklery. Znaleźliśmy odbiorcę, instalowała to polska firma, choć sam patent był fiński. Musieliśmy się dobrać w sprzęt, bo zależało nam na jakości naszych produktów. Szukaliśmy jakichś gwarancji, ale nie było to proste. Robiliśmy też równoległe produkcję stocznioową.

Czy wtedy powstała nazwa Stocznia Crist?

I.Ć.: Nasza firma od założenia nosiła tę nazwę. Kolega Krzysztof – pierwsze litery imienia: Cristofer i imię mojej żony Krystyna, z tej zbieżności ułożyła się nazwa firmy.

Stocznia Crist to marka. Ale teraz Waszym udziałowcem jest firma z państwowej grupy MARS, wchodzącej w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

K.K.: Cały czas byliśmy spółką prywatną, przekształciliśmy się ze spółki z o. o. w spółkę SA. Obaj byliśmy udziałowcami, a w 2013 roku nastąpiło kolejne przekształcenie.



I.Ć.: Trzeba jednak wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Kupiliśmy suchy dok w 2010 roku i zbudowaliśmy za blisko 220 mln euro statek „Innovation” do stawiania farm wiatrowych. Został on zresztą statkiem roku w Europie. W 2012 roku przekazaliśmy jednostkę armatorowi. Niestety nie zapłacono nam za wszystkie prace i od 2012 roku jesteśmy w sporze na kwotę około 25 mln euro.

K.K.: Żeby nie utracić płynności finansowej musieliśmy znaleźć kogoś do współpracy. Były propozycje różnych funduszy zagranicznych, ale w pewnym momencie pojawiła się polska firma. Uznaliśmy to za dobrą decyzję, ale nie sądziliśmy, że dzięki wsparciu polskiego funduszu znajdziemy się w tak dobrej sytuacji, jak obecnie. Patrząc dzisiaj na sytuację gospodarczą i przemysł stoczniowy wiemy, jak silna jest nasza pozycja. Może nie wszyscy to jeszcze widzą, ale Stocznia Crist funkcjonuje, zatrudnia blisko dwa tysiące osób i buduje różnorodne statki specjalistyczne. W Europie jako jedyna.

Rynek offshorowy to specjalność tej stoczni.

I.Ć.: Przez te lata wykonywaliśmy różnorodne projekty w zależności od potrzeb rynku. Jesteśmy w stanie zrobić najbardziej skomplikowane konstrukcje stalowe. Stworzyliśmy kesony pod budowę wielkiego mostu w Szkocji. To są przęsła, które można spawać pod wodą. Zrobiliśmy śluzę do Bremerhaven – każda ma ponad dwa tysiące ton.

K.K.: To było 32-metrowe wejście do stoczni i portu w Bremerhaven, które poszerzono do 56 metrów. I trzeba było zainstalować dwie nowe śluzy. Zrobiliśmy trzy, bo zawsze powinna być jedna rezerwowa.

I.Ć.: Braliśmy też udział w budowie portu kontenerowego w Gdańsku, robiliśmy różne konstrukcje stalowe, wykonywaliśmy barki do przewozu elementów związanych z farmami wiatrowymi.

A słynna barka „Ośmiornica” („Zourite”)?

I.Ć.: To była bardzo ważna realizacja, nasze dzieło. Ta barka wspiera budowę autostrady we Francji wokół wyspy Reunion. Skąły się osypują, jest niebezpieczeństwo przy transporcie normalną drogą lądową. Dlatego jest tam budowana autostrada przez wodę, 200 metrów od brzegu. „Zourite” reali-

zuje kluczową część inwestycji, czyli umieszcza elementy autostrady na dnie morza. 95 proc. elementów konstrukcji jest przygotowywanych na lądzie, a potem właśnie dzięki barce można je transportować i usadawiać na dnie morskim. Budowę jednostki zlecili nam Francuzi, ale robiliśmy też projekty dla Greków, Norwegów, Niemców.

Ile projektów zrealizowaliście w Stoczni Crist przez te 27 lat?

I.Ć.: Ponad 350, każdy inny, prawie każdy prototypowy. Nie baliśmy się wyzwań. Do np. „Innovation” startowaliśmy w przetargu z trzema stoczniami niemieckimi. Zaoferowaliśmy wykonanie jednostki w terminie 24 miesiące, stocznie niemieckie między 32 a 36 miesięcy.

A to nie było szaleństwo, te 24 miesiące?

I.Ć.: Podjęliśmy ryzyko i zrobiliśmy to w zaplanowanym czasie. Tylko w trakcie budowy, gdy ten projekt został nam przekazany, okazało się, że aby spełnić założenia armatora, np. osiągnięcie prędkości, system podnoszenia itd., trzeba zmienić kształt kadłuba. Przy jego pierwotnym kształcie nie dało się tego wykonać, więc musieliśmy zrobić swoje badania modelowe. Okazało się, że trzeba jednocześnie przeprojektować statek i go budować, żeby ten czas 24 miesiące utrzymać. Teraz spieramy się z armatorem o te dodatkowe prace, czyli pieniądze za nasze działania. To niebagatelna suma 25 mln euro.

K.K.: Również z tego powodu zaczęliśmy współpracę z państwową grupą MARS. To była finansowa konieczność.

Wasza działalność i zawodowa aktywność przez te wszystkie lata łączyła się z wielkim ryzykiem, nie tylko finansowym. Czy jesteście Panowie ryzykantami?

K.K.: Szczepcie? Jesteśmy racjonalnymi ryzykantami – tak to można określić.

I.Ć.: W biznesie nie ma tak, że wszystko jest łatwe. Wiele zależy po pierwsze – od szczęścia, a pod drugie – od wiedzy. W naszą działalność jest na pewno w kalkulowane ryzyko. Kiedy byliśmy w Gdańsku, w pierwszej fazie naszej działalności mieliśmy kilka dzierżawionych powierzchni i budowaliśmy tam statki różnego typu. Robiliśmy to dosłownie w polu, przy kawałku nabrze-

ża. Budowaliśmy statki, wciągaliśmy je potem na pontony. Na specjalnie robionych zdjęciach wyglądało to, jakby w krzakach stał budowany przez nas kontenerowiec.

K.K.: Te zdjęcia odpowiednio kadrowali nasi konkurenci z innych stoczni.

I.Ć.: Największy obiekt, jaki tam robiliśmy, był rzędu 120 metrów o ciężarze w granicach trzech tysięcy ton. Sprowadziliśmy obiekt pływający, który mógł na siebie wziąć tę konstrukcję i chyba dwie doby wciągaliśmy ją na ponton. Wodowaliśmy pod kątem. W tej dziedzinie mieliśmy sporo różnych doświadczeń. To nie były typowe wodowania, bo nie było pochylni, nie było doku.

Czyli byliście uparci i konsekwentni.

I.Ć.: Zdecydowanie tak. Pierwsze lata pracowaliśmy szesnaście i więcej godzin na dobę, w nocy często byliśmy w stoczni. Ale też zasadniczą sprawą dla nas były terminy. I tu mieliśmy przewagę, bo przez te wszystkie lata dotrzymywaliśmy terminów i... jakości. I te dwa kryteria do dzisiaj są na rynku doceniane. Obecnie klienci sami do nas przychodzą, bo znają Crist i wiedzą, na co mogą liczyć.

Czy zawsze w stu procentach ufano w to, co robili Panowie w Stoczni Crist?

I.Ć.: Nie zawsze, czasami pojawiały się wątpliwości. Francuzi je mieli przy budowie „Zourite”. Termin był 400-dniowy, co było prawdziwym wyzwaniem. Ostatnio zmagaliśmy się z platformą Lotosu, którą trzeba było wprowadzić do doku. Włosi, którzy robili projekt mówili, że nie mamy szans, bo w Europie jest tylko jeden dok, gdzie można wejść z takim zanurzeniem i z tymi wystającymi „nogami” platformy. Mówili o Rotterdamie. My się jednak nie poddałiśmy i wjechaliśmy do doku za pomocą pontonów wypornościowych. Włosi przecierali oczy ze zdumienia.

Dostaliście Panowie niedawno nagrodę Pracodawców Pomorza Złote Oxery za konsekwencję i determinację w budowaniu własnej firmy.

I.Ć.: Dzisiaj jesteśmy w Radzie Nadzorczej i szukamy cały czas nowego modelu rozwoju stoczni Crist. Uważamy zresztą, że budowaliśmy tę firmę nie tylko dla siebie. Gospodarka morska była tutaj kiedyś bardzo ważna, co widać na przykładzie profesjonalnej kadry inżynierskiej o wielkich kwalifikacjach. Dzisiaj Crist powinna kontynuować misję rozwoju polskiego przemysłu stoczniowego, funkcjonując dalej jako stocznia prywatna. Armatorzy, którzy od wielu lat z nami współpracują, wierzą nam, naszemu doświadczeniu i profesjonalizmowi. To zaufanie, które budowaliśmy latami, dzisiaj procentuje.

K.K.: Najważniejsze, że jest z kim rozmawiać. Procedury obowiązują, to oczywiste, ale decyzje możemy podejmować szybko, w ciągu kilku dni. To jest gwarantem naszych dobrych relacji z armatorami. Najważniejsze, by decyzji nietrafionych było jak najmniej.

I.Ć.: Do tej pory mieliśmy szczęście.

K.K.: Staramy się współpracować z każdą stoczną europejską, a nie tylko konkurować. Rynek europejski jest wąski i chęć istnienia zmusza do współpracy. Informujemy się o klientach i naszych działaniach. W Europie działamy wspólnie, ale w Polsce to jeszcze nie zawsze jest normą. We współpracy trzeba być uczciwym, a konkurencja bez fauli mobilizuje.

Dziękuję za rozmowę, gratuluję dotychczasowych wyróżnień i nagród. I życzę następnych.

Rozmawiała Alina Kietrys





Termika

Rozwój bez przeszkód

Rozmawiamy z laureatem Zdzisławem Sochackim oraz jego synem Maciejem Sochackim, obecnym prezesem firmy Termika.

Są trzy warunki udanego biznesu: zgrana załoga, udany następca oraz kochająca rodzina. Ja mam to wszystko, więc o przyszłość firmy jestem spokojny – mówi Zdzisław Sochacki, założyciel gdańskiej spółki Termika i tegoroczny laureat nagrody Złoty OxeR, przyznawanej przez Pracodawców Pomorza.

Złoty OxeR to nagroda specjalna, za konsekwencję i determinację w budowaniu firmy. Jakie przeszkody trzeba pokonać, żeby osiągnąć taki sukces, jak Termika?

Zdzisław Sochacki: Warunkiem koniecznym jest stworzenie zespołu, z którym można coś budować. Z nami, przez 20 lat, taka załoga, zgrana i zaufana, powstała. To istotne, bo najwięcej pracujemy u zleceniodawców. Niektórych pracowników nie widzę kilka miesięcy, pracują przy budowie nowej huty miedzi w Głogowie, spalarni śmieci w Szczecinie, czy budowie nowych spalarni śmieci w Anglii.

Kwestia zaufania jest w takim przypadku najważniejsza, żeby nie przynieść wstydu i zrobić swoje jak najlepiej. Klientów nam przybywa, więc chyba jesteśmy w stanie sprostać coraz większym wymaganiom. Nie wszystko da się zastąpić maszynami.

Izolacja, wentylacja, klimatyzacja. Skąd taki rodzaj działalności?

ZS: Wywodzę się z przemysłu stoczniowego, jeszcze z czasów PRL. W 1997 roku założyłem spółkę specjalizującą się w technice izolacyjnej, bazującą na przemyśle stoczniowym. Razem ze mną na początku było pięciu pracowników. Załoga w pierwszych 10 latach rosła dynamicznie do blisko 100 osób. Później doszły nowe gałęzie rozwoju firmy – wentylacja i klimatyzacja, dział handlowy, produkcja wyrobów własnych oraz wielka pomoc w postaci syna, który rozpoczął pracę ze mną.

Syn przejmujący stery w firmie, to marzenie każdego ojca. Czy to kwestia przeznaczenia?

ZS: Syn w wieku 18 lat pojechał na pierwszy firmowy kontrakt do Singapuru. Spędził tam kilka miesięcy. Pracy miał tyle, że spóźnił się na studia w Polsce. Chyba mu to odpowiadało, bo chciał pracować dalej i przejąć interes. Z takim wsparciem mogliśmy rozwijać się jeszcze mocniej i szybciej.

To widać również tu na miejscu, w Gdańsku. Widać, jak Termika rozwija się powierzchniowo.

ZS: Jest nas coraz więcej przy ulicy Narwickiej, gdzie mamy siedzibę. Kupiliśmy kolejne działki przy tej ulicy. Rozwój idzie w kierunku nowych gałęzi działalności – klimatyzacji i wentylacji, równoległe z izola-

cją przemysłową i hurtownią materiałów własnych jak również izolacyjnych. Mamy tu produkcję wyrobów własnych i magazyny, więc handlujemy swoimi produktami oraz najlepszymi światowymi producentami.

Rozwój dotyczy też branż przemysłu, w jakich Termika pojawia się jako partner i wykonawca.

ZS: Rozpoczęliśmy od branży stoczniowej, a dziś zajmujemy się też budowlaną, paliwową, off-shore, energetyczną. W samym Trójmieście wśród naszych partnerów są takie firmy jak Lotos, Remontowa, Nauta, Crist.

Chyba nie ma branży przemysłu, w której nie jest potrzebna izolacja. Mamy pracę w stoczni przy instalacji LNG, w której temperatura wynosi minus 190 stopni Celsjusza, ale pracujemy też przy turbinach energetycznych, w których temperatura przekracza 1000 stopni Celsjusza.

Jak się robi tak udaną ekspansję zagraniczną?

ZS: To zaczyna się najczęściej podczas inwestycji w Polsce, gdzie współpracujemy z dużym wykonawcą. Takim na przykład, jak spółka Rafako, z którą pracowaliśmy przy budowie Instalacji Odsiarczania Spalin w gdańskim i gdyńskim EDF-ie. Chyba z dobrym skutkiem, bo zostaliśmy zaproszeni przez tę firmę do kolejnych inwestycji, już w Danii czy Anglii. Później wielu inwestorów zaczęło się już zgłaszać do Termiki bezpośrednio. Wielkie zadowolenie daje to, że z propozycją współpracy dotarła do nas największa firma budowlana w Europie, czyli francuska Vinci. Będziemy razem z nimi pracować nad inwestycją w Wielkiej Brytanii.

Świat stanął otworem. Czego mogą nauczyć takie działania na wielu rynkach?

Maciej Sochacki: Wejście do Unii Europejskiej, otwarcie granic dało nam swobodę w ekspansji, możliwości rywalizowania z najlepszymi. Był to też impuls do rozwoju, przestrzegania procedur, wypełniania wymogów, ale też poznawania nowoczesnych rozwiązań i innej kultury pracy. Z ludzkiego punktu widzenia zyskują też nasi pracownicy. Poznają świat, uczą się języków. A zadowolone firmy zachodnie biorą nas do kolejnych projektów.



Termika

Firma rozpoczęła działalność w 1997 roku, specjalizując się w technice izolacyjnej. Zatrudniała wówczas czterech pracowników. Właściciel przy pomocy rodziny i przyjaciół sukcesywnie rozwijał firmę, również w kierunku wentylacji i klimatyzacji; dzięki temu Termika rozpoczęła ekspansję poza granice Polski, jednocześnie rozbudowując swoją moc handlową i produkcyjną wokół siedziby w Gdańsku przy ul. Narwickiej. Firma otrzymuje od wielu lat zamówienia z Norwegii, Francji, Wielkiej Brytanii, a nawet z Singapuru i Peru. Uczestniczy w realizacji dużych inwestycji, typu elektrociepłowni i spalarni śmieci. Ostatnio również w Polsce – w Bydgoszczy, Szczecinie i Poznaniu. Realizuje kompleksową izolację cieplną ciepłociągów, pieców, kotłów i zbiorników. Przykładem może być np. Huta Miedzi w Głogowie. Termika posiada w tej chwili w Gdańsku teren o powierzchni 1,5 ha, dzięki czemu możliwy jest jej rozwój. Zatrudnia blisko 300 pracowników. Przez prawie 20 lat firmą zarządzał jej założyciel Zdzisław Sochacki. Obecnie ster przejął jego syn Maciej.



Działając na tyłu rynkach trudno nie porównywać Polski ze światem.

MS: Prosty przykład z branży energetycznej. W ostatnich pięciu latach braliśmy czynny udział w budowie 20 spalarni śmieci w Europie. W Polsce powstało w tym czasie takich obiektów góra pięć. Gdańska spalarnia na Szadółkach powstaje od lat i nic nie zapowiada, by w końcu powstała.

To śmierzący temat?

MS: Raczej brak zrozumienia. Każdy, kto mówi o nowoczesnej spalarni i smrodzie, którego nie da się uniknąć, nie zna problemu. Spalarnie w Europie przerabiają więcej śmieci niż polskie, ale z ich kominów leci głównie para i na pewno nie ma smrodu.

Udane inwestycje w Polsce i świecie, rozwój własnej działalności, coraz większa liczba klientów z różnych branż i bogatsza oferta produktów i usług. Co dalej?

ZS: Jako firma rodzinna jesteśmy na maksymalnym poziomie. Myślimy, jak budować przyszłość biznesu na nowych terenach, ale to już zadanie głównie dla syna.

MS: Dziś zatrudniamy 300 osób i rywalizujemy w Polsce z niemieckimi gigantami. Nie chcemy się z nimi ścigać. Myślimy raczej o rozwoju własnej produkcji i oferowaniu naszych produktów również dzisiejszym naszym konkurentom. A produkujemy coraz więcej. W istniejącym już obiekcie, a wkrótce w hali produkcyjnej, którą budujemy przy Narwickiej, jest gdzie stawiać maszyny. Ceniemy nasz najlepszy zespół, ale chcemy też pójść w kierunku automatyzacji i nowoczesnych rozwiązań.

O nowych kierunkach rozwoju firmy Termika decyduje pan Maciej Sochacki, ale pan Zdzisław Sochacki i tak co rano pojawia się w siedzibie firmy.

ZS: Zawsze mówiłem, że do rozwoju firmy potrzebne są trzy elementy: żółta, następca i rodzina. Mnie udało się z każdym z nich. A najbardziej z rodziną, szczególnie żoną, która wytrzymuje to, że moje życie skupione jest wokół Termiki. No i przyzwyczała się, mam nadzieję, że po 20 latach jej mąż nadal wstaje na szóstą rano do pracy. Choć już nie musi. Śmieję się, że jednak czas na emeryturę, bo w szafie brak już miejsca na dzwonki, które przywożę z każdej służbowej podróży, od Nowego Jorku po Pekin.

Musi istnieć świat poza Termiką?

MS: Grałem kiedyś dużo w piłkę nożną. A teraz bardziej lubię się zmęczyć po pracy. Więc biegam, jeżdżę na rowerze, na nartach.

ZS: A ja cenię sobie dom za miastem, ogród, staw, własną przestrzeń. Może z czasem pozwolimy sobie na konia. Największą radość dają mi oczywiście wnuczki, trzy dziewczyny. Jedna z nich być może przejmie kiedyś firmę.

Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał: Tomasz Wróblewski



Złoty Oxer

Integralną częścią konkursu Pomorski Pracodawca Roku jest Złoty Oxer – nagroda specjalna. Jej nazwa pochodzi od niezwykle trudnej do pokonania przeszkody w zawodach hippicznych – Oxera. Sport ten kojarzony jest z elegancją, sukcesem i najwyższą jakością, do czego przedsiębiorcy zawsze dążą. Ta wyjątkowa nagroda jest przyznawana osobie, która dzięki własnej inicjatywie, uporowi i determinacji stworzyła firmę, pokonując przez lata kolejne trudne przeszkody i wyzwania. W działalności takiego przedsiębiorcy ważna jest wizja rozwojowa firmy oraz konsekwencja w realizacji przyjętych celów strategicznych. Laureatem Złotego Oxera za rok 2016 został Zdzisław Sochacki, założyciel firmy Termika.

Modernizacja na kolei

Trasa kolejowa od granicy województwa pomorskiego, przez Miastko, Słupsk, do Ustki jest ważnym korytarzem transportowym dla mieszkańców tej części regionu. W sprawie modernizacji tej trasy podpisano umowę sygnowaną przez marszałka województwa pomorskiego oraz przedstawicieli PKP PLK. Za blisko 250 mln zł zostanie zmodernizowanych 90 km linii kolejowej na pomorskim odcinku linii nr 405 – od granicy województwa pomorskiego przez Miastko, Słupsk do Ustki.

Wzdłuż tej trasy powstaną wygodne perony, nowe oświetlenie, wiaty i ławki oraz lepsza dostępność do kolei dla osób o ograniczonej sprawności ruchowej. Wszystko to dzięki projektowi wybranemu przez Zarząd Województwa Pomorskiego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego na lata 2014–2020, który zostanie dofinansowany kwotą unijnego wsparcia w wysokości 171 mln zł. Inwestycja będzie realizowana przez PKP PLK od maja 2017 do grudnia 2020 r. Efektem projektu będzie poprawa atrakcyjności pasażerskiego transportu kolejowego, m.in.



Fot. Sławomir Puldyn

dzięki skróceniu czasu przejazdów oraz poprawie bezpieczeństwa i komfortu podróży.

W ramach wspomnianego projektu wymieniona zostanie nawierzchnia torowa od stacji Miastko do Ustki. Zmodernizowane i przebudowane zostaną m.in. 53 przejazdy kolejowe, cztery mosty i osiem wiaduktów. Na stacji Kępice wybudowane zostanie nowe przejście pod torami, zaś w Miastku przejście pod torami zostanie wyremontowane. Zrewitalizowane zostaną również 22 perony wzdłuż całej trasy, linie telekomunikacyjne i elektroenergetyczne, a także urządzenia sterowania ruchem kolejowym.

Przypomnijmy, że 13 czerwca ubiegłego roku podpisana została pierwsza umowa o dofinansowanie projektu – w ramach pakietu przedsięwzięć strategicznych dotyczących rewitalizacji linii kolejowych – dotycząca przedsięwzięcia „Rewitalizacja linii kolejowej nr 207 odcinek granica województwa – Malbork”, na które przyznanych zostało 180 mln zł dofinansowania.

Jak się przewiduje, z wybudowanej w ramach powyższych projektów infrastruktury rocznie korzystać będzie blisko milion pasażerów.



Studio fryzjerskie, otwarte w 2016 roku w BALTIQ Plaza w Gdyni, z myślą o komforcie klientów.

Przeznaczone jest dla wszystkich, ceniących sobie luksus oraz kameralną atmosferę zdalą od zgiełku miasta, mimo jego lokalizacji w ścisłym centrum.

tel. 730 000 079

facebook.com/studiofgdynia

BALTIQ Plaza
81-391 Gdynia
ul. Świętojańska 43/19

„Szkuner” – w sztormie, ale wytrwale do przodu

„Szkuner” sp. z o.o. to firma poławiająca ryby na Morzu Bałtyckim. Jako Przedsiębiorstwo Połowów i Usług Rybackich „Szkuner” powstał 1 stycznia 1955 r. Na początku zatrudniał około 940 pracowników, posiadając 31 kutrów rybackich. Trzy lata później firma miała już ponad trzystu pracowników więcej. Od roku 1957 „Szkuner”, na mocy zarządzenia Ministra Żeglugi, objął w trwały zarząd Port Władysławowo (oddany do użytku 4 maja 1938 roku), przejmując go od Urzędu Morskiego w Gdyni. Podczas ponad sześćdziesięcioletniego istnienia walczył o nadanie praw miejskich dwóm sąsiadującym miejscowościom: Wielka Wieś i Hallerowo, które pod wspólną, zaczerpniętą od portu nazwą Władysławowo, prawa miejskie otrzymały w 1963 roku. W 2007 roku przekształcono „Szkuner” w spółkę Skarbu Państwa, a od roku 2011 należy już do Starostwa Powiatowego w Pucku. W 2012 roku Rada Powiatu Puckiego przyjęła uchwałę zatwierdzającą 5-letni plan restrukturyzacji firmy.



Prezes Michał Hernik.

Kilka dni temu umówiłem się na rozmowę z prezesem „Szkunera” Michałem Hernikiem. Rok 2014 był trudny, czterokrotnie zmieniał się zarząd, ja sprawuję tę funkcję od grudnia 2014 roku. Rozpocząłem pracę w tej firmie w sierpniu 2012 roku na stanowisku zastępcy dyrektora produkcji – kierownika produkcji.

Z branżą rybną jestem związany już od dobrych piętnastu lat. Pracowałem w firmach prywatnych, na różnych stanowiskach, przeszedłem całą drogę związaną z produkcją rybną. Z wykształcenia jestem inżynierem rybactwa. Ukończyłem Wydział Nauk o Żywności i Rybactwa Akademii Rolniczej w Szczecinie. Pochodzę z centralnej Polski, ale zawsze mnie nad morze ciągnęło. Od dziecka pasjonowałem się wędkarstwem, akwarystyką, potem wciągnęły mnie studia, pogłębiając moją wiedzę i pasję. (I jakby na potwierdzenie tych słów usłyszałem głosy mew, krążących nad kutrem rybackim w nadziei na łup...).

Dzisiaj „Szkuner” to trzy podstawowe rodzaje działalności: rybołówstwo i przetwórstwo rybne, stocznia oraz port. Stan floty to pięć kutrów do połowów rufowych – dwa typu B-280 i trzy B-410. W 2010 roku firma miała o jeden więcej – złomowanie czy inna przyczyna?

Najważniejsza jest działalność połowowa. O ile wiem, jeden kuter został sprzedany w 2011 roku, myślę, że chodziło o ratowanie płynności finansowej firmy – wtedy jeszcze tu nie pracowałem. – Trochę szkoda – kwoty połowowe przydzielane są konkretnym jednostkom flotycznym. Były w „Szkunerze” czasy, kiedy dysponował 50 jednostkami, były czasy wielkich żniw połowowych. Nie da się porównać ówczesnych zasobów Bałtyku z ich stanem dzisiaj – wzdycha prezes.

Kiedy powstawał „Szkuner” sp. z o.o., w planach była dalsza prywatyzacja, wyodrębnienie spółek zależnych (port, przetwórnia, stocznia); rozpoczęto rozmowy z potencjalnymi inwestorami, 15% udziałów miało trafić w ręce

pracowników (również emerytów). Jak jest dzisiaj? – Już się o tym nie mówi, choć słyszałem o takich zamierzeniach. Koncepcji przyszłego funkcjonowania firmy było kilka. Obecnie właściciel (Starostwo Powiatowe w Pucku) nie rozważa dalszego etapu prywatyzacji, chce aby firma dalej się rozwijała pod obecną postacią. Jak funkcjonuje port? – pytam. – Oprócz naszych kutrów, cumuje tu jeszcze kilkadziesiąt należących do małych firm czy prywatnych armatorów, są jednostki rybackie, ale i oferujące rejsy turystyczne czy wędkarskie. Pobieramy opłaty portowe... Odeszliśmy na razie od planów rozbudowy naszej maryny – dużo tu, oprócz polskich, przypluwa kutrów z państw nadbałtyckich. My nie kupujemy od nich ryb, ale mają swoich nabywców. Nasza obecna sytuacja finansowa nie pozwala na myślenie o inwestycjach typu powiększenie maryny. Dzisiaj wszelkie nadwyżki finansowe przeznaczamy na doinwestowanie przetwórnii lub stoczni. Robimy to w sposób wyważony. W mojej ocenie, do obecnej słabej kondycji firmy przyczynił się znaczny spadek zasobów ryb na Bałtyku. Odkąd tu pracuję, wygląd firmy i stan techniczny naszej infrastruktury zdecydowanie się poprawiły, co jest nie tylko moją zasługą – również moich poprzedników. Powstał na terenie portu budynek zaplecza socjalnego dla rybaków „Głada”, którego budowę rozpoczęto w 2011 roku, a oddano do użytku w marcu 2012 r. Zbudowano go ze środków unijnych, ma część hotelową, konferencyjną i żywieniową. Jest dzierżawiony przez Zrzeszenie Rybaków Morskich. Jednak jeszcze jesteśmy związani zobowiązaniem celowym tego projektu – przez pięć lat wysokość pobieranych opłat nie może przekraczać poziomu amortyzacji kosztów. Ten okres w tym roku się kończy i chcielibyśmy zacząć na tym obiekcie zarabiać – rozmowy są w toku.

Ryby – tutaj to temat zasadniczy, ile możecie złowić na Bałtyku? – Ten rok zapowiada się gorzej niż poprzedni. Jest kolejnym rokiem obniżania przez Unię Europejską kwot połowowych dorsza, co jest związane ze stanem zasobów tych ryb. Nasze kutry nie dostały żadnych limitów na rok obecny. Na naszą część Bałtyku limity obniżono o ok. 26%. Departament Rybołówstwa w Ministerstwie Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej miał zasadniczy problem, jak podzielić limit przypadający Polsce. W związku z segmentacją floty flotycznej (podziałem kutrów z uwagi na ich wielkość i specjalizację przystosowania do połowu dorsza) – kutry z naszego segmentu (powyżej 24 metrów długości) dostały jedynie limity tzw. przyłowowe (chodzi o przypadkowe wejścia w sieci podczas połowu innych ryb) do 10 ton rocznie na kuter. Trzeba dodać, że obowiązuje zakaz odrzucania niechcianych ryb i obowiązek przywożenia ich do portu. Z jednej strony nie możemy prowadzić celowych połowów dorsza, ale z drugiej taki przepis zabezpiecza nas przed zdarzeniami przypadkowymi. Obowiązkiem szyprow jest dokładna ewidencja każdego takiego przypadku. Dorsz ma swój rozmiar ochronny (poniżej 35 cm długości łapać nie wolno) – stosuje się różnego rodzaju zabezpieczenia techniczne, które uniemożliwiają wchodzenie w sieci zbyt małych (młodych) ryb. Możliwości połowowe ustalane są na bazie badań naukowych, których wyniki przekazywane są Komisji Europejskiej. Własne ośrodki badawcze mają wszystkie kraje nadbałtyckie. Naukowcy z reguły postulują przyznawanie mniejszych, niż to ma miejsce, kwot połowowych dla poszczególnych krajów. Jednak komisja



Dwa szkunerowskie kutry typu B-410 przy nabrzeżu portu we Władysławowie.

bierze pod uwagę również względy ekonomiczne, zapobieganie ewentualnym upadłościom wielu firm. Państwa posiadające największe floty (np. Niemcy czy Dania) z reguły oprotestowują wielkość przydzielonych limitów. To są bardzo trudne, wymagające kompromisów ustalenia. Na połowy dorsza w Polsce w tym roku pewne kwoty przypadły mniejszym kutrom – zdecydowały tu względy ekonomiczne – są tańsze w eksploatacji. „Szkuner” teraz poławia jedynie sproty i śledzie. Kwoty wynoszą tu odpowiednio tysiąc ton i 600 ton na kuter. (W firmie pamięta się rok 1980, kiedy to w samym tylko I półroczu szkunerowskie kutry złowiły prawie 30 tys. ton dorsza. Brakowało miejsc do ich wyładowania, przerobienia i składowania. Część sprzedano wówczas odbiorcom zagranicznym, część wyładowywano w innych portach rybackich... (W perspektywie nadchodzących wielu lat taki urodzaj raczej nie jest już możliwy – red.). – Nie są to wielkie ilości, jesteśmy w stanie je odłowić w trzy, cztery miesiące. Łowimy głównie na cele konsumpcyjne – w okresach, kiedy ryba ma najlepszą przydatność technologiczną. Teraz łowimy szprota, jego największą wartość (najbardziej optymalna zawartość tłuszczu) przypada od połowy stycznia do końca kwietnia. W tym czasie staramy się nasze kwoty odłowić. Kiedy przychodzi lato, zaczynamy poławiać śledzia. Generalnie dzisiaj w rybołówstwie nie ma zadowolonych – my jesteśmy na granicy opłacalności funkcjonowania. Sytuację o wiele poważniejszą ma rybołówstwo przybrzeżne, stąd więcej działań wspierających od naszego rządu i Unii Europejskiej.

Zapytałem, czy w firmie myśli się o odnowie bądź zakupach nowych kutrów w przyszłości?

Dzisiaj nie mamy szans, aby wybiegać z planami inwestycyjnymi bardzo do przodu. Działania raczej mają charakter planowania rocznego, począwszy od wiedzy na temat kwot połowowych – one nas limitują, a tendencje do ich obniżania nie napawają optymizmem. Ja nawet nie słyszałem, aby ktokolwiek w Polsce inwestował w kutry. Wiem, że nowe kutry budują Szwedzi, Duńczycy. Tamtejsze rybołówstwo inaczej funkcjonuje, nie jest tak rozdrobione jak u nas, jest inne podejście władz do zarządzania rybołówstwem.

„Szkuner” ma własną stocznnię remontową. Pytam, czy są w niej możliwości budowy nowych jednostek? – Zbudowano ją głównie na potrzeby naszej firmy. Moim dzisiaj problemem jest to, że w czasach swojej świetności „Szkuner” zatrudniał nawet dwa i pół tysiąca ludzi, miał 50 kutrów. W tej chwili zatrud-

niamy dziesięć procent tego stanu, dokładnie 225 osób, mamy 10% stanu tamtej floty, a infrastruktura została. Chcemy ją utrzymać, mimo iż mocno się zestarzała. Zdajemy sobie sprawę, że nie będzie to możliwe w przypadku remontowania tylko jednostek rybackich. Przez lata miało tu miejsce sporo zaniedbań. Nie inwestowano ani w technologię, ani w ludzi. Doprowadzono do takiego stanu, że stocznia zajmowała się jedynie piaskowaniem i malowaniem kutrów. Nadrabiamy to, otwieramy się na remonty jednostek spoza rybołówstwa. W roku ubiegłym wyremontowaliśmy pięć łodołamaczy dla Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej z Gdańska, robiliśmy remonty dla portu gdyńskiego. Planujemy odbudowę prac spawalniczo-konstrukcyjnych – jesteśmy w trakcie rozmów z trójmiejskimi stoczniami. Oczywiście nie chodzi nam o całe jednostki, ale na przykład ich część wyposażenia: trapy, barierki, elementy konstrukcyjne. W roku poprzednim zainwestowaliśmy w sprzęt spawalniczy i szkolenia pracowników, zakończone wyrobieniem certyfikatów spawalniczych Polskiego Rejestru Statków. Wychodzimy z remontami poza Bałtyk. Obecnie przeprowadzamy remont kapitalny holenderskiego kutra do połowu krewetek, w planach są dwie jednostki duńskie. Szukamy wszędzie. Startujemy też w przetargach ogłaszanych przez Marynarkę Wojenną – oczywiście na jednostki pomocnicze. W kręgu naszych zainteresowań znajdują się jednostki do 30 metrów długości, wiemy, że mają swój rynek, jest ich dużo, i jest o co walczyć. – Wielu naszych klientów, do których obecnie staramy się dotrzeć, jest bardzo zdziwionych, że w ogóle mamy stocznnię! Wielu mówi nam, że stocznia ma większy w tej chwili potencjał rozwojowy niż rybołówstwo. Zatrudniliśmy też spawaczy, monterów, inżyniera od produkcji stalowej – kompletujemy zespół. Jesteśmy też w trakcie pewnych rozmów, o których jeszcze zbyt wcześnie byłoby mówić.

Zbliżacie się do końca pięcioletniego procesu restrukturyzacji. Jakie nastąpiły zmiany i jakie są Pańskie dokonania w tym czasie?

Przed wszystkim udało się zatrzymać zjazd „Szkunera” w dół. Wielu starszych pracowników pamięta potęgę firmy z lat jej najlepszego funkcjonowania, mają żal, że majątek został roztrwoniony. Rozumieją przy tym, że najważniejszym powodem takiego stanu rzeczy stał się poważny ubytek ryb. Zapytałem o liczby: – Po roku 2014 mieliśmy dużą stratę, na poziomie 3,6 mln złotych. Po 2015 (pierwszy pełny rok zarządzania prezesa Michała Hernika – red.), strata zmalała do 2,3 mln, a teraz wynosi 1,2 mln. Pomogła nam



Stocznia, remont łodołamacza.



Przetwórnia ryb.

sprzedaż jednej nieruchomości. Miałem też nadzieję na wynik nawet lekko dodatni. Niestety, przeszkodziły nam warunki pogodowe na Bałtyku. Ja nie mogłem w to uwierzyć – praktycznie cały czwarty kwartał wiało i panowały silne sztormy, nie mogliśmy łowić śledzi... Mielismy w tym czasie tylko kilka wyjść kutrów w morze.

Wydaje mi się, że największa duma prezesa Hernika to przetwórnia. Pamiętałem ją z moich wcześniejszych wizyt w tej firmie. Funkcjonująca od 1969 roku, z dobudowaną w 2008 roku ze środków unijnych nową chłodnią o powierzchni składowej do 800 ton. Jak wygląda dzisiaj? – To jest, uważam, jeden z moich największych sukcesów. Jeszcze za poprzedniego zarządu zostały nam przyznane środki z funduszu rybackiego na modernizację przetworni. Zagrożeniem, które zastałem po przejęciu sterów firmy, była perspektywa zwrotu przyznanych nam środków. Był pomysł na zmiany, ale brakowało wykończenia, pieniądze leżały zamrożone na koncie od dwóch lat. Do końca czerwca 2015 roku miała obowiązywać umowa z Agencją Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa na zakup wyposażenia. Wcześniej (jeszcze jako zastępca dyrektora ds. produkcji) uczestniczyłem w opracowaniu koncepcji zakupów i wykorzystania sprzętu, a tu utknęło m.in. z powodów proceduralnych (czy należy zakupów dokonywać poprzez procedury przetargowe czy nie – a czas uciekał...). Od właściciela, starosty powiatowego, dostałem polecenie najważniejsze – nie dopuścić do utraty tych pieniędzy. Udało mi się przekonać ARiMR, że dokonam w końcu tych modernizacyjnych zakupów – umowę przedłużono nam do końca września. I udało mi się. W związku z przetwórstwem szprota i śledzia maszyny stare, niespełniające dzisiejszych wymagań technologicznych, zastąpiliśmy zupełnie nowymi, nowoczesnymi. Dodatkowo dokupiliśmy nową linię produkcyjną i mamy obecnie trzy (dwie zostały zmodernizowane). W tej chwili przetwórnia jest naprawdę bardzo dobrze wyposażona. Staliśmy się bardziej konkurencyjni. Wykorzystujemy nasze atuty – mamy własne jednostki, na samym brzegu zakład przetwórczy z całym ciągiem zamrażalniczym i chłodnie składowe. Szprot jest rybą bardzo wrażliwą – im szybsze zamrożenie, tym lepsza później jakość. Dlatego nie robimy masowego przetwórstwa na dużą skalę (kiedy jest urodzaj – nie skupujemy ryb od innych armatorów), skupiamy się na jak najlepszej jakości naszych wyrobów. Przygotowujemy ryby do dalszej obróbki przez inne firmy. Bezpośrednim konsumentom sprzedajemy raczej niewielkie ilości. (...) Mu-

szą też dodać, że do moich osiągnięć zaliczam to, że cztery z naszych pięciu 30-letnich kutrów przeszły już kapitalne remonty, kolej na ostatni. Tak odrestaurowane mogą pracować około 20 kolejnych lat. – Jesteśmy tu dzisiaj po to, aby tę firmę stawiać na nogi, a co będzie później – czas pokaże.

Kończąc naszą rozmowę, zapytałem o ostatnio otrzymaną przez „Szkuner” statuetkę przyznaną przez Pracodawców Pomorza – „Pracodawca Roku 2016” w kategorii średnich firm; w 2011 miały miejsce zwolnienia grupowe. Jak postrzegają swego pracodawcę zatrudniani tu ludzie? – Mamy tu wielu ludzi z długoletnim stażem, zatrudnianych przez kilka pokoleń. Są tu od początku swojej drogi zawodowej. Na pewno zdarza im się z różnych powodów ponarzekać. Ja często bywam w przetworni, uważam ją za moje dziecko i sprawia mi przyjemność przyglądanie się jej funkcjonowaniu. Obserwuję też zatrudnionych tam ludzi (pomijając nadzór nad produkcją – mamy tu odpowiednie hierarchie), doskonale wiem, na czym polega ich praca. Doświadczylem jej od podszewki i rozumiem doskonale. Wiem, że ciężko pracują i ja ich bardzo szanuję. Kiedy widzę, że ktoś się stara, jest zaangażowany w to, co robi – zawsze pochwalę. Myślę, że wynagrodzenia są na poziomie porównywalnym do innych firm z branży. Postawiliśmy na szkolenia pracowników i podnoszenie kwalifikacji również pracowników fizycznych. Do tego jesteśmy też dobrze postrzegani w naszym mieście; mamy na koncie sporo wsparcia udzielanego na organizowanie różnych wydarzeń na rynku lokalnym. Oczywiście wszystkie działania są wyważone, dopasowane do firmowych możliwości. Pomagamy naszemu klubowi sportowemu, sponsorujemy Aleję Gwiazd we Władysławowie. (...) Wróć na chwilę do naszej przetworni. Kiedy organizowaliśmy przed dwoma laty obchody 60-lecia „Szkunera”, wśród zaproszonych gości znalazł się Zbigniew Flasiński, który był dyrektorem tej firmy w latach 1986–92. Kiedy pokazałem mu przetwórnę, przecierał oczy ze zdumienia, był w szoku, zrobiła na nim wielkie wrażenie...

Dziękując za rozmowę, pozostaje mi jedynie wyrazić życzenie, aby te wszystkie działania nabrały dalszego rozpędu, aby sztorm złagodniał, a „Szkuner” dalej już płynął na fali prowadzącej „na plus”...

Tekst i zdjęcia: Cezary Spigarski, „Szkuner” sp. z o. o.



Mariusz Grzęda, w tle statek, na którym firma Mario wykona konserwację dźwigu.

Kapitan Foka – człowiek, który daje słowo...

Mariusz Grzęda, właściciel. Swoją firmę nazwał Biuro Usługowe Mario. 24 lutego br. otrzymał za dziesięcioletnią już działalność nagrodę – statuetkę przyznaną przez organizację Pracodawców Pomorza na dorocznej Gali Evening – Pomorski Pracodawca Roku 2016, w kategorii małych przedsiębiorstw. Firma zatrudnia na stałe 20 pracowników. Czym zasłużyła na tę prestiżową nagrodę?

Poszedłem to zbadać na miejscu – firma swoją siedzibę ma na terenie Gdańskiej Stoczni Remontowej SA. W poprzedzającym spotkaniu rozmowie telefonicznej usłyszałem: – Spotkamy się przy bramie i pojedziemy do mojej firmy. Przyjadę białym mercedesem – łatwo rozpoznać, będzie na nim nazwa firmy. No, myślę sobie, pojeżdżę po stoczni w luk-susach! Czekam zatem przy bramie, wypatruję limuzyny, z nienacką pojawia się wysoki, postawny mężczyzna, w żółto-czarnym kombinezonie i specjalistycznych butach roboczych; podaje rękę, witamy się; ulga – wytrzymałem ten uścisk... Załatwiamy formalności i przepustkę i idziemy do samochodu... Mercedes czeka, dwuosobowy, na burtach kolorowa reklama Global Service Mario wraz z informacją o zakresie jej działania; nie limuzyna – furgonetka robocza, widać, że zadbana i nowa. Po drodze jeszcze słyszę: – Ja nie uży-wam w pracy garnituru...

Chwilę później jesteśmy w biurze i siadamy do stołu. Widząc, że nie czuję się tu jak ryba w wodzie, czy to jego biurko? – Ja nie siedzę w biurze, biegam po statkach z moimi ludźmi, dzięki temu mogę działać od razu, reagować natychmiast na zgłaszane mi potrzeby – odpowiada Mariusz Grzęda.

Jak mówi na wstępie, firma istnieje 10 lat, od roku 2007. Jej specjalność to prace związane z czyszczeniem zbiorników balastowych i ropopochodnych na statkach i na lądzie, mycie ładowni. W zakres prac wchodzi transport odpadów oraz zebranych zanieczyszczeń płynnych i stałych (również niebezpiecznych), za pomocą specjalistycznych cystern, do miejsc ich odbioru i utylizacji. Wykonuje zabezpieczenia antykorozyjne na statkach – kadłubów, zbiorników balastowych, nadbudówek, luków ładowni. Nie unika takich prac na lądzie: zabezpiecza hale, mosty, konstrukcje betonowe i żelbetowe.

Teraz jest właścicielem firmy. Wcześniej pracował w innej, gdzie był mniejszościowym udziałowcem. Jednak poszedł na swoje – różnili się ze wspólnikami poglądami na istnienie firmy, jej prowadzenie i przyszłość. Jaką dewizę ma dzisiaj? Odpowiada prosto i zdecydowanie: – Rozwój, rozwój i jeszcze raz rozwój! Bardzo ważne są dla mnie wizerunek firmy i jej rzetelność, płatności

dla kontrahentów w pierwszej kolejności, nawet przed terminem. (...) Wiedziałem, że w dzisiejszych, trudnych czasach firma musi być konkurencyjna. Musi ponosić wydatki na szkolenia swoich pracowników. Bez dbania o firmę i ludzi nie da się dobrze prowadzić działalności na rynku. Chociaż, jak nieco później powiedział – sam często musi czekać na płatności za swoje usługi nawet do 150 dni...

Do wykonywania swoich prac ma sporo sprzętu: cysterny różnego przeznaczenia, samochody transportowe, sprzęt myjący. Tłumaczy: – U mnie wszystko jest zdublowane, samochód do transportu ludzi – drugi jest w rezerwie, jedna pompa pracuje – druga czeka w magazynie. Jeśli coś się zepsuje – natychmiast jest podmieniane, nie ma przerw w pracy. Nie może być przestojów z powodu awarii maszyn. Na przykład, proszę spojrzeć przez okno: ciężarówka dostawcza z podnoszoną rampą – teraz stoi, codziennie nie jeździ. Moi ludzie pojechali ze sprzętem inną. Może też powstać sytuacja, że pracujemy na jednym statku, a zadzwonią z drugiego. Wtedy nawet sam jadę ze sprzętem i natychmiast działamy. Zawsze gotów – jak to na statkach – stand by...

Jaki jest stan dzisiejszy Pańskiej floty roboczej? Ile jest tych pojazdów różnego przeznaczenia? Chwilę się zastanawia: 35 albo około 40. Tu obaj się uśmiechamy... – Staram się często, w miarę zużycia wymieniać samochody. Chcę, aby cały czas wszystko było sprawne i dobrze się prezentowało, ostatnio kilka kupiłem i kilka sprzedałem.

Czy słowo „Global” w nazwie firmy oznacza cały świat? – Tak, to oznacza cały świat. Obecnie staramy się tego unikać, ale wcześniej zdarzały nam się wyjazdy do Holandii czy Niemiec, miałem nawet telefony z Kataru. Jeździmy do tych klientów, z którymi na początku istnienia firmy nawiązałem współpracę i okazali się porządnymi ludźmi – teraz, kiedy dzwonią, po prostu nie odmówię. Oni też nie chcą innej firmy. Często, kiedy mam terminy napięte, usiłuję wskazać inną firmę, może nawet tańszą. Wtedy słyszę, że chcą tylko moją. Nasz główny profil prac to czyszczenie zbiorników paliwowych, zęz, ładowni. Coraz mniej, pomału od tego odchodzimy, jest prac związanych



z czyszczeniem i konserwacją kadłubów i nadbudówek. Odsalamy zbiorniki balastowe i konserwujemy je. Poptuczyny zbieramy do cystern i wywozimy do utylizacji. Mamy szereg kontaktów z oczyszczalnią w całym kraju, co jest bardzo ważne podczas wykonywania prac na lądzie, w głębi kraju. Wykonujemy prace na rzecz elektrociepłowni, firm związanych z przemysłem naftowym, na przykład w Grupie Kapitałowej PERN SA. Współpracujemy z takimi firmami, jak NAFTOPORT sp. z o.o. czy Siarkopol Gdańsk SA.

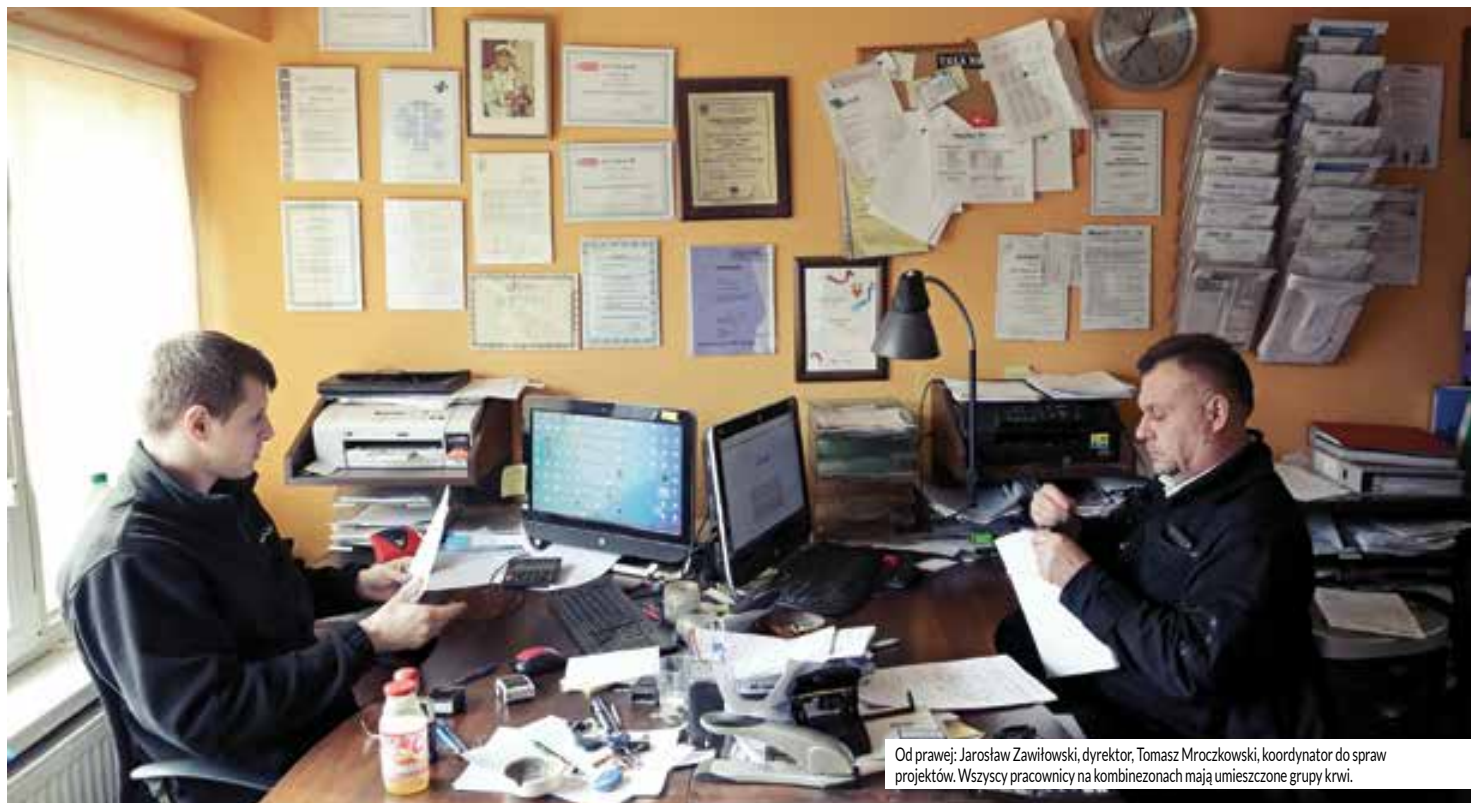
Jak to jest, dlaczego akurat Pańska Firma? – Podam przykład. W grupie PERN SA były do wyczyszczenia cztery zbiorniki paliwowe. Do wykonania przystąpiły cztery firmy, w tym jedna miejscowa – moja. Termin wykonania mówił o 25 dniach. Prace trwały u nich 31, 36 i 41 dni. My zrobiliśmy to w SIEDEM! Musiałem spytać o jakość. – Do odbioru przychodzi komisja, nie ma niczego na słowo; zawsze zdaje pracę za pierwszym razem, bez poprawek. Zanim zgłoszę gotowość, osobiście sprawdzam stan wykonania przez moich ludzi. Kiedy ja mam pewność – wołam komisję. Dzisiaj coraz częściej wierzę moim pracownikom na telefon; kiedy zadzwonią, zadam kilka pytań sprawdzających i jestem przekonany o prawidłowym wykonaniu. Przez te lata poznali już moje wymagania, ale i sami są specjalistami w swoim zawodzie. Widać, że można pogodzić jakość i ekspresowe tempo wykonania? – Tak, jakiś czas temu dla firmy Mostostal zyczyliśmy piec. Wcześniej inna firma wykonała tę pracę w 26 dni, nam wystarczyło 8. Zadzwoniłem, że gotowe – nie mogli uwierzyć! Do osiągnięcia takiej perfekcji trzeba było pięciu pierwszych lat i setek tysięcy metrów sześciennych w zbiornikach...

Pan Mariusz na stronie internetowej swojej firmy udostępnia decyzje wydane przez marszałka województwa pomorskiego, zatwierdzające program gospodarki odpadami. Pierwsza, wydana w listopadzie 2010 roku, zatwierdza skromną, czteropunktową listę odpadów przewidzianych do wytwarzania podczas prac firmy BU Mario oraz określa rodzaj magazynowanych odpadów, sposób ich przechowywania, a także gospodarowania odpadami. Dwa lata później, kolejna udostępniona do wglądu decyzja dopisuje następne 43 pozycje, związane z wprowadzeniem nowych rodzajów odp-

dów wytwarzanych podczas świadczenia usług przez firmę. W roku 2015 dochodzi jeszcze decyzja, tym razem wydana przez prezydenta Gdańska, zezwalająca na przechowywanie zebranych odpadów – wszystko według ściśle określonych procedur, opisanych przez firmę na bazie dotychczasowych doświadczeń. Decyzja ta mogła wejść w życie dzięki umowie podpisanej z właścicielem terenu, Gdańską Stoczną Remontową SA, na wynajem dwóch odpowiednio zabezpieczonych placów, o łącznej powierzchni ponad 160 metrów kw. Chodziło tu o możliwość zbierania, we właściwej formie magazynowania i wywożenia ilości transportowych. Firma ma też certyfikaty: ISO 9001:2008; ISO 14001:2004 oraz PN-N 18001:2004, których spełnianie potwierdza posiadany od marca 2014 roku (przyznawany na okres trzech lat i rygorystycznie każdego roku kontrolowany) Certyfikat Zintegrowanego Systemu Zarządzania w zakresie naprawy i konserwacji statków morskich i platform wiertniczych. Jak z dumą zapewnił Mariusz Grzęda – nie jest to powszechne zjawisko w tej wielkości firmach w Polsce. Oczywiście certyfikaty zobowiązują do prowadzenia właściwej polityki ich przestrzegania, co prezentowane jest w przystępnej formie m.in. na stronie internetowej firmy. Pracownicy są też przeszkoleni w zakresie normy OH-SAS 18001, zgodnej z normami ISO 9001 oraz ISO 14001, wspomagającej wydajne spełnianie stawianych przez nie wymogów w zakresie bezpieczeństwa i higieny.

No właśnie, doszliśmy do ludzi. Swego rodzaju anomalią, czymś niezwykłym w kontaktach z pracownikami jest magiczne słowo, którym się do niego zwracają. Mówią do swojego pracodawcy, właściciela firmy, człowieka, który z pierwszego lepszego powodu może zrezygnować ze współpracy z nim: „Tato”! Czyż mogłem nie zapytać, dlaczego!?

Jestem z nimi, rozumiem ich, staram się im pomóc. Po chwili wahania: – Pracownicy nieco starsi, którzy z niejednego pieca już chleb jedli, bardzo to sobie cenią. Nieraz słyszę, że takiego wsparcia nie mieli nigdzie dotąd, są zdziwieni. Pamiętamy na przykład o imieninach ich dzieci czy małżonków – zawsze drobne upominki. Środki czystości bez ograniczeń. Ubrania ochron-



Od prawej: Jarosław Zawitowski, dyrektor, Tomasz Mroczkowski, koordynator do spraw projektów. Wszyscy pracownicy na kombinezonach mają umieszczone grupy krwi.



ne i odzież robocza – na to firma nie żałuje. Choćby pęknięty właśnie but dostał dwa dni temu – ma wziąć nowy sort, ma być bezpieczny. Jasne, że to nie tylko dbałość o bezpieczeństwo, przez mokre buty blisko do przeziębienia, absencji w pracy, a te koszty mogą być większe. Tak traktowani odwiedzają się – jest robota, jest termin – potrafią pracować bez przerw. Sami z siebie mówią: szefie, śniadanie później, teraz robimy. Sponsoruję swoim pracownikom bilety na mecze, spektakle, organizuję spotkania integracyjne. Młodzi dzisiaj są trudniejsi. Kiedy tu przychodzą często są innego zdania, a to nosić nie chcą, a to coś im się nie podoba, patrzą na innych, jak pracują. U nas świeżo przyjęty pracownik nie jest od razu rzucany na pierwszą linię – zawsze ma opiekuna, który prowadzi go przez wszystkie etapy prac. Musi najpierw zapoznać się z tym, czym się zajmujemy. Z reguły w pierwszym miesiącu nowy pracownik przynosi straty, ale lepiej o niego zadbać i przyuczyć, niż ponosić koszty jego błędów.

Wygląda różowo, ale zapytałem też o tę drugą stronę medalu. Co, kiedy podpadną? – Jak w piłkarstwie – trzy żółte kartki – trzy ostrzeżenia (później przyznał, że często jest jeszcze dogrywka...). – Najbardziej jednak nie lubię, kiedy mi pyskują, szczególnie młodzi, wtedy nie mam litości. Życie nie jest czarno-białe i proste. Najwięcej problemów wynika z nieusprawiedliwionych nieobecności. Wtedy trzeba się szefowi tłumaczyć osobiście (obowiązuje oczywiście system kartek). Są pracownicy, którzy cały czas po prostu pracują, wykorzystując jedynie należne dni wolne i urlopy. W firmie dostępne są alkomaty. Jak mówi Mariusz Grzęda: nie masz pewności – sprawdź. W takim dniu nie podejmuj pracy, będzie dla wszystkich bezpieczniej. Obowiązuje u nas bezwzględny zakaz przychodzenia „pod wpływem”, nie mówiąc już o picu alkoholu w pracy.

Mariusz Grzęda nie tylko opiekuje się swoimi ludźmi socjalnie, dba o ich wygląd zewnętrzny (w sensie ubrań ochronnych) i bezpieczeństwo, ale też, jak podkreśla, ciągle ich szkoli. Zapytałem na czym to polega? – Omawiamy wszelkie nowe przepisy dotyczące ochrony środowiska, czy ładowania, zbierania, składowania odpadów. Wszelkie nowe sposoby zabezpieczeń, na przykład w przypadku prac związanych z pompowaniem. Kiedy wchodzi nowy detergent – przedstawiciel producenta zawsze omawia z moimi ludźmi jego zastosowanie i zagrożenia, które może stwarzać. Zresztą gdańskie firmy specjalizujące się w szkoleniach na bieżąco informują mnie o wszelkich nowościach. Jeżeli dany kurs wiąże się z charakterem wykonywanych u nas prac – moi ludzie stają się uczestnikami takich szkoleń (oczywiście, jak uzupełnia mój rozmówca, to firma za wszystko płaci, również za kilkudniowe wyjazdy). Trzeba dodać, że pracownicy mają do dyspozycji służbowe samochody osobowe, co jest szczególnie ważne, kiedy jakieś prace kończą się w nocy – nie wymaga to organizowania specjalnych przewozów.

Biuro Usługowe Mario dba nie tylko o własne podwórko. Od początku powstania sponsoruje na przykład żeńską drużynę rugby, dzisiaj używającą nazwy Mario Ladies Lechia Gdańsk, a mającą na koncie również tytuły mistrzyni Polski. Wspiera też piłkarską młodzież Lechii, a w Tczewie żeńską drużynę piłki nożnej. Jedno z biurowych pomieszczeń tej firmy udekorowane jest sporą liczbą różnych podziękowań. Na jednym z nich wyrazy wdzięczności „za współpracę oraz owocne wsparcie działań Strażaków Ochotników z Gminy Czarna Dąbrówka w ich bezinteresownej służbie ratowania życia i mienia ludzkiego”, inne dziękuje za aktywne uczestnictwo w balu charytatywnym, którego celem było zebranie środków na sfinansowanie kompleksowego leczenia trojga pacjentów z wrodzonym mnogim brakiem uzębienia



Mariusz Grzęda z żoną Bogumiłą.

oraz współtowarzyszającym znaczącym zanikiem tkanki kostnej. To tylko z ostatnich kilku dni. Ponadto z wcześniejszymi datami podziękowania od Prezydenta Miasta Gdańska, Polskiego Związku Rugby, Domu Dziecka im. Korczaka i wiele innych. Wykonuje też prace na rzecz naszego szkolnego żaglowca „Dar Młodzieży” w zakresie swoich firmowych, zbiornikowych zajęć, jak się wyraził: „za bardzo symboliczną opłatą”. Oczywiście nie mówiliśmy tu o kwotach związanych z tymi działaniami, nie muszą być wielkie – ważne, że od serca. Nawet, z zatroskaną miną, powiedział: – Wie pan, moja żona będzie ten artykuł czytać... Potem powiedział: – kiedy wstaje do pracy o 4.20, to już czeka na mnie kawa i śniadanie, bo moja żona o to dba. Pytam więc, czy można się tej Pani bać? Bez wahania: – Taką KOBIEȚĘ można tylko kochać, i to bezgranicznie!

Zejdźmy jeszcze na chwilę na twardy grunt stoczniowy. Mój rozmówca ze swoją firmą funkcjonuje na terenie Gdańskiej Stoczni Remontowej SA. Jak wiele firm mających tu swoje siedziby, stanowi element całego systemu kooperacyjnego tej stoczni. I jako taki musi szanować panujące tu zasady, jak wieść niesie – bardzo rygorystycznie przestrzegane. Na stronie internetowej widnieją, wśród certyfikatów Safety Certificate, wydany przez stoczniowy dział BiHP.

Kończąc nasze spotkanie odwiedziliśmy jeszcze Jarosława Chodnickiego, kierownika stoczniowej Zakładowej Służby Ratowniczej. – Firma Mario i jej właściciel uznawany jest u nas za lidera wdrażania wszelkich nowych rozwiązań. Znamy tę firmę od wielu lat, od założenia jest w naszej stoczni. Stawiamy Pana Mariusza zawsze jako wzorzec, nie ma sobie równych w szybkości wprowadzania nowych rozwiązań w dziedzinie bezpieczeństwa i ochrony środowiska, oczywiście w zakresie prowadzonej przez siebie działalności. Ja sam prowadzę szkolenia. Często jest tak, że zaczynam organizować jakieś szkolenie, a tu się okazuje, że on już to u siebie przeprowadził. Naprawdę niewiele jest małych firm, które tak szybko reagują. Część z nich po uzyskaniu potrzebnego certyfikatu, jakby spoczywa na laurach. Obserwuję nie tylko przestrzeganie zaleceń prawnych w zakresie ochrony środowiska, ale też własne kreowanie rozwiązań i inicjowanie działań, zmierzające do doskonalenia posiadanych certyfikatów. W tej firmie na każdym szczeblu jej funkcjonowania wszyscy przywiązują do tego dużą wagę – to jest bardzo rzadkie zachowanie. W stoczni też to widzimy – należy do najczęściej wybieranych podwykonawców. Jak przypatruję się rozwojowi samej stoczni w dziedzinie

bezpieczeństwa i ochrony środowiska, widzę, że ta firma idzie z nami krok w krok. Jednocześnie w zachowaniu pana Mariusza Grzędy widać, że sprawa mu to ogromną frajdę.

Odniosłem wrażenie, że Mariusz Grzęda jest człowiekiem sukcesu, ma dobrą firmę i zgrany zespół, co też potwierdził: – Ten sukces to ja i moi ludzie, ja ich wszystkich szanuję.

Podczas naszej rozmowy zapytałem o ten tytułowy pseudonim. Okazało się, że Kapitan Foka – to jeszcze z czasów młodości, tak po prostu: kiedy wchodził do wody, to mógł w niej przesiadywać i pływać godzinami. Powiedział mi, że kiedy dzwoniąc przedstawia się w ten sposób, wszyscy od razu wiedzą, o kogo chodzi. Powiedział mi też, że ze swoimi klientami nie musi podpisywać umów – wystarczy, że da słowo. Słowo, którego zawsze dotrzymuje...

Tekst i zdjęcia: Cezary Spigarski



Jarosław Chodnicki, kierownik stoczniowej Zakładowej Służby Ratowniczej. W firmie Mario polowa pracowników ma przeszkolenie ratownicze.



Od lewej: Rafat Smolnicki, Andrzej Smolnicki, Katarzyna Szyber i Jan Łabas.

Myśmymy już swoje zrobili... ale mam nową pasję

Z Janem Łabasem, twórcą Alu International, laureatem Złotego Oxera, rozmawia Alina Kietrys

Trydzieści lat temu odszedł Pan ze Stoczni Północnej w Gdańsku, by zacząć pracę na swoim.

To był czas, gdy w powietrzu wyczuwało się, że nadchodzi zmiana. Instynkt mi mówił, że coś się będzie działo i zacząłem szukać dla siebie miejsca, bo w stoczni nie mogłem liczyć na karierę. Często słyszałem takie sformułowanie, a pracowałem na produkcji, byłem mistrzem, później kierownikiem oddziału, że nie jestem tu (znaczy w stoczni) od myślenia, tylko od wykonywania poleceń. To działało na mnie fatalnie, jak zimny prysznic. Miałem 33 lata, już dziewięć lat byłem po studiach, po Politechnice Gdańskiej w Instytucie Okrętowym. To był dobry wydział, dawał młodym ludziom gruntowną i szeroką wiedzę. Ja nie angażowałem się w politykę, natomiast byłem pełen energii i chęci zawodowego działania. Uznałem, że muszę wypróbować siebie, swoje możliwości.

I od czego Pan zaczął?

Od tego, co robię do dzisiaj, od stworzenia własnej firmy, która będzie produkować konstrukcje aluminiowe. Tym zajmowałem się już w stoczni, mia-

łem wiedzę, kontakty. Stocznia w tamtych czasach niechętnie przyjmowała zlecenia z zewnątrz, taka „pozaokrętówka” była niemiłe widziana. Stocznia robiła tylko swoje. A ja uważałem, że w biznesie należy robić wszystko, co przynosi dobre efekty i pozwala się rozwijać firmie i ludziom. Najgorsze wtedy było to, że jak w stoczni nie było branżowej pracy, to moi najlepsi fachowcy, na przykład spawacze ze wszystkimi uprawnieniami, kleili izolację. To było marnotrawstwo sił i energii. Zacząłem więc od małej własnej firmy, zatrudniającej kilkanaście osób – monterów, spawaczy, których ściągnąłem z rynku. Pomogła mi wtedy Stocznia Gdyńska im. Komuny Paryskiej, bo potrzebowała aluminiowców, nie miała ich u siebie. Wydzierżawili mi halę i robiłem dla nich elementy aluminiowe. To był dobry początek – miałem miejsce i miałem klienta. Po kilku latach pomyślałem, że już czas oderwać się od stoczni, znaleźć swoje miejsce, budować niezależność, tworzyć markę i rynek. I tak w 1993 roku powstało Alu.

Alu w tamtym czasie to było kilku przyjaciół, kolegów, którzy robili biznesy w przemyśle stoczniowym. Ja byłem tym, który przyszedł z pomysłem. Mia-

łem więc połowę udziałów dla siebie, a połowę dla kolegów. Kupiliśmy już za własne pieniądze tereny przy Wielopolu 7, gdzie obecnie wjeżdżamy do tunelu pod Martwą Wisłą. Tam stała hala produkcyjna, biurowiec i mieliśmy hektar terenu na produkcję. Potem, kiedy już mówiono o tunelu wiedziałem, że będziemy musieli tę pierwszą własną siedzibę opuścić. Szukałem miejsca i od syndyka upadłej Stoczni Wisła – przedsiębiorstwa państwowego, kupiliśmy znaczną część terenów i teraz firma Alu International Shipyard zajmuje ponad trzy hektary przy ulicy Przełom.

W ofercie Alu International figurują produkcje konstrukcji okrętowych, takie jak kadłuby, nadbudówki, sterówki, kominy, maszty i jachty.

W pierwszej fazie funkcjonowania firmy, lat temu dwadzieścia, piętnaście, to były jednostki najczęściej nie jachtowe, a specjalne dla służb celnych, ratowniczych, policji czy wojska, były to też jednostki patrolowe, serwisowe. Gdy kluczowe jest, żeby budowana jednostka morska była jak najlżejsza i jak najszybsza, to wtedy najczęściej wykorzystuje się konstrukcję aluminium. Budowaliśmy nadbudówki, sterówki, maszty, kominy zarówno na statki rybackie, jak i na luksusowe statki pasażerskie. Budowaliśmy jednostki specjalistyczne, jednokadłubowe, dwukadłubowe i trzykadłubowe – trimarany. Zdecydowana większość produkcji na zamówienia klientów zagranicznych, niemal z całego świata.

Budowa jachtów zaczęła się trochę później, na początku nie było ich wiele, a dzisiaj zajmują niemal całą naszą produkcję. Aktualnie są to jachty duże, luksusowe, megajachty. Mają one po 70, 80 i więcej metrów. Od pokładu głównego do góry to najczęściej jest konstrukcja z aluminium.

W hali produkcyjnej wyglądają te kolosy jak dwupiętrowe domy.

Tak, ale budowaliśmy już 62-metrowy jacht cały z aluminium. Na placu stoi też cały z aluminium jacht o długości 47 metrów.

Ten ostatni na razie stoi i czeka na właściciela.

Tak bywa w biznesie, że są projekty, których nie udaje się zrealizować do końca. Klient zbankrutował. To było w roku kryzysu amerykańskiego, a potem hiszpańskiego. Klient tego nie przewidział, a my zostaliśmy z dużym

kłopotem, ale na szczęście dla stoczni, która stoi silnie na mocnych nogach, nawet niezrealizowanie tak dużego kontraktu nie stało się przyczyną zapaści. To są milionowe straty i dla słabej firmy to mogła być katastrofa. Nam się udało tę ranę zabić. Minęło już ponad sześć lat, ale pierwszy rok po tym kryzysie był bardzo trudny.

Alu International wykonuje zamówienia dla stoczni zagranicznych.

W większości. Współpracujemy z najważniejszymi stoczniami w Europie. To są Niemcy, Holendrzy, Finowie, Szwedzi, Duńczycy i Francuzi. Znani jesteśmy w Europie.

Czy wie Pan, kto będzie właścicielem budowanych w Gdańsku megajachtów?

Nie. Nas to tak nie do końca interesuje, kto będzie pływał. Można się jedynie domyśleć, przeglądając Internet czy czytając prasę. To najczęściej są Rosjanie, Ukraińcy, klienci z Emiratów Arabskich. Jak bywałem w rejonie Morza Śródziemnego, widziałem luksusowe, olbrzymie jachty i rozpoznawałem nasze nadbudówki. Nasza firma Alu International, która buduje elementy do tych dużych jachtów, ma już dwadzieścia cztery lata. Średnio robimy dwie, trzy nadbudówki rocznie, to możemy łatwo obliczyć, że ponad sześćdziesiąt megajachtów na świecie ma nasze nadbudówki, a część także przez nas wykonane kadłuby i maszty.

Polski przemysł jachtowy jest europejskim liderem. Wejście na taki rynek pewnie wymagało wielu zabiegów i pomysłów.

Polski przemysł jachtowy, ale w rozumieniu jachtów produkowanych masowo – sześćcio-, dziewięcio-, dwunasto-, szesnastometrowych – to rzeczywiście jesteśmy w europejskiej czołówce. Jest dużo firm i wiele polskich marek znanych w świecie. Są też firmy, które od kilku lat mają ambicję budowania znacznie większych jednostek luksusowych – już za kilka milionów euro, a nie za sto tysięcy złotych. I tu bardzo ładnie Polacy zdobywają rynek. Luksusowe katamarany, luksusowe jachty motorowe są już na rynku od kilku lat. A nasza firma Alu International przez lata specjalizowała się w samej konstrukcji, a nie gotowych jachtach pod klucz. To była usługa na zamówienie. Ale teraz naszą ambicją jest posiadanie własnych produktów, dużych wła-

nych jachtów dla wybranych klientów. Chcemy wykorzystać umiejętności naszych polskich projektantów, polskich szutników, elektryków, stolarzy, tapicerów. Rozwijamy więc naszą produkcję, rozwijamy firmę. Robimy aktualnie pierwszy duży jacht.

Zrealizował Pan marzenia.

Każdy, kto prowadzi jakiś biznes, powinien mieć marzenia, jakieś cele trudne do osiągnięcia. I warto do nich dążyć. Moim celem było budowanie dużych jachtów, luksusowych, dla wybranych klientów. Chcielibyśmy otworzyć nową erę w firmie Alu. I to się dobrze składa, że teraz jest nowy zarząd, nowa energia do kierowania stoczną i nowe pomysły, w tym ten jacht, który teraz robimy pod klucz. Ale to nie jedyny nowy projekt. Kolejne nowe projekty są w opracowaniu, w tym barki na Pętlę Żuławską, na Wisłę, na Zalew Wiślany. Zależy nam na klientach, więc ciągle tworzymy nową ofertę.

Czy długo, wraz ze współnikiem Andrzejem Smolnickim, zastanawiali się Panowie nad przekazaniem firmy następcom... własnym dzieciom?

Nam poszło to stosunkowo łatwo. Mam kolegów, którym to idzie trudniej. Ja

myślałem o tym od dość dawna. Córka na Politechnice Gdańskiej studiowała kierunek taki jak ja, związany z budową okrętów, od kilku lat pracuje już w naszej firmie i jest zadowolona i zaangażowana w pracę. A więc przekazanie jej stoczni wydało mi się naturalne. Nie musiałem się z tą myślą boksować. I to nie jest dla mnie kłopot, bo zawsze mogę tu przyjść i dowiedzieć się, co się dzieje. Mam też nadzieję, że młodzi prezesi zarządu też będą chcieli się czasami poradzić i skorzystać z naszego doświadczenia. Myśmymy już swoje zrobili, a teraz niech młodzi pociągną dalej. Świeże pomysły i innowacyjne działania są bardzo potrzebne. Chętnie rozmawiamy o ich nowych wizjach.

A co Pan zamierza robić? Energia zawodowa Pana nie opuszcza.

(śmiej) Mogę nadal dzielić się tutaj moimi wizjami, ale nie chcę się mieszać. A swoją energię spożytkuję w nowych dziedzinach. Powstała już firma Alu Eco. To moja nowa pasja. Firma ma budować turbiny wiatrowe, pionowe siłownie wiatrowe. Wydaje mi się, że to ważny, ciekawy i nośny temat. Mam więc co robić.

Dziękuję za rozmowę.



Alu International Shipyard sp. z o. o. ma nowy zarząd.

Mamy wspólne cele i coraz więcej pomysłów na rozwój firmy...

Z Katarzyną Szytber, prezes zarządu i dyrektorem zarządzającą oraz Rafałem Smolnickim, wiceprezesem zarządu i dyrektorem zarządzającym rozmawia Alina Kietrys

W którym momencie Państwo zdecydowali się wejść do Zarządu Alu International Shipyard? Rafał Smolnicki: To są dwie różne historie.

Katarzyna Szytber: Moja historia zawodowa w Alu zaczęła się wcześniej, bo już od dziesięciu lat pracuję w tej firmie. Jestem absolwentką Wydziału Oceanotechniki i Okrętownictwa Politechniki Gdańskiej oraz Zarządzania także na PG. Już kiedy podejmowałam decyzję o wyborze kierunku studiów, gdzieś tam, z tyłu głowy, myślałam, że może kiedyś będę pracować w firmie ojca.

Ponoć ojciec nie był zbyt szczęśliwy, że wybrała Pani właśnie takie studia. K.Sz.: Wcale mnie nie wspierał w tym wyborze, wręcz przeciwnie. Myślał dla mnie o prawie albo ekonomii na Uniwersytecie Gdańskim. Jednak zazwyczaj samodzielnie podejmuję decyzję i dążę do celów, które sobie stawiam. Tak było i w tym razem.

W domu rodzinnym jako dziecko dużo słyszałam o firmie ojca i uczestniczyłam w różnych rozmowach. Tak więc nie było to dla mnie coś zupełnie nowego.

Pierwsza moja praca to nie była firma ojca. Wcześniej przez kilka lat prowadziłam małą spółkę handlową, ale po obronie dyplomów na PG tata zaproponował mi, żebym przyszła do Alu. Tu już poczułam jego wsparcie zawodowe i bardzo chętnie podjęłam tę pracę jako wyzwanie i daną mi szansę.

Nie miała Pani żadnych wątpliwości, tremy?

K.Sz.: Żadnych wątpliwości, ale stres na pewno był i jest, bo odpowiedzialność w tym przypadku jest ogromna. Ponieważ przejęliśmy zarządzanie firmą, którą budowali nasi ojcowie, odpowiedzialność jest tym większa. To jest ogromny zaszczyt, że zdecydowali się powierzyć nam prowadzenie firmy i dali nam taką możliwość. Moim szczęściem zawodowym jest też fakt, że razem ze mną pracuje Rafał, syn współnika ojca pana Andrzeja Smolnickiego.

Z Rafałem mamy wspólną, podobną wizję funkcjonowania i rozwoju tej firmy. Mamy szansę dalej budować i sprawić, że będzie ona ważną i znaczącą marką na rynku gospodarki morskiej.

Kiedy oficjalnie objęliście Państwo zarząd Alu International Shipyard sp. z o.o.?

K.Sz.: Oficjalnie to niedawno, we wrześniu ubiegłego roku. Rafał był już w firmie dwa i pół roku. Nasi ojcowie w ostatnim okresie oddawali stopniowo decyzyjność w nasze ręce i dawali nam coraz większą samodzielność. A wrzesień 2016 roku to było formalne przypieczętowanie ich wcześniejszej decyzji. Firma zbudowana została na znakomitych fundamentach, a teraz my będziemy dalej rozwijać ideę naszych ojców.

A jak Pan wchodził do firmy?

R.S.: Moja historia była nieco inna niż Kasi, bo zaczęła się zaledwie dwa i pół roku temu. Wcale nie miałem od początku swojej kariery zawodowej wizji pracy tutaj. Szukałem swojej drogi niezależnie. Wiadomo, syn z ojcem często konkurują, szczególnie gdy mają podobne charaktery. Studiowałem te same kierunki co tata. Zacząłem na Uniwersytecie Gdańskim i skończyłem handel zagraniczny. Zawodowo zawsze byłem z tym związany: z handlem i zarządzaniem. Pracowałem w zarządzie dużej spółki w Warszawie. I kiedyś ojciec zaproponował, że skoro już dowiodłem, że umiem pracować samodzielnie, to może wróciłbym do Gdańska do jego firmy. I wtedy zacząłem poważnie o tym myśleć, a punktem zwrotnym na pewno była wizyta tutaj, bo szczerze mówiąc, w domu nie było rozmów o taty firmie, ani ja nie opowiadałem o swojej pracy. Więc dużo o Alu nie wiedziałem. I właśnie tutaj, w czasie tej wizyty, miałem okazję porozmawiać zawodowo z Kasią na temat współpracy.

Ale to chyba nie jest takie proste, bo musieliście się między sobą poukładać?

R.S.: I tu panią zaskoczę. Było to bardzo proste już po pierwszym spotkaniu. Wiedziałem, że się dogadamy i po tych dwu i pół roku mogę to tylko potwier-

dzić. Pracuje nam się bardzo dobrze. Mamy wspólne cele i coraz więcej pomysłów na rozwój firmy.

Macie Państwo szczęście zawodowe i interpersonalne.

R.S.: Zdecydowanie tak. Firma ma fundamenty, a my możemy realizować nowe projekty. Jesteśmy odpowiedzialni przed naszymi ojcami, ale również przed wszystkimi osobami, które tutaj pracowały dla poprzedniego zarządu.

Zatrudniacie 150 osób?

R.S.: Nawet więcej, ze współpracownikami ponad 170. To duże zobowiązanie. Musimy zapewnić pracę i zapewnić ciągłość firmy. To jest duża firma produkcyjna, inwestujemy w naszych ludzi, bo to jest też nasza podstawa. A firma wyróżnia się jakością i terminowością wykonywanych zleceń.

K.Sz.: Pojawiły się już sukcesy w Alu, a to świadczy o tym, jak pracownicy czują się w firmie. Bardzo nas to cieszy. Ojcowie przyprowadzają do Alu swoich synów. Są mistrzowie, spawacze, monterzy, którzy pracują rodzinnie.

Przeszłam się po sześciu halach, obejrzałam imponujące konstrukcje aluminiowe megajachtów. Muszę przyznać, że firma robi wielkie wrażenie.

K.Sz.: Budujemy kadłuby oraz nadbudówki megajachtów dla największych europejskich stoczní, ale bardzo zależy nam również na budowaniu polskiej rozpoznawalnej na świecie marki. Stąd własne projekty jachtów pod klucz. Realizację takiej idei rozpoczęli nasi ojcowie, a my na pewno będziemy ją kontynuować i rozwijać.

Widziałam nowy, pierwszy jacht, obejrzałam konstrukcję i prototypy, wyposażenie. Wygląda znakomicie. Nowa kolorystyka, ciekawa linia jednostki.

R.S.: Kiełkowanie tego pomysłu można datować na rok 2007 lub 2008. Jako rzetelny dostawca konstrukcji aluminiowych z wypromowaną już jakością



naszych usług, postanowiliśmy kontynuować pomysł naszych ojców, czyli zbudować w pełni samodzielnie pierwszy jacht pod klucz. Od projektu do wodowania. Stępka została położona w 2015 roku, a w tym roku, prawdopodobnie w czerwcu, jacht spłynie na wodę.

K.Sz.: To jest jacht motorowy, 24-metrowy. Stylistykę kadłuba, wizerunek zewnętrzny nadało Studio Strawiński – polski projektant. Praca nad wizualizacją wnętrza, to już działanie zespołowe z dużym zaangażowaniem i klienta, i stoczní. Jacht zamówiony został przez kilku przyszłych armatorów, którzy mieli podobną wizję produktu jako pomysł na inwestycję i promocję firmy. Jest to prototyp, a więc projekt stale udoskonalamy, ulepszamy.

W przypadku jachtu „Timeless” – bo taka jest nazwa jednostki, nie ma presji czasowej. Priorytetem jest jakość.

A pływacie Państwo sami, uprawiacie jachting?

(śmiech i w duecie). Nie.

R.S.: Mam inne pasje, bardziej związane ze sportem: jazda konna, kitesurfing, motocykl.

K.Sz.: Zainteresowania również mamy zbieżne. Moją pasją jest także jazda

konna. Mam swoją ukochaną klacz, a spędzając czas w stajni po prostu odpoczywam.

Jesteście Państwo młodymi menedżerami, macie swoje rodziny...

K.Sz.: Praca wymaga pewnych kompromisów. Staram się pogodzić obowiązki w pracy z obowiązkami wobec rodziny, choć nie zawsze mam dla najbliższych tyle czasu, ile bym chciała.

R.S.: Ja znalazłem stabilność w tej firmie. Moje wcześniejsze doświadczenia – praca w Warszawie, bardziej mi przeszkadzały w układaniu spraw rodzinnych. Rozstawanie się z rodziną było uciążliwe. Teraz działam systematycznie, na miejscu i w godzinach stoczníowych, więc lepiej rozplanowuję moje życie zawodowe i rodzinne.

A więc jesteście nowym pokoleniem menedżerów: spokojnym, stabilnym, konsekwentnym i dobrze współpracującym.

K.Sz.: Bardzo dziękujemy za tę opinię.

R.S.: Powiem nieskromnie – też tak uważamy.

Dziękuję za rozmowę i życzę wielu sukcesów i udanych inwestycji.





Baltiq Plaza

Urodziny po raz 91.

Były różnorodne imprezy dla gdynian i przyjezdnych – propozycje pomysłowe i twórcze. Była tradycyjnie uroczysta sesja Rady Miasta, były medale i nagrody. Świątowano kilka dni.

Dwudniowy bieg urodzinowy cieszył się popularnością: startowały dzieci, młodzież i zwolennicy nordic walking, główny dystans dla usportowionych wynosił 10 kilometrów. Przygotowano atrakcje dla wszystkich grup wiekowych. Gdyniscy seniorzy mieli swój dzień, były porady lekarzy dietetyków, stylistów. Jerzy Rados z Gdynińskiej Szkoły Filmowej opowiadał filmowo o Gdyni, o mało znanych, a prawdziwych historiach zapisanych kamerą, koncert „Musicalowe standardy” w Teatrze Muzycznym był miłym akcentem.

Uroczysta sesja Rady Miasta stanowiła tradycyjną i bardzo ważną część obchodów urodzinowych – 91. rocznicy przyznania praw miejskich Gdyni. Najważniejsze gdynińskie wyróżnienia – prestiżowe Medale im. Eugeniusza Kwiatkowskiego za specjalne zasługi dla Gdyni (przyznawane od roku 1993) wręczał prezydent Gdyni Wojciech Szczurek. Otrzymali je: Leszek Kopec, inżynier Władysław Wiśniewski i Wojskowy Klub Sportowy Flota Gdynia.

Leszek Kopec – producent filmowy, przedsiębiorca i wydawca, współtwórca i dyrektor Gdynińskiej Szkoły Filmowej, od lat dyrektor Festiwalu Filmowego w Gdyni i prezes Zarządu Pomorskiej Fundacji Filmowej w Gdyni, producent

filmowy, wydawca – otrzymał Medal im. Kwiatkowskiego m.in. „za wieloletnie zaangażowanie w rozwój gdynińskiej i polskiej kultury oraz konsekwentne działania na rzecz budowania wizerunku Gdyni jako miasta przyjaznego sztuce filmowej”. To konsekwentny twórca wizerunku filmowej Gdyni, organizator sprawny i dokładny wszystkich ważnych filmowych wydarzeń w tym mieście.

Inżynier Władysław Wiśniewski, kolejny laureat, związany jest z Gdynią od czasów powojennych. Jest autorem lub współautorem ponad 100 patentów krajowych i zagranicznych, zatwierdzonych przez Urząd Patentowy w Polsce oraz urzędy w USA, Wielkiej Brytanii, Japonii i Rosji (wówczas ZSRR). W 2016 roku złożył kolejny wniosek patentowy. Wieloletni pracownik Stoczni im. Komuny Paryskiej. Radni gdyniscy wnioskując podkreślali, że to „fachowiec największego kalibru i skromny, pokorny, mądry człowiek. Jest cichym bohaterem naszego miasta, który codzienną pracą, przez całe lata przyczyniał się do rozwoju gospodarki morskiej”.

Trzeci tegoroczny Medal im. Eugeniusza Kwiatkowskiego otrzymał Wojskowy Klub Sportowy Flota Gdynia, najbardziej utytułowany klub. Statut stowarzyszenia w 1936 roku zatwierdził sam kontradmirał Józef Unrug. Działalność „Floty” przerwała wojna, ale już na igrzyskach olimpijskich w Londynie



Od lewej: Prezydent Gdyni Wojciech Szczurek, Władysław Wiśniewski, przewodnicząca RM Joanna Zielińska, przedstawiciel Wojskowego Klubu Sportowego Flota Gdynia i dyrektor Leszek Kopec.



w 1948 r., jedyny medal dla Polski wywalczył w boksie Aleksey Antkiewicz – wychowanek klubu. W ciągu 80 lat „Flota” wychowała wielu olimpijczyków, mistrzów świata, Europy i Polski. Klub prowadzi sekcje: judo, lekkiej atletyki, podnoszenia ciężarów, strzelecką, szachową, tenisa ziemnego i żeglarską.

W czasie uroczystej sesji Rady Miasta, jej przewodnicząca Joanna Zielińska wręczyła również znaczące nagrody: „Czas Gdyni”. Do konkursu na najlepszą Gdynińską Inwestycję Roku 2016 zgłoszono 42 budynki oddane do użytku w ubiegłym roku.

Laureatami konkursu zostali: Firma Euro Styl Development oraz mgr inż. architekt Jerzy Wolski i Pracownia Wolski Architekci.

Firmie Euro Styl Development przyznano nagrodę za budynek biurowy TENSOR X przy ul. Łużyckiej 8 A. Joanna Zielińska podkreśliła, że stworzone zostało bardzo dobrze zaprojektowane miejsce, które przyciąga pracodawców i dodała, że właśnie w takiej przestrzeni dla setek ludzi o wysokich kwalifikacjach i aspiracjach, dzięki tej inwestycji, Gdynia może stać się domem.

W kategorii Gdynińskiej Inwestycji Roku przyznano również wyróżnienia. Otrzymali je: Browar Portowy za pawilon gastronomiczny na bulwarze im. Feliksa Nowowiejskiego 2 i firma K&K Wojtanowicz za salon samochodowy z częścią serwisową i stacją kontroli pojazdów przy ul. Kcyńskiej 21 A. Browar Portowy wyróżniono za „stworzenie pierwszego w Gdyni miejsca, w którym warzy się piwo i serwuje od razu klientom w ciekawie zaprojektowanym wnętrzu, w unikatowym morskim krajobrazie”. A firmę K&K Wojtanowicz wyróżniono za „stworzenie nowoczesnych miejsc pracy, spełniających najwyższe standardy w swojej branży”. Inwestycja powstała – co podkreślano – z dbałością o środowisko naturalne, komfort klienta i kompleksowo świadczone usługi.

Nagrodę Przewodniczącej Rady Miasta za najlepszą Gdynińską Inwestycję Roku 2016 „Czas Gdyni” w kategorii: Architektura otrzymał mgr inż. architekt Jerzy Wolski – Pracownia Wolski Architekci – za budynek mieszkalno-usługowy Baltiq Plaza przy ul. Świętojańskiej 43-45. – To nagroda przyznana za zaprojektowanie atrakcyjnej, współczesnej architektury, twórczo wpisującej się w obszar pomnika Gdynińskich Harcerzy w śródmieściu Gdyni – podkreśliła Joanna Zielińska.

Wyróżnienie w tej kategorii otrzymali mgr inż. architekt Anna Bogusławska-Szulska, Pracownia Moduł 3000 w Gdyni za budynek mieszkalny przy ul. Inżynierskiej 25, za „niebanalny i modernistyczny projekt w małym domu mieszkalnym”. Wyróżniono również mgr. inż. architekta Jerzego Wolskiego, Pracownia Wolski Architekci, za „budynek biurowy przy ul. Inżynierskiej i za rozwiązanie trudnych problemów technicznych wynikających z wysokich wymagań ekologicznych i zapewnienie pracownikom komfortu pracy w estetycznym otoczeniu”.

Także w dniu urodzin miasta otwarta została w Muzeum Miasta Gdyni wystawa „Gdynia – dzieło otwarte”. To niezwykła ekspozycja, co słusznie podkreślał dyrektor placówki dr Jacek Friedreich. Na tej wystawie są pokazane marzenia mieszkańców Gdyni o nowoczesnej Polsce, wysiłki modernizacyjny, nadrobienie zaległości cywilizacyjnych połączone ze swoistym romantycznym patriotyzmem i służbą ojczyźnie. Organizatorzy wystawy dodają, że imponujące było tempo budowy miasta w pamiętnych latach 20. A potem Gdynia doświadczała okrucieństwa okupacji niemieckiej i wszystkich wydarzeń czasów powojennych, które przecież nie ominęły gdynian i miasta. Obok wielkiej historii na tej wystawie „przetacza się” codzienność Gdyni, i tak naprawdę to jest najbardziej fascynujące. Ekspozycja wszak zrodziła się ze zdjęć i wspomnień gdynian. A ponieważ życie toczy się dalej w mieście z „morza i marzeń” – jest to dzieło wciąż otwarte.

(ak)



Tensory



Laureaci.

Fot. Mieczysław Majewski

Jubileusz Pomorskiej Nagrody Jakości

W lutym w Domu Technika NOT w Gdańsku odbyła się XX Jubileuszowa Gala Finałowa Konkursu o Pomorską Nagrodę Jakości, skierowanego do przedsiębiorstw wykazujących się skutecznością zarządzania, ze szczególnym uwzględnieniem zarządzania jakością.

Organizatorem konkursu od początku jego istnienia są Pomorska Rada FSNT NOT w Gdańsku oraz Polski Rejestr Statków SA. Honorowy patronat nad konkursem objęli: wojewoda pomorski Dariusz Drelich, marszałek województwa pomorskiego Mieczysław Struk, prezydenci: Gdańska Paweł Adamowicz, Gdyni Wojciech Szczurek, Sopotu Jacek Karnowski, Słupska Robert Biedroń, Tczewa Mirosław Pobłocki i Pruszcza Gdańskiego Janusz Wróbel.

Gałę otworzył wiceprezes zarządu Pomorskiej Rady FSNT NOT w Gdańsku dr inż. Jan Bogusławski, po czym głos zabrala prof. UG dr hab. Małgorzata Wiśniewska, przewodnicząca kapituły konkursu. Pani profesor zaznaczyła, że regionalny konkurs jest swego rodzaju „trampoliną” na szczebel ogólnopolski oraz międzynarodowy. Wspominała również, że model Pomorskiej Nagrody Jakości oparty jest na najlepszych europejskich wzorach, ze szczególnym uwzględnieniem wytycznych modelu CAF 2013, skierowanego do organizacji publicznych. Katarzyna Kaczmarczyk, przedstawicielka Um-

brella Consulting, opowiedziała o zasadach funkcjonowania Europejskiego Modelu Dokończoności EFQM i regułach przyznawania nagród jakości na tym szczeblu.

Wśród nagrodzonych Złotym Laurem znaleźli się m.in.: Vivadental, Farm Frites Poland, Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji, Politechnika Gdańska; Srebrny Laur otrzymali BMB Santech, OPEC Gdynia, ZUS w Gdańsku.

Poza nagrodami nadanymi przez kapitułę, przyznano także nagrody dodatkowe, m.in. Politechnika Gdańska otrzymała nagrodę wojewody oraz marszałka województwa, nagrodę prezesa Pomorskiej Rady FSNT NOT w Gdańsku – Biall-net, nagrodę Agencji Rozwoju Pomorza i nagrodę burmistrza Pruszcza Gdańskiego – Nelton, nagrodę przewodniczącego Sejmiku Województwa Pomorskiego – Spółdzielnia Mieszkaniowa Karwiny, nagrodę prezydenta Wejherowa – El-mark sp. z o.o. Gałę uświetnił koncert zespołu Amber String Quartet.



Prof. Małgorzata Wiśniewska, dr Jan Bogusławski oraz przedstawiciele nagrodzonego ZUS w Gdańsku.



Prof. Małgorzata Wiśniewska i dr Jan Bogusławski wręczają nagrodę Maciejowi Brodnickiemu, BMB Santech.



Artur Gruhlke, prezes Neltonu odbiera nagrodę.



Zbigniew Szymański, prezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Karwiny”.



Jarosław Szycik, Vivadental.



Marek Kirerznikowicz, prezes El-Mark.



„OJCIEC MATEUSZ”

Nigdy nie był zagrożony...

Z Krzysztofem Grabowskim, gdynianinem, producentem serialu nagrodzonego tegoroczną Telekamerą Teletygodnia, rozmawia Alina Kietrys

„Ojciec Mateusz” to popularny serial obecny w telewizji publicznej od 2008 roku. Pierwszą Telekamerę Teletygodnia za ten serial zdobyliście w 2011, a teraz Telekamera 2016, czyli widzowie ponownie uznali go za najlepszy. Gratuluje! Co się w nim zmieniło przez te dziewięć lat?

Nie za wiele mogło się zmienić, bo serial jest włoskim formatem „Don Matteo” i jesteśmy trochę uzależnieni od licencjodawcy, firmy Lux Vide z Rzymu.

Muszę jednak przyznać, że od samego początku miałem bardzo dobry kontakt z Włochami. Zrobiłem z nimi film fabularny „Jan Paweł II”, a potem z niego również miniserial dla telewizji polskiej. Od tamtego czasu zawiązała się nitka wzajemnego porozumienia. Zobaczyłem w ich repertuarze serial „Don Matteo”, który robią z sukcesem od 1999 roku dla RAI UNO, największego włoskiego nadawcy publicznego. Kupiliśmy więc licencję na Polskę. Licencja

niemato kosztuje i jeszcze trzeba wiedzieć, jak przerobić fabułę na warunki polskie. Prace literackie kosztowały nas zatem podwójnie. Udało się to chyba jednak dobrze zaadaptować, skoro już pierwszy sezon, na progu zimy 2008 roku, odniósł prawdziwy sukces. Znacząco wzrosła też liczba widzów w TVP1 oglądających „Ojca Mateusza”, więc telewizja zamówiła u nas drugi sezon.

Pierwszy sezon realizowała Twoja firma Baltmedia.

Tak, byłem tzw. producentem wykonawczym i choć odniosłem wielki sukces wśród widzów, to poległem finansowo i straciłem kilkaset tysięcy złotych.

Brak doświadczenia i źle zaplanowane koszty dały mi się we znaki. Pierwszymi reżyserami serialu byli Maciej Dejczer i Andrzej Kostenko. To był na tyle duży i zauważony sukces, że kiedy telewizja zamówiła u nas kolejny sezon, to na rynku znaleźli się chętni do odkupienia praw i kontynuowania produkcji serialu. Nie wdając się w szczegóły powiem, że moją spółkę Baltmedia zakupił jeden z największych polskich producentów – ATM Grupa SA z Wrocławia, a ja, wraz z Katarzyną Anczarską, zostaliśmy od samego początku producentami wykonawczymi i nadzorującymi.

Dużo może więcej?

Tak. Nasze działania przerodziły się w wiele lat dobrej współpracy z tą wrocławską firmą. W przyszłym roku, 11 listopada, będziemy obchodzić dziesięciolecie naszego serialu, a już dziś możemy się poszczycić ponad dwustoma wyprodukowanymi odcinkami.

Producent to ważna funkcja i istotne zadania. Jakie?

Po pierwsze trzeba znaleźć dobry projekt, a potem zapanować nad rozwojem scenariuszy i koncepcją produkcyjną. W naszym przypadku też było oczywiście jakieś ryzyko, choć nie największe, bo „Don Matteo” miał już renomę we Włoszech. Kiedy my wkraczaliśmy w okres produkcji, oni mieli już za sobą ponad dziewięć lat doświadczeń i sukcesów, w tym – co ważne – bezgraniczną sympatię i akceptację widzów. Ta historia proboszcza z wyidealizowanej parafii gdzieś na prowincji wydawała nam się godna uwagi i nie pomyliliśmy się. Zaprosiliśmy do współpracy świetnych scenarzystów – adaptatorów: Jolę Hartwig-Sosnowską i Grzeska Łoszewskiego. To oni byli autorami adaptacji scenariuszy pierwszego sezonu, a potem doszły jeszcze Grażyna Wilczyńska i Agnieszka Błotnicka. W tej chwili grupę piszącą stanowi siedem osób. W tym zespole dyskutuje się i analizuje główne wątki, ale potem każdy odcinek pisze jeden scenarzysta. Nad tymi działaniami czuwa współproducentka serialu Kasia Anczarska, która świetnie orientuje się w postaciach, ich losach i wątkach scenariuszowych. Przez lata dokonaliśmy wielu modyfikacji oryginalnego formatu, gdyż nie mieliśmy specjalnych barier i narzuconych przez Włochów ograniczeń. Zazwyczaj przy kupnie licencji dostaje się tzw. nadzorcę formatu i jego „biblię”, według której należy pracować i ściśle pilnować linii dramaturgicznej, żeby nie odbiegała od oryginału. Myśmy mieli wolną rękę, więc stworzyliśmy wiele nowych postaci, które nie do końca były zgodne z włoskim formatem, ale znakomicie osadziły się na krajowym rynku. Polscy widzowie w pełni zaakceptowali naszych bohaterów, a Włosi – widząc polski sukces – dali nam zielone światło. I co więcej – już w piątym sezonie dali nam zgodę na pisanie własnych, oryginalnych odcinków, zupełnie już nieopartych na ich formacie. Oczywiście pełną kwotę licencji płacimy do dziś.

Znaleźliście Państwo też własną przestrzeń, miasto klimatyczne i na swój sposób cudowne, czyli Sandomierz. Tam ojciec Mateusz jest najważniejszy, przynajmniej w serialu.

Mieliśmy kłopot, gdzie ten serial osadzić w Polsce. W oryginale włoski serial kręcony był początkowo w miejscowości Gubbio, pięknym renesansowym miasteczku ok. 130 km od Rzymu. Tam opowieść o lokalnej społeczności miała swój sens, więc szukaliśmy podobnej miejscowości w Polsce. Nasza ekipa długo jeździła po całym kraju, a po dwóch miesiącach poszukiwań i fotograficznych dokumentacji zawężiliśmy kryteria i doszliśmy do wniosku, że trzeba znaleźć jakieś miejsce blisko Warszawy. Może to paradoksalnie zabrzmi, ale najtaniej jest kręcić filmy w Warszawie, ze względu na ekonomię: aktorów, bazę hotelową i całą logistykę przedsięwzięcia. Postanowiliśmy szukać miejsca odległego maksymalnie o około 200 kilometrów od Warszawy i w ten sposób trafiliśmy do Sandomierza. To było miejsce dziewicze pod kątem filmowym, ale dla nas – ze wszech miar fantastyczne. Spotkaliśmy się w Sandomierzu ze znakomitym przyjęciem ze strony władz lokalnych. Zarówno świeckich, jak i kościelnych. Cały pierwszy sezon serialu: te wszystkie uliczki, widoki, panoramy, przejazdy i spotkania bohaterów były realizowane w Sandomierzu. Teraz, po latach, poruszamy się tylko w określonej przestrzeni wokół rynku i niektórzy mają nam to za złe, mówiąc, że Sandomierz jest znacznie większy. My jednak wiemy, że to właśnie



ten renesansowy rynek bardzo utkwił w pamięci widzów. Wnętrze komendy policji kręcone jest w zaaranżowanym obiekcie w Warszawie, a urokliwy drewniany kościół księdza Mateusza znajduje się w Glinianie, przy drodze z Warszawy do Lublina. Plebania to też wynajęty stylowy dom w prawobrzeżnej części stolicy.

Obsada serialu to ważna sprawa dla widzów i zapewne dla producentów. Mamy naszą reżyser castingu, Sylwię Czaplewską, przed którą stoi to trudne zadanie. Policzyliśmy, że oprócz naszej stałej kilkusobowej obsady występuje w każdym odcinku serialu około dwudziestu gościnnie grających wykonawców. Na przestrzeni 9 lat i ponad 200 odcinków można śmiało powiedzieć, że grała u nas większość aktorów polskich, a niektórzy nawet po kilka razy. Pojawili się ponownie nawet ci aktorzy, których postaci zostały wcześniej „zamordowane” w serialu. Mówiąc o aktorach i ich gażach nie sposób nie wspomnieć aspektu finansowego produkcji serialu. Nad tym czuwa od lat nasza kierowniczka produkcji Teresa Paszkiewicz i ona pilnuje też budżetu.

A w telewizji publicznej coraz mniej pieniędzy.

Trzeba przyznać, że obecnie z telewizją publiczną współpraca układa się nie najgorzej i to nawet pomimo ostatniego trudnego okresu. Z pewnością naszym dużym atutem w rozmowach z TVP będzie zdobyta niedawno Telekamera. Telewizja zamawia u nas co roku 26 odcinków w dwóch transzach: jesiennej i wiosennej. Tego typu zamówienie wymaga znaczącego wyprzedzenia czasowego, gdyż od zamówienia do emisji na antenie upływa z reguły około półtora roku – tak bowiem długo trwają wszystkie prace. Musimy więc zawnoczyć wiedzieć, czy telewizja decyduje się z nami dalej współpracować, czy też będzie chciała zakończyć produkcję.

A czy rzeczywistość, którą przedstawiacie w serialu z takim koniecznym wyprzedzeniem, czasami nie spleta figla?

Staramy się wiedzieć o różnych ważnych wydarzeniach wcześniej, ale oczywiście nie wszystko można przewidzieć. Mamy dobre relacje np. z Konferencją Episkopatu Polski, bo to jest przecież serial „pochylony” w kierunku Kościoła i często służy promocji ważnych wydarzeń z jego życia. Mieliśmy na przykład dwa specjalne odcinki serialu poświęcone Dniom Papieskim i Światowym Dniom Młodzieży. Mamy też oczywiście konsultanta kościelnego, który doradza nam w sprawach liturgii, żebyśmy nie popełnili błędu. Mamy też konsultanta policyjnego i medycznego. Nasze scenariusze, zanim trafią do telewizji, przechodzą przez wiele rąk specjalistów. Fabuła częściowo bazuje na oryginalne włoskim, ale tylko w pewnej mierze, bo część tych historyjek jest dla nas za cienka. Zastanawialiśmy się po pierwszym sezonie i sukcesie „Ojca Mateusza”, na czym polega powodzenie tego serialu we Włoszech, a na czym u nas. Konsultowaliśmy to z naszymi licencjodawcami i okazało się, że dla widza włoskiego najważniejsi są ulubieni aktorzy. Widzowie ci kochają styl commedia dell’arte i postaci grane w tej konwencji są dla nich ważniejsze niż fabuła. Dla naszych widzów zaś najważniejsza jest ciekawa historia i chętnie tropią wszelkie nieścisłości w opowieści. A aktorów polscy widzowie po prostu lubią. W polskiej wersji serialu opowiadamy o losach naszych stałych bohaterów i postaci epizodycznych, ale każdy odcinek jest przede wszystkim zamkniętą fabularnie całością.

Artur Żmijewski zyskał ogromną popularność tym serialem, a teraz też reżyseruje „Ojca Mateusza”.

Propozycja reżyserowania była naturalna i nie była to pierwsza próba reżyserstwa Artura, który wystawił kilka sztuk teatralnych i reżyserował też kilka odcinków „Na dobre i na złe”. Poza tym on wie wszystko „od środka”; jak wygląda i o czym opowiada nasz serial. Oczywiście zawsze ma znaczące wsparcie ze strony operatora, szczególnie kiedy na planie musi być jednocześnie po obu stronach kamery.

Operatorzy i reżyserzy w tym serialu.

Mamy trzech głównych autorów zdjęć. W pierwszym sezonie pracował Jarek Żamojda, a potem dołączyli Adam Bajerski i Piotrek Wojtowicz. A reży-



Ekipa „Ojca Mateusza” z telekamerą.

serzy, poza Dejczere, Kostenką i Żmijewskim, to: Wojtek Nowak, Filip Zylber, Maciek Dutkiewicz i Jakub Miszczak. Każdy z nich realizuje w sezonie sześć albo siedem odcinków.

Zatrzęsło się przez chwilę, bo pojawiły się głosy, że „Ojciec Mateusz” zniknie z ekranu telewizyjnego, bo wchodzi podobna produkcja w programie II TVP2.

Nie, to były plotki. Myśmy nawet tego nie dementowali, bo to była zwykła nadinterpretacja dziennikarska. „Ojciec Mateusz” nigdy nie był zagrożony. Mamy stałą, bardzo równą widownię w czwartki o 20.30 w TVP1 i ta widownia nigdy nie spada poniżej 4 milionów. To bardzo dobra oglądalność przy wciąż topniejącej dziś widowni nadawcy publicznego. Z badań audytorium „Ojca Mateusza” wynika, że nasz serial, który jest miłą, dobrze kończącą się bajką z moralnym przesłaniem, oglądają najczęściej panie po pięćdziesiątce ze średnim wykształceniem i z mniejszych miejscowości. Widzowie w pełni akceptują naszą idealną plebanie, prowadzoną przez przystojnego księdza, który pomaga policji w załatwianiu najczarniejszych spraw. Śmiejemy się, że serialowy Sandomierz to miasto, w którym jest największa przestępczość w Polsce, ale też i największa wykrywalność tych przestępstw.

Serial „Ojciec Mateusz” lubi Sandomierz.

Tak, bo to jest miasto życzliwe i otwarte. Poza tym niebywale rozrosło się turystycznie. Organizowane są wycieczki „Szlakami Ojca Mateusza”, przybywa hoteli i wzrastają ceny nieruchomości. W tym roku przygotowana będzie, w porozumieniu z TVP, specjalna wystawa na rynku zatytułowana „Świat Ojca Mateusza”. Pokazane, a ściślej odtworzone tam zostaną stałe miejsca, w których toczy się akcja serialu, a naturalnej wielkości figury wo-

skowe postaci z serialu będą dodatkową atrakcją. Często lokalni przewodnicy opowiadają niesłychane historie zwiedzającym i tworzą legendę miejsca i serialu. A prawda jest taka, że bywamy w Sandomierzu cztery razy do roku, łącznie około dwudziestu dni zdjęciowych. Reszta zdjęć – ponad sto dni – kręcona jest głównie w Warszawie i okolicach.

Pomagaliśmy też mieszkańcom Sandomierza zbierając dary podczas powodzi w 2010 roku. Zrealizowaliśmy nawet specjalny odcinek poświęcony tym dramatycznym wydarzeniom. Zorganizowaliśmy również na rynku wielki koncert z udziałem naszych aktorów z serialu i ich gości, a z uzyskanych funduszy wybudowano w Sandomierzu przedszkole im. Ojca Mateusza.

Na planie serialu pracują też gdańszczanie, a Ty jesteś gdynianinem, absolwentem uniwersytetów Śląskiego i Gdańskiego. Nie korci Cię film lub serial o Trójmieście?

Niedawno mieliśmy zdjęcia do jednego z odcinków z Mirkiem Baką, który zagrał u nas znakomicie. Występował też kilkakrotnie Igor Michalski. W ekipie pracuje Jacek Mocny – scenograf, Ala Lewicka – charakterizatorka i Piotrek Mazurkiewicz – rekwizytor, który wywodzi się z Video Studio Gdańsk. To miłe trójmiejskie akcenty. Myślałem nawet o czymś naszym, wybrzeżowym, ale na razie zajęcia przy rozpędzonym „Ojciec Mateuszu” są tak absorbujące, że muszę być cały czas w Warszawie, a do Gdyni przyjeżdżam na weekendy. Muszę też przyznać, że hamuje mnie świadomość produkcyjna, bo – paradoksalnie – wszystko, co kręcimy poza Warszawą, jest dla producenta piekielnie drogie, a budżety seriali telewizyjnych są coraz mniejsze.

Szkoda. Jeszcze raz na Twoje ręce gratulacje dla całej ekipy serialu „Ojciec Mateusz” i dziękuję za rozmowę.

JEDEN Z NAJSILNIEJSZYCH TRAWLERÓW NA ŚWIECIE ZWODOWANY W NAUCIE



21 lutego w Zakładzie Nowych Budów Stoczni Nauta w Gdańsku odbyło się wodowanie częściowo wyposażonego trawlera rybackiego „Voyager”. Będzie to jedna z najsilniejszych jednostek w swojej klasie na świecie.

„Voyager” ma 86,4 m długości i 17,8 m szerokości. Pojemność zbiorników do przewożenia ryb wynosi 3200 m³. Trawler będzie łowił na Północnym Atlantyku – w rejonie, który znany jest z bardzo wymagających warunków pogodowych. Właśnie z tego powodu statek musi charakteryzować się dużą mocą silnika – uciąż na palu wyniesie ponad 120 ton. Możliwości rybołówcze statku zostaną zwiększone dzięki niskiemu poziomowi hałasu podczas pracy. Trawler został wybudowany na podstawie projektu norweskiego biura Salt Ship Design.

Statek powstał w Nauce na zlecenie duńskiego klienta – firmy Karstensens Skibsværft AS, która dotychczas zamówiła 17 statków rybackich. Finalnym odbiorcą trawlera będzie armator z Irlandii Północnej – Voyager Fishing Company.

Obecnie w Stoczni Nauta trwa budowa dziesięciu statków do połowu ryb, w tym jednego kompletnie wyposażonego. Większość jednostek powstaje na zamówienie Karstensens Skibsværft AS. Harmonogram zakłada, że jeszcze 7 statków zostanie zwodowanych w tym roku, natomiast kolejne będą przekazywane zamawiającym w pierwszej połowie 2018 r. Specjalnością stoczni w segmencie nowych budów są nowoczesne jednostki rybackie oraz statki naukowo-badawcze i do obsługi instalacji off-shore.



Ekologiczny prom

dla Finów ze stoczni Crist

Fiński armator Finferries zamówił w stoczni Crist prom hybrydowy typu „double-ended ferry”. Jednostka o kryptonimie P310 została już zbudowana i obecnie przechodzi testy w suchym doku. Prom, który ma pływać pomiędzy Nauvo a Parainen, będzie zabierał na pokład 90 pojazdów i 372 osoby; jest jednostką ekologiczną, mającą – jako jedna z nielicznych w Europie – napęd hybrydowy dieslowo-elektryczny. Uroczyste przekazanie promu ma nastąpić w kwietniu bieżącego roku.

Przed nami ostatnie dwa miesiące prac wykończeniowych na P310. Ich zwieńczeniem będzie uroczyste przekazanie jednostki fińskiemu armatorowi w kwietniu 2017 r. Dzięki realizacji projektów tego typu, stocznia Crist buduje swoją markę na wymagającym fińskim rynku – powiedział Zdzisław Bahrycz ze stoczni Crist SA.

Prom o długości 96,35 metra, szerokości 15,2 metra, wysokości 5 metrów i zanurzeniu 3,5 metra będzie obsługiwany przez zaledwie trzyosobową załogę. Będzie napędzany – na przykład w trudnych warunkach pogodowych – trzema wysokoprężnymi i ekologicznymi silnikami dieslowo-elektrycznymi. Statek będzie dysponował zespołem baterii o żywotności minimum 10 lat. Ładowanie akumulatorów będzie się odbywało podczas załadunku i rozładunku, w czasie zaledwie 7 minut.



Kolejny magazyn wysokiego składowania

Wizja funkcjonowania gdyńskiego portu, zawarta w strategii jego rozwoju, jako uniwersalnego portu multimodalnego, logistycznego węzła transportowego korytarza północ – południe, zdolnego do kreowania przewag rynkowych, wymaga spełnienia szeregu warunków. Niezbędne są między innymi inwestycje w nowoczesne zaplecze składowe – magazyny, zasobnie i place. Są wśród nich projekty już realizowane, bądź planowane do realizacji w ciągu kilku najbliższych lat, zwiększające i unowocześniające potencjał składowy portu.

Wśród nich należy wyróżnić, między innymi, będącą na ukończeniu zasobnię na ładunki masowe przy Nabrzeżu Francuskim oraz oddawany właśnie do użytkowania magazyn wysokiego składowania przy ul. Polskiej 19-23. W perspektywie do końca 2019 roku potencjał magazynowy gdyńskiego portu wzrośnie o kolejny magazyn wysokiego składowania (ok. 11 600 m² powierzchni) w rejonie ulic Kontenerowej i Logistycznej, który wraz z przyległą infrastrukturą drogową i siecią ma kosztować około 36,5 mln zł netto oraz o planowaną do budowy na terenie odkupionym od Stoczni Nauty baterię silosów na zboża i pasze za 10 mln zł.

Oddany do użytkowania magazyn wysokiego składowania jest kolejną tego typu inwestycją w Porcie Gdyńskim. W obszarze tworzonego Centrum Logistycznego w porcie zachodnim Zarząd Portu zrealizował w 2010 r. (przy ulicy Kontenerowej w Gdyni) magazyn wysokiego składowania o powierzchni 8 tys. m². Kolejny magazyn tego typu (o powierzchni 18 840 m²) został oddany do użytkowania w 2014 r. przy ulicy Kontenerowej 27.

Nowo wybudowany magazyn jednokondygnacyjny przy ul. Polskiej 19-23, o powierzchni użytkowej ok. 5 tys. m² z wydzieloną funkcjonalnie częścią biurową, składa się z trzech komór magazynowych. W obiekcie przewiduje się składowanie i dystrybucję towarów drobnicowych w opakowaniach

z wyłączeniem ładunków niebezpiecznych oraz prowadzenie usług związanych z magazynowaniem, przyjęciem, składowaniem, kompletacją i wydaniem towarów. Wysokość składowania towarów do 10,5 m.

Część magazynowa to konstrukcja żelbetowa, obudowana płytami osłonowymi warstwowymi z izolacją termiczną. Część biurowa jest konstrukcją murowaną. Elewację budynku i jej kolorystykę zaprojektowano w uzgodnieniu z Miejskim Konserwatorem Zabytków w Gdyni.



Od lewej: Maciej Stępa, wiceprezydent Gdyni, Dorota Arciszewska-Mielewcyk, posłanka na Sejm RP i Adam Meller, prezes Zarządu Morskiego Portu Gdynia.



Od lewej: Wiceprezes, dyrektor ds. finansów i zarządzania finansami Piotr Nowak, prezes, dyrektor naczelny Adam Meller i Grzegorz Dyrno, wiceprezes Zarządu, dyrektor ds. Infrastruktury i zarządzania majątkiem.

Rekordy w gdyńskim porcie

To był kolejny dobry rok gdyńskiego portu. W ubiegłym roku przeładunki towarów w Porcie Gdynia wzrosły do poziomu 19 536,2 tys. ton (+ 7,4% w porównaniu do 2015 r.) Jest to pobicie kolejnego rekordu poziomu przeładunków osiągniętego poprzednio w 2014 r. (19 405,4 tys. ton). Na przeładunki w 2016 r. składały się: drobnica (58,7%), zboże (20,9%), węgiel i koks (7,6%), ropa i przetwory naftowe (6,8%), drewno, stanowiące łącznie 0,4% masy ładunkowej.

Według wstępnych danych sprawozdania finansowego zysk netto Zarządu Morskiego Portu Gdynia SA za 2016 r. przekroczył 60 mln zł. To wynik o ponad 31% wyższy niż przed rokiem.

Miała na to wpływ stale rozbudowywana i unowocześniana oferta powierzchni składowych oraz magazynowych. Zaowocowało to zwiększeniem przychodów z usług najmu, a większa liczba zawinięć wpłynęła na przyrost przychodów z opłat portowych. Do poprawy wyników przyczynił się również wzrost kursu euro i dolara oraz rekordowy przeładunek paliw, co wiązało się z uszczelnieniem obrotu paliwami w Polsce i zwiększeniem importu oleju napędowego w następstwie wejścia w życie przepisów „pakietu paliwowego”.

Ogółem sprzedaż w 2016 r. wzrosła o 10%, a zysk operacyjny zwiększył się o 38% – do 44 mln zł. Systematycznie rosnący wskaźnik EBITDA – wynoszący w 2016 r. blisko 100 mln zł – świadczy o zdolności ZMPG SA do generowania środków na inwestycje z podstawowej działalności, które dzięki uzupełnieniu przez fundusze unijne, stanowią główne źródło finansowania programu modernizacji i rozwoju Portu Gdynia.





Rafineria Lotos będzie najnowocześniejsza w Unii Europejskiej

W pejzażu rafinerii gdańskiego Lotosu wyróżniają się dwa potężne i wysokie reaktory oraz otaczająca je konstrukcja stalowa. To elementy budowy, która przekroczyła półmetek, wielkiego kompleksu instalacji w rafinerii Lotosu. Dzięki realizacji Projektu EFRA, wartego 2,3 mld zł, gdański Lotos będzie najnowocześniejszą rafinerią w Unii Europejskiej.

Prace związane z budową głównych instalacji Projektu EFRA ruszyły w kwietniu 2016 roku. Cały zakres jego realizacji został podzielony na siedem obszarów realizacyjnych, obejmujących 30 obiektów inwestycyjnych. W skład tych siedmiu obszarów wchodzi zarówno przyszłe instalacje, jak i mniejsze obiekty niezbędne do funkcjonowania całej rafinerii po zakończeniu inwestycji.

Najbardziej zaawansowane są obecnie prace projektowe (95 proc.), wykonywane przede wszystkim we Włoszech, w biurach – Kinetics Technology (KT), głównego wykonawcy większości instalacji Projektu EFRA. Natomiast zakupy i dostawy niezbędnych urządzeń przekroczyły poziom 86 proc. Wokół placów budowy zmagazynowano ogromną ilość różnorodnych elementów instalacji, czekających na montaż. Część budowlano-montażową zrealizowano w około 25 proc. Wykonano już zasadnicze prace konstrukcyjne, a elementy głównej instalacji koksowania DCU (to wspomniane dwa potężne reaktory), górują wysoko nad rafinerią. Zastosowanie technologii koksowania pozwoli uzyskać z każdej tony ciężkiej pozostałości ok. 700 kg paliwi i 300 kg koksu.

– Jesteśmy na półmetku naszej inwestycji i, jak na razie, projekt wyprzedza przyjęty harmonogram. Po jego ukończeniu rafineria Lotosu w Gdańsku umocni swoją pozycję jednego z najnowocześniejszych zakładów tego typu na świecie – podkreśla Mateusz Aleksander Bonca, wiceprezes zarządu Grupy Lotos ds. strategii i rozwoju. – Dla nas kluczowe jest wyeliminowanie z naszych produktów ciężkiego oleju opałowego. To produkt nieekologiczny, którego produkcja jest nieopłacalna, bo sprzedawany jest z tzw. ujemną marżą, czyli za cenę niższą od ceny ropy. Dzięki technologii koksowania, którą wdrażamy w najbardziej innowacyjnej i ekologicznej wersji, uzyskamy głębszą konwersję, czyli większą ilość wysoko marżowych paliw z tej samej ilości ropy. Szacujemy, że rocznie uzyskamy dodatkowo 900 tys. ton wysokiej jakości paliw silnikowych. Marża rafineryjna zwiększy się o około dwa dolary na baryłce.

Dobiegły końca prace związane z palowaniem gruntu. 3,8 tys. potężnych żelbetowych pali ma zapewnić właściwą stabilność gruntu dla fundamentów i konstrukcji. Do tej pory wylano ok. 21,5 tys. ton betonu (na planowane 24,4 tys. ton), postawiono ok. 2,7 tys. ton konstrukcji stalowych (z planowanych 5 tys. ton). Do prefabrykacji przekazano ok. 1000 ton rurociągów. Do końca stycznia 2017 wydano 211 mln euro, co stanowi 41 proc. budżetu projektu.

Przy budowie instalacji Projektu EFRA pracują głównie polscy pracownicy, jako podwykonawcy firmy KT oraz zatrudnieni bezpośrednio przez Grupę Lotos. Prace realizują: Mostostal Zabrze, KB Pomorze, Mostostal Płock, Przembud Gdańsk, Strabag, Keller Polska, Elektromontaż Gdańsk, Lotos Serwis, Energoaparatura, ABB, Uniserv-Piecbud, Tebodin i szereg innych. Duża część dostaw urządzeń i materiałów realizowana jest przez polskie firmy (m.in. Mostostal Siedlce, Pekabex). Zakończenie budowy instalacji Projektu EFRA przewidziane jest na drugi kwartał 2018.

Udany rok Portu Gdańskiego

Co minutę – samochód, co 1,5 godziny – pociąg

W minionym roku w Porcie Gdańskim co minutę obsługiwany był samochód ciężarowy – rocznie to pół miliona samochodów – a co półtorej godziny skład pociągu. W porównaniu do roku 2015 był to przyrost o 43 proc., a do 2012 aż o 100 proc. Z kolei ruch kolejowy zwiększył się w stosunku do roku 2015 o 24 proc., a do 2012 o prawie 40 proc. Tym samym jest to rok rekordowy w obsłudze transportu lądowego przez gdański port. To najlepszy wynik w historii portu. Tak duża dynamika wyników jest dowodem na znaczny wzrost znaczenia Portu Gdańskiego w obsłudze transportu lądowego.

Trzy czwarte ruchu przypadało w minionym roku na Port Zewnętrzny. Samochody przewoziły głównie ładunki drobnicowe w kontenerach oraz ła-

dunki masowe, jak produkty chemiczne oraz zboża. Natomiast drogą kolejową transportowano głównie węgiel i produkty chemiczne, w tym nawozy.

W minionym roku przez nowo zbudowany most kolejowy nad Martwą Wisłą przejechało ponad 5600 składów pociągów, co oznacza przeszło 220 tys. wagonów z ładunkiem. Osiągnięcie takiego wyniku cieszy, tym bardziej że przez dwa kwartały roku obsługa na moście odbywała się jednorotorowo. Drugi tor oddano do użytku w kwartale 2016 roku. Most najbardziej intensywnie wykorzystywano do przewozu ładunków skonteneryzowanych, których w ubiegłym 2016 roku, w ruchu lądowym, w ujęciu tonażowym, przybyło o ponad połowę. W roku bieżącym spodziewany jest dalszy wzrost ruchu lądowego. Podejmowane są działania pobudzające rozwój w tej dziedzinie.





Z Magdaleną Kołodziejczak, panią wójt gminy wiejskiej Pruszcz Gdański, rozmawia Zbigniew Żukowski

Jak długo pełni Pani funkcję wójta?

Wystartowałam do wyborów w 2002 roku i wygrałam je. Obecnie trwa moja czwarta kadencja.

Czy to trudna praca?

Gmina wiejska Pruszcz Gdański jest pod wieloma względami szczególna. Osiedlają się tutaj mieszkańcy przybyli z aglomeracji gdańskiej, z miejsc położonych blisko nas, ale mamy też przybyłych z całej Polski, a nawet świata. Takie zderzenie dotychczasowych mieszkańców z nowymi rodzi czasem problemy. Żeby pokazać skalę tych zmian przypomnę, że kiedy zaczęłam swoje urzędowanie gmina miała 13 tysięcy mieszkańców, dzisiaj mamy 30 tysięcy. Przy tak ogromnym przyroście ludności musieliśmy radzić sobie z przystosowaniem infrastruktury publicznej do nowej sytuacji. Każdy kto do nas przybywa i kupuje działkę, a następnie buduje się, chciałby żeby wokół natychmiast pojawiły się drogi, kanalizacja, szkoły, przedszkola, place zabaw, boiska. Sprostać tym oczekiwaniom i wymaganiom było chyba najtrudniej.

Warto podkreślić, że nasza gmina jest jedną z niewielu pokrytych w stu procentach planem zagospodarowania i ten plan, z pewnymi modyfikacjami, obowiązuje od 2005 roku. Sami nie przypuszczaliśmy, że będzie tak ogromny boom i równie wielki rozwój gminy pod wszelkimi względami.

Zanim została Pani wójt, przez dziewięć lat kierowała Pani Spółdzielnią Mieszkaniową Rotmanka. Czy była to dobra szkoła działania w nietatnych warunkach?

Była to namiastka tego, z czym musiałam się później mierzyć w samorządzie. W spółdzielni szłam do pracy na budowanym osiedlu w kaloszach, by załatwić te bardzo trudne i nieco prostsze problemy przyszłych mieszkańców. Tam zdobywałam doświadczenie, które w połączeniu z determinacją w dochodzeniu do celu było dobrym przygotowaniem do pełnienia podobnej funkcji, tylko w szerszym wymiarze, czyli w samorządzie. Poza tym byłam też radną i miałam dużą wiedzę o sprawach gminy i wydawało mi się, że wiele możliwości nie jest do końca wykorzystywanych. Byłam przekonana, że można wnieść do rozwiązywania spraw gminy świeżego ducha. W oparciu o to postanowiłam wystartować w wyborach.

Co w czasie Pani wójtowania zmieniło się w gminie?

Gmina zmieniła się generalnie. Dziś jest zupełnie inna niż kilkanaście lat temu. Mieszkańcy mówią, że jest nie do poznania. Na przykład w dziedzinie edukacji. Kiedyś dzieci uczyły się w małych wiejskich szkołkach, często w pomieszczeniach zupełnie do tego nieprzystosowanych. Dziś mamy nowoczesną sieć placówek szkolnych. Na osiem szkół, siedem ma piękne sale gimnastyczne i obiekty sportowe powszechnie dostępne. Jak zaczynałam pracę, mieliśmy cztery skromne place zabaw, dziś mamy 36 nowoczesnych;

mamy też 20 świetlic wiejskich. Ponad 60 proc. dróg ma powierzchnię asfaltową albo z kostki. Większość miejscowości ma ścieżki rowerowe. 95 proc. mieszkańców ma dostęp do kanalizacji sanitarnej, 100 proc. jest zaopatrzone w wodę. Poza tym mamy własne kino, salę teatralną, świetnie rozwinięte obiekty sportu i rekreacji. Długo jeszcze mogłabym wymienić dalsze dziedziny życia w gminie, w których nastąpił dynamiczny rozwój.

Ma Pani opinię wójta, który buduje. Co Pani zbudowała w gminie od podstaw?

Przede wszystkim w czasie mojego gospodarowania powstały nowe szkoły, całe nowoczesne układy drogowe, piękne boiska sportowe, wspomniane już place zabaw, ale również trasy turystyczne, w tym kajakowe, stacja żeglarska w Wiślince, świetlice wiejskie. Ale to tylko przykłady, których można wymienić dużo więcej.



Mediateka w Straszynie.



Infrastruktura sportowa w Łęgowie.

Jakie załatwione w czasie Pani kadencji problemy gminy uważa Pani za najistotniejsze?

Każdą sprawę uważam za bardzo ważną i nie jest to koketeria. No bo jeżeli przychodzi do mnie mieszkaniowiec i opowiada, co najbardziej mu doskwiera, to rozwiązanie tego problemu daje satysfakcję z załatwienia sprawy dla tego mieszkańca najważniejszej. A w szerszym wymiarze – zawsze starałam się doprowadzić do zrównoważonego rozwoju gminy, tej części wyżynnej, typowo miejskiej oraz części nizinnej, typowo rolniczej, czyli Żuław. Chciałam, żeby rozwój dokonywał się w obu częściach. Dziś mam świadomość tego, że jeszcze jest wiele oczekiwań i braków, ale mogę z pełną satysfakcją powiedzieć, że dzieci z miejscowości żuławskich mają takie same warunki do nauki, zabawy i rekreacji, jak dzieci z części miejskiej. Poprawia się też stan dróg i zapewniam, że rolnicy z Żuław nie toną już w błocie.

Jak ocenia Pani pozyskiwanie środków unijnych na gminne inwestycje?

Od początku mej działalności korzystaliśmy z każdej nadarza-

jącej się okazji do zdobycia środków. Pierwsze pieniądze, jakie uzyskaliśmy, to siedem milionów złotych na budowę dróg w 2004 roku dla miejscowości Straszyn. Ale też staramy się o środki ze wszelkich źródeł, w tym z programów ministerialnych i krajowych, z programów organizacji pozarządowych i oczywiście tych unijnych również.

Gmina Pruszcz Gdański leży obok Trójmiasta i chce być częścią metropolii gdańskiej. Co przemawia za byciem częścią metropolii?

Przy takim położeniu, jakie ma nasza gmina, granice administracyjne właściwie zacierają się i zanikają. I dzisiaj możemy powiedzieć, że stanowimy element Trójmiasta. Granice gminy wiejskiej z miastem Pruszcz Gdański właściwie już się zupełnie zatarły. A w ramach bycia częścią aglomeracji chcielibyśmy poprawić chociażby dostępność komunikacyjną. Dziś nie ma spójności w transporcie publicznym i o to będziemy zabiegali, tak żeby nasz

mieszkaniec, mając jeden bilet autobusowy, mógł podróżować po całym Trójmieście. Gdybyśmy dziś na ulicy zapytali naszych mieszkańców – czego najbardziej oczekują, to oczywiście oprócz takich głosów, że ktoś czeka jeszcze na budowę drogi, a kto inny na chodnik, największym wyzwaniem jest właśnie integracja w obrębie transportu publicznego.

Staramy się także dostarczać naszym mieszkańcom możliwie bogatą ofertę rozrywki i rekreacji, ale przecież nigdy nie będziemy konkurencją dla Gdańska, który ma filharmonię, teatry oraz inne obiekty kulturalne i sportowe, gdzie bywają nasi mieszkańcy i to prędko się nie zmieni z oczywistych powodów. Trudno bowiem spodziewać się, że gmina wiejska zbuduje na przykład filharmonię.

W ciągu wielu lat kierowania gminą miała też Pani sprawy trudne i bardzo trudne. Na przykład – kwestia słynnej hałdy fosfogipsów w Wiślince oraz problem z zalegającą ziemią wydobytą w czasie drążenia tunelu pod Martwą Wisłą. Jaki jest ich stan na dziś?

Rzeczywiście sprawa hałdy fosfogipsów co jakiś czas powraca na łamy i anteny mediów, ale dzisiaj sytuacja uległa uspokojeniu, ponieważ cały czas prowadzone badania nie potwierdzają zagrożeń. Hałda pięknie porośła roślinnością, pojawiły się na niej siedliska ptaków i zwierząt. Obok niej powstały obiekty jednej z najlepszych stoczní jachtowych, która świetnie prosperuje. Tak więc hałda przestała straszyć. Nie zwalnia to jednak z ciągłego monitorowania tego obiektu.

Co zaś do sprawy ziemi pozostałej po drążeniu tunelu, to udało się zapobiec dewastacji naszych terenów, chociaż zjawisko tzw. wyrównywania terenu poprzez składowanie na nim ziemi czy gruzów pojawia się bez przerwy i będziemy temu przeciwdziałać. Dużym kłopotem są też próby dzikiego wydobywania bursztynu. To ogromne wyzwanie, bo naruszany jest bardzo ważny system melioracyjny. Oczywiście, wszystko to jest nielegalne i w tej sprawie mocno wspierają nas instytucje tym się zajmujące oraz policja i prokuratura.

Czy są jakieś inne problemy, które mieszczą się w kategorii: bardzo trudne?

Może nie tyle bardzo trudne, co bardzo ważne. Taką bardzo ważną sprawą jest współpraca z marszałkiem województwa dotycząca przebudowy dróg o numerach: 226 i 222, czyli dwóch przecinających gminę dróg wojewód-



Stanica żeglarska w Wiślince.

znam większość mieszkańców z naszej gminy. Spotykam ich na zebraniach wiejskich, ale również na spacerach, zakupach, na pocście i mieszkańcy wiedzą, iż mogą o różne sprawy gminne zapytać, bo jestem takim wójtem – mieszkańcem, kimś swoim. To zresztą pozwala mi dowiadywać się o dobrych i złych sprawach gminy bezpośrednio u źródła, czyli od ludzi, których raz coś boli, innym razem coś cieszy.

Czy zdarzało się, że mieszkańcy gminy zapraszali Panią na rodzinne uroczystości?

Tak, zdarzają się takie zaproszenia dosyć często. Jednak nie ze wszystkich mogę skorzystać, bo na przykład kolidują z moimi obowiązkami. Jednak kiedy tylko mogę, to biorę w nich udział. Uważam, że jeśli ktoś zadaje sobie trud, by mnie zaprosić, to jest to dla niego ważne, a wtedy nie chcę go zawieść. No i czuję się wyróżniona i zaszczycona, że w takich wyjątkowych chwilach ludzie chcą, żeby z nimi była.

Czy ma Pani takie marzenie – jako wójt – którego spełnienie bardzo by Panią ucieszyło?

Może to zabrzmieć nieco patetycznie, ale po tylu latach pracy wiem, że budowanie infrastruktury będzie trwało zawsze, natomiast ubolewam nad tym, że nie potrafimy jeszcze tworzyć mechanizmów pełnej integracji mieszkańców. Często też zastanawiam się nad tym co zrobić, aby mieszkańcy nie traktowali swego miejsca zamieszkania tylko jako sypialni, ale angażowali się w życie gminy. Nie jest to proste, bo wszyscy jesteśmy zaganiani, obciążeni obowiązkami. Jednak myślę, że budowanie tożsamości jest największym wyzwaniem i marzeniem do spełnienia.

Dziękuję za rozmowę.

kich. One pozwolą na poprawienie bezpieczeństwa ruchu na tych ciągach oraz na całkowite spięcie ścieżkami rowerowymi naszych miejscowości.

Jest Pani wójtem bardziej urzędującym, czy bardziej wędrującym po gminie i znającym osobiście bardzo wielu swoich mieszkańców?

Mimo tylu lat pracy nadal Kocham swoją robotę i to się bierze pewnie z tego, że mam stałe kontakty z ludźmi. Oczywiście, przy tak dużej liczbie mieszkańców nie mogę znać każdego, ale mogę uczciwie powiedzieć, że



Przystań kajakowa w Juszkowie.

Przeciwko ubóstwu i społecznemu wykluczeniu

Aktywizacja społeczno-zawodowa i zwiększenie zatrudnienia, to cele przyświecające dwóm umowom na łączną kwotę dofinansowania 26,5 mln zł ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego dla województwa pomorskiego. Umowy podpisali marszałkowie Mieczysław Struk i Wiesław Byczkowski z miastem Gdynia oraz Stowarzyszeniem Obszar Metropolitalny Gdańsk – Gdynia – Sopot. Z efektów realizacji umów skorzysta ponad 1400 mieszkańców Pomorskiego, w tym 110 osób niepełnosprawnych. Będą oni mogli uczestniczyć m.in. w szkoleniach i korzystać z doradztwa zawodowego oraz warsztatów mających na celu aktywizację społeczno-zawodową.



Od lewej: Wiesław Byczkowski, wicemarszałek, Mieczysław Struk, marszałek województwa pomorskiego i Michał Guć, wiceprezydent Gdyni.

Fot. Sławomir Lewandowski

„System aktywizacji społeczno-zawodowej w Gdyni”, pierwszy projekt, realizowany przez Miasto Gdynię, o wartości 9,22 mln zł, otrzyma unijne dofinansowanie w wysokości 7,8 mln zł; będzie realizowany do 2022 roku. Partnerami projektu są: Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta Koło Gdańskie, Stowarzyszenie Przyjaciół Integracji, Fundacja Gospodarcza.

Uczestnikami będzie 662 mieszkańców Gdyni, w tym 110 osób z niepełnościami.

Chodzi o osiągnięcie takich celów, jak m.in.: aktywizacja społeczno-zawodowa i zwiększenie zatrudnienia osób dotkniętych i zagrożonych ubóstwem oraz wykluczeniem społecznym. W ramach projektów przewidziano cykl warsztatów tematycznych: 1. Prawno-ekonomiczne – wzmacniające kompetencje w zakresie prawa, sądownictwa, ekonomii, budżetu domowego, przepisów prawa pracy, systemów pożyczkowych, wychodzenia z długów, systemu ubezpieczeń. 2. „Styl życia” (psychologiczno-zdrowotne): dbanie o higienę życia codziennego. 3. Przedsiębiorczość i ekonomia społeczna: ukierunkowane na wzrost wiedzy w zakresie możliwości rozwiązania problemu bezrobocia w formule samozatrudnienia lub aktywności w ramach spółdzielni socjalnej; indywidualne doradztwo zawodowe; warsztaty aktywizacji zawodowej (trening skutecznego poszukiwania pracy, przygotowanie do rozmowy z pracodawcą z elementami autoprezentacji); indywidualne

wsparcie psychologiczne; szkolenia zawodowe, pośrednictwo pracy; utworzenie CIS w Gdyni; doradztwo dla osób z niepełnosprawnościami (doradca socjalny, psycholog, doradztwo zawodowe, pośrednictwo pracy, szkolenia zawodowe); wolontariat.

„Ośrodek Wsparcia Ekonomii Społecznej Dobra Robota na subregion metropolitalny” jest projektem Stowarzyszenia Obszar Metropolitalny Gdańsk – Gdynia – Sopot o wartości 21,4 mln zł. Otrzyma on unijne dofinansowanie w wysokości 18,7 mln zł i będzie realizowany do 2020 r.

Partnerami projektu są: Stowarzyszenie Towarzystwo Pomocy im. Świętego Brata Alberta Koło Gdańskie, organizacja Pracodawcy Pomorza, Pomorska Specjalna Strefa Ekonomiczna, Caritas Archidiecezji Gdańskiej, Fundacja Pokolenia. Projekt obejmuje 750 osób, a jego celem jest rozwój i wzmocnienie potencjału osób zagrożonych ubóstwem czy wykluczeniem społecznym.

W ramach tego projektu przewidziano m.in. prowadzenie procesu edukacyjnego w środowisku lokalnym, skierowane na tworzenie i rozwój lokalnych inicjatyw z zakresu ekonomii społecznej; doradztwo o charakterze strategicznym dla grup inicjatywnych; doradztwo biznesowe; Szkołę Menedżerów Ekonomii Społecznej; edukację o ekonomii społecznej w szkołach; wsparcie finansowe i pomostowe osób zatrudnianych w przedsiębiorstwach społecznych; udział w targach i wydarzeniach biznesowych.



Zawsze stolicą były Kartuzy...

Z Mieczysławem Grzegorzem Gołuskim, burmistrzem Kartuz, rozmawia Alina Kietrys

Kartuzy – śliczne, jak mawiają Kaszubi, 14-tysięczne miasto, które kiedyś konkurowało z Kościerzyną o miano pierwszeństwa na Kaszubach. Dzisiaj też?

Nie konkurowaliśmy, jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach. Ale zawsze stolicą były Kartuzy. Wszak tutaj rozpoczęły się sprawy związane z założeniem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, tutaj odbył się pierwszy zjazd Kaszubów, to tu wieszono po raz pierwszy flagę kaszubską, to w tej gminie i w tym powiecie najwięcej dzieci uczy się języka kaszubskiego, a także zdaje maturę z tego języka. Mamy znakomite położenie, otoczeni z każdej strony lasami, między czterema jeziorami. Kaszuby są niezwykle urodziwą krainą, ale w Kartuzach jest szczególnie atrakcyjnie i ciekawie turystycznie. Kartuzy są miastem od

1923 roku, ale jako osada istnieliśmy dużo wcześniej i zostaliśmy ukształtowani przez zakon kartuzów. Stąd też nazwa naszego miasta.

Czystość jezior to teraz ważny temat w Kartuzach.

Tak, czystość jezior wymaga jeszcze sporo działań. Dzisiaj już nie są zanieczyszczane m.in. ściekami, ale ta ilość nieczystości, które kiedyś do nich spływały, wymaga sporej ingerencji i naprawy. Zależy nam, by Kartuzy zyskały renomę taką, jaką miały kiedyś pod względem czystości wody, powietrza i krajobrazu. W okresie międzywojennym były kurortem, tutaj ludzie z Gdańska i Gdyni przyjeżdżali na odpoczynek, było kilkanaście pensjonatów, hoteli. Przed wojną porównywano nasze miasto do miejscowości uzdrowiskowych. A więc poprawa jakości ochrony środowiska to nasz główny cel.

Dotarła do Kartuz kolej metropolitalna.

To niewątpliwie ważne wydarzenie, które zmienia wizerunek miasta, daje szansę naszym mieszkańcom i turystom. Jesteśmy pierwszą gminą, która realizuje ten wielki modernizacyjny projekt województwa pomorskiego. Możemy się tutaj pochwalić, wyprzedziliśmy Kościerzynę, Starogard Gdański. Budujemy dworzec integracyjny – węzeł przesiadkowy, który będzie przypominał przedwojenny, atrakcyjny architektonicznie dworzec w Kartuzach. Dzisiaj stąd nowoczesnie i wygodnie dojedziemy kolejną do dużych ośrodków, centrów handlowych, do kin, teatrów. To połączenie jest wielkim udogodnieniem, prawdziwym oknem na świat. My jeździmy i do nas przyjeżdżają, zwiedzają naszą oryginalną kolegiatę, muzeum, próbują kuchni kaszubskiej, uczestniczą w przygotowywanych w mieście atrakcjach: jarmarkach, festiwalach. Przybywają też do nas rowerzyści. Dojeżdżają pociągami i od Kartuz zaczynają rowerowe wyprawy w głąb Kaszub. Zmieniamy w ramach rewitalizacji nasze miasto.

Rewitalizacja miasta to kolejne zadanie.

Tak, uzyskaliśmy na ten cel ponad 14 milionów złotych ze środków unijnych, będziemy zmieniać śródmieście wizualnie i społecznie. W tym roku skończymy modernizację rynku, czyli centrum miasta z nowymi obszarami zielonymi, z fontanną, nowym deptakiem i nowym dojściem do dworca. Społecznie projekt ukierunkowany jest na aktywizację starszego pokolenia, które zostało w jakiś sposób wykluczone z bieżącego życia miasta. Chcemy stworzyć atrakcyjne miejsce spotkań dla osób starszych, by mogła nastąpić prawdziwa i dobra integracja społeczna. Przeznaczaliśmy także ponad 2 mln złotych na rewitalizację elewacji i podwórek w tej części miasta we wspólnotach mieszkaniowych. To także wpłynie na zmianę otoczenia centrum miasta, pojawią się m.in. place zabaw. Ponad dwadzieścia wspólnot mieszkaniowych zgłosiło się do tego projektu i wskazało najistotniejsze obszary, które chcą zmienić w swoim otoczeniu. Mogę powiedzieć, że na pewno będzie pięknie.

Oświata to zadanie własne gminy, a jesteście w Polsce w przededniu ważnych zmian w edukacji. Na jakim etapie są Kartuzy?

Przyjęliśmy pierwsze uchwały określające sieć szkół, które poprzedziły liczne spotkania z dyrektorami szkół, komisją oświaty i organizacjami związkowymi. Realizujemy to, co jest naszym obowiązkiem wynikającym z wprowadzonej reformy oświaty. Staramy się to robić najmniej boleśnie dla grona pedagogicznego i z największą troską o nasze dzieci. Czy tak będzie, czas pokaże, bo wydaje mi się, że zmiany wchodzą zbyt szybko. Będziemy się przyglądać, jak będą funkcjonować w ciągu najbliższych dwóch lat ustalenia dotyczące przekształceń szkół. Chcę też, aby mieszkańcy ocenili nasze działania. Mamy w Kartuzach w oświacie wieloletnie i historyczne tradycje – choćby liceum przy Klasztornej czy szkoły na Wzgórzu Wolności i przy ulicy Mściwoja – chcemy, by nadal oświata kartuska była jak najlepsza.

A przedszkola? Wiem, że niedawno powstały piękne placówki.

Tak, to nasza duma. Za 8 milionów wybudowaliśmy cztery naprawdę bajkowe obiekty dla najmłodszych – piękne wnętrza, atrakcyjne wyposażenie. Dzieciom stworzyliśmy znakomite warunki do nauki, gry i zabawy. Rodzice mogą być zadowoleni z warunków, w jakich ich pociechy spędzają czas w przedszkolu. Wszystkie te zadania zrealizowaliśmy wychodząc naprzeciw ustawowemu obowiązkowi przyjmowania od 1 września tego roku trzyletnich dzieci do przedszkoli. Jesteśmy na to gotowi.

Kartuzy to tradycja i znani mieszkańcy: Aleksander Majkowski, Marta Bystroń, Franciszek Treder, świetny Zespół Pieśni i Tańca Kaszuby, a także pięknie piszący o Kartuzach, jak choćby Edmund Puzdrowski.

I jeszcze profesor Gerard Labuda, który również urodził się w Kartuzach i roztawiał Kaszuby nie tylko w Polsce. A zespół Kaszuby prowadzi od ponad 50 lat, z sukcesami krajowymi i międzynarodowymi, pan Franciszek Kwizdiński. Powstały również nowe zespoły folklorystyczne w szkołach,



Kartuzy z lotu ptaka.



Dworzec kolei metropolitalnej.



Otwarcie przedszkola w Kiełpinie.



Kaszubi.



Marina kaszubska.

na przykład Modraki. Dzieciaki reprezentują naszą gminę na różnych konkursach, zdobywają nagrody. Kartuzi to miejsce poetów i artystów kaszubskich, jarmarków kaszubskich i muzeum, które od dwóch lat prowadzi nowa kierowniczka Barbara Kąkol – twórcza i pomysłowa osoba. Wiele w tej placówce się zmieniło. A największa nasza impreza plenerowa u progu lata – Truskawkobranie – też się rozrasta i przyciąga do Kartuz tłumy.

Aby Kartuzi byli ważnym centrum Kaszub, to muszą być dobre drogi, żeby bez kłopotu dojechać do miasta.

Nasze drogi bardzo się zmieniają. Udało się zrealizować pierwszy etap obwodnicy, i tu ukłon w stronę marszałka województwa pomorskiego, który doskonale rozumiał potrzebę tej inwestycji. Dzisiaj zabiegamy o drugi etap obwodnicy, który jest dla miasta bardzo ważny. Ale również pozyskaliśmy środki od wojewody pomorskiego na ulicę Chmieleńską, tzw. małą obwodnicę w kierunku Bytowa. Także w ramach pozyskanych środków unijnych budujemy drogę łączącą Prokowo z Łapalicami. Te dwie inwestycje drogowe to około 6 mln zł na poprawę infrastruktury drogowej. Ale to nie wszystko. Ważna będzie też modernizacja drogi między Kartuzami a Sierakowicami. Przy tym mówimy też o bezpieczeństwie, a więc o ścieżkach rowerowych i odpowiednio zabezpieczonych miejscach do poruszania się pieszych. Ważna jest też ulica Gdańska w Kartuzach – to taki kręgosłup miasta; ta przebudowa przed nami, z udziałem bardzo wielu partnerów. Gdańska bardzo się zmieni, a tym samym zmieni się wizerunek miasta.

Ale są też i inne przewidziane inwestycje, które zmieniają Kartuzi.

Dzięki aktywności wielu osób, które pracują w kartuskim magistracie, udało się pozyskać olbrzymie środki finansowe, bo ponad 54 miliony zł środków zewnętrznych w ciągu dwóch lat. Już teraz wydajemy te pieniądze. Będziemy budowali pierwszy certyfikowany stadion lekkoatletyczny w Kartuzach. Dworzec kolejowy, osiem kilometrów ścieżek rowerowych powstanie w samym mieście. Realizujemy również program „Pomorskie Szlaki Kajakowe”, który połączy kilka gmin, tak jak przy wspólnych ścieżkach rowerowych po Kaszubach. Myślę, że w ciągu dwóch najbliższych lat Kartuzi i okolice bardzo się zmienią.

Taka perspektywa to zapewne radość dla burmistrza.

Nie ukrywam, że się cieszę z tego, co się już udało i myślę o tym, co przed nami.

Ponoć teraz ludzie chętniej osiedlają się poza miastami. Czy w Kartuzach też Pan obserwuje takie zjawisko?

I owszem, to wynika ze zmiany mentalności mieszkańców, którzy z Kartuz przenoszą się na obrzeża. Miasto dzisiaj to ważne miejsce działań administracyjnych i logistycznych, tutaj funkcjonują wszystkie urzędy, instytucje powiatowe, sądownictwo, prokuratura, policja, szkoły średnie, szpital – miasto to centrum, w którym pewnie niektórym się trudniej mieszka, więc ludzie budują się poza miastem, czyli poza pierścieniem lasu – jak my tutaj mówimy. Mamy wokół Kartuz duże wsie, na przykład Kiełpino, w którym mieszka już cztery tysiące ludzi, to wieś bardzo intensywnie się rozwijająca z dobrym dostępem komunikacyjnym, atrakcyjna widokowo i zdrowotnie, z wysokim przyrostem naturalnym.

Po raz trzeci jest Pan burmistrzem Kartuz.

Zaufanie, którym mnie mieszkańcy obdarzyli, zobowiązuje. Wstuchuję się w ich głos, bo najlepiej wiedzą czego im potrzeba. Mam jednak świadomość, że budżet gminy nie wystarczy na zrealizowanie wszystkich potrzeb. Chcę być dobrym gospodarzem gminy Kartuzi. Dzisiaj realizujemy to, o czym mówiono przez lata, wspomnę choćby modernizację kartuskiego rynku, w mojej gminie i mieście. Jestem z tego dumny i myślę, że mieszkańcy też. Tu się urodziłem i Gmina Kartuzi są dla mnie najważniejsze.

Życzę powodzenia i wielu sukcesów. Dziękuję za rozmowę.

Doroczne spotkanie konsulów honorowych

Doroczne spotkania Stowarzyszenia Konsulów Honorowych w Polsce to już tradycja. W tegorocznym, które odbyło się w Domu Uphagena w Gdańsku, na zaproszenie prezydent SKHWP Magdaleny Pramfelt, honorowego konsula Królestwa Niderlandów i honorowego konsula generalnego Szwecji, przybyła Natasha Meli Daudey, ambasador Republiki Malty w Warszawie. W obecnym półroczu Malta przewodniczy Radzie Unii Europejskiej. Pani ambasador towarzyszył i pełnił obowiązki gospodarza Sławomir Kalicki, konsul honorowy Republiki Malty w Gdyni, prezes Zarządu Inter Marine sp. z o. o.



Honorowy Konsul Królestwa Norwegii Michał Rzeszewicz, Magdalena Pramfelt, Prezydent Stowarzyszenia Konsulów Honorowych w Polsce, Honorowy Konsul Republiki Malty Sławomir Kalicki, Ambasador Republiki Malty Natasha Meli Daudey.



Od lewej Wiesław Byczkowski wicemarszałek województwa pomorskiego, Jacek Karnowski, prezydent Sopotu i Bogdan Borusewicz, wicemarszałek Senatu RP.



Przemawia Dariusz Drelich, wojewoda pomorski.



Spotkania korpusu konsularnego w Domu Uphagena, organizowane przez Stowarzyszenie Konsulów Honorowych w Polsce, nawiązują do prawie stuletniej tradycji spotkań gdańskich kupców, podczas których dzielono dywidendy. Podobnie jak wówczas, tak i obecnie, rozmowy podczas spotkań dotyczą pomysłów Gdańska i Pomorza oraz relacji międzynarodowych. W obrębie tych ostatnich honorowi konsulowie odgrywają ważną rolę. Pierwsze placówki prowadzone przez honorowych konsulów powstały w Gdańsku już w XVII wieku, a powołały je Francja i Niderlandy. Aktualnie status konsula honorowego określają postanowienia konwencji wiedeńskiej o stosunkach konsularnych z 1963 roku.

W tegorocznej uroczystości wzięły udział osobistości świata polityki, kul-

tury, nauki i gospodarki. Głos zabrali wicemarszałek Senatu RP Bogdan Borusewicz, wojewoda pomorski Dariusz Drelich oraz wicemarszałkowie województwa pomorskiego Wiesław Byczkowski i Ryszard Świński.

Jak poinformowała pani ambasador Natasha Meli Daudey, prezydencja Malty koncentruje się na sześciu kluczowych obszarach: migracji, jednolitym rynku, bezpieczeństwie, włączeniu społecznym, sąsiedztwie Europy i sektorze morskim. Priorytety prezydencji maltańskiej odzwierciedlają konieczność przywrócenia zaufania do UE, potrzebę dialogu i refleksji nad jej przyszłością oraz znaczenie kwestii związanych z migracją, bezpieczeństwem i gospodarką.

Nieprawdą jest, że nie lubię mężczyzn...

Z Hanną Bakułą rozmawia Alina Kietrys

Soft-feministka, kobieta – petarda, niespokojna i szczerza do bólu, brydżystka – gra dobrze i systematycznie, wegetarianka, niezależna w myśleniu, cięty język to jej urok – osobisty i literacki, słowem Hanna Aniela Agnieszka Bakuła Luniak Gontarczyk Lemaitre. Obywatelka polska i amerykańska, która propaguje kulturę polską za granicą, wspiera domy dziecka i organizuje festiwal muzyki Franciszka Schuberta. Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i autorka kilkunastu rozcztywanych książek... Połączyła nas niezdrowa woda gazowana, którą obie zamówiłyśmy, i lekka, ale wyczuwalna świąteczna ironia. Świąteczna? Bo to było dla mnie ważne spotkanie.



Zastanawiałam się, czy nie jestem dla Pani zbyt konwencjonalna? Nie zajmuję się weryfikacją cudzego życia. Zajmuję się weryfikacją swojego.

Większość rozmów z Panią zaczyna się bardzo podobnie: jaki jest Pani stosunek do mężczyzn, dlaczego ich Pani tak tępi, co sądzi Pani o kobietach. Czy nie wydaje się Pani dość nudna taka konwencja? Za każdym razem jednak mówię inaczej. Dlatego nie jestem aktorką, bo nie potrafię powiedzieć dwa razy tego samego, nawet jakby mi za to płacili. Nigdy nie narysowałam podobnie, nigdy nie powiedziałam podobnie i nie napisałam podobnie. Nieprawdą jest, że nie lubię mężczyzn, bo lubię ich bardzo. I mam tyle samo zastrzeżeń do kobiet co do mężczyzn. A może nawet więcej do kobiet. Więc zawsze mówię inaczej, bo co innego w danym momencie zwróciło moją uwagę, albo na co innego jestem zła. Myślę, że to nie jest nudne. A Pani też nie pyta o mój pobyt w Kenii, dlaczego? Odpowiadam na pytania dziennikarzy. Gram więc tak, jak przeciwnik pozwala.

Pasją Pani życia są podróże?

Nie. Pasją mojego życia jest czytanie książek.

Zauważyłam. Nawiązuje Pani do Witkacego, np. w malarstwie do Firmy Portretowej, i potem piszą o Pani „Witkacy w spódnicy”. Trochę to banalne. Szczerze mówiąc, pory dnia i pory roku też są banalne. I nie da się tego zmienić. Mówią „Witkacy w spódnicy”, bo to po najmniejszej linii oporu. On malował pastele, ja też. On robił portrety, ja robię portrety. Ale ja maluję też pejzaże, których Witkacy nie robił. Podobnie jest z akwarelami – ja je robię, Witkacy nie. Formalnie podobieństwo moje i Witkacego jest pozorne, bo on miał do dyspozycji gorsze kolory, papiery w beżach i ciemniejszych brązach, a ja mam do dyspozycji wszystkie kolory świata. Dużo rysuję i maluję na kolorowych tłach i bardzo lubię to robić. Witkacy nigdy nie zrobił portretu na turkusowym czy czerwonym tle. On miał też gorzej z pastelami, a w tej chwili są pastele o niesłychanych kolorach. Jestem zafascynowana kolorystyką sztuki ludowej, na przykład meksykańskiej. Nie lubię brązowego i beżu – w niczym: ani w ubraniu, ani w pastelach. Najbardziej lubię czerwony i żółty, bo są to żywe kolory.

Widziała Pani z pewnością w muzeum w Słupsku świetną wystawę Witkacowską.

Taaak. Byłam, widziałam i pierwszy raz w życiu bolał mnie kręgosłup, bo tak długo stałam przy tych pracach. A było to dwadzieścia lat temu. Teraz znowu w marcu jadę do Słupska i mam spotkanie w muzeum z panią dyrektorką, bo chcę zrobić tam swoją wystawę. Miałam już wystawę z Witkacym w Warszawie w Muzeum Literatury i były tłumy. Ja miałam parter, a Witkacy był na piętrze.

Czy się nie zdenerwował Mistrz od Firmy Portretowej, w której, na przykład, klient musiał być „wylizany”, że znaleźliście się Państwo razem?

Nie wiem, ale chyba nie, bo był w lepszych przestrzeniach na piętrze niż ja na parterze. Myślę, że Witkacy byłby facetem nie do wytrzymania. W ogóle nie chciałabym go poznać ani zobaczyć. Pawlikowska-Jasnorzewska, Samozwaniec czy Krzywicka zarzucały mu, że był potworem. Był pajacującym morfinistą, dosyć zakompleksionym hipochondrykiem i mizogennym wariatem.

Ostra ocena.

Znam twórczość i życiorys Witkacego; wspomagał się piwem, pił nawet osiem piw półlitrowych na rozruch twórczy. W czasach Witkacego narkotyki były w modzie: morfina i opium.

Czy Pani zażywa?

Nie, w moim środowisku najbliższym nie ma słowa narkotyki i nigdy nie było. To inne pokolenie niż także to współczesne, my pijemy wódkę i wino. Czasem ktoś przywlecze jakąś trawę i chce poczęstować. Ale nikt nie chce

i to jest śmieszne. Nie zażywam ani nie pracuję po alkoholu, bo wtedy to nie jestem ja.

Robi Pani portrety tych najstawniejszych, jak Liv Ullman czy Yehudi Menuhin, ale również bliskich i dalszych znajomych. Ma Pani wokół siebie duże grono ludzi i często bywa na różnych spotkaniach, przyjęciach. Jest Pani bywalczynią?

Tak, ale to nie jest żaden komplement. To moja normalna praca zawodowa, muszę chodzić, muszę poznawać ludzi, rozmawiać, żeby mieć zamówienia na portrety, felietony, książki. Lubię bywać, ale najbardziej lubię czteroosobowe kolacje. Wtedy gramy w brydża.

Kto musi być na takiej idealnej wydawanej przez Panią kolacji?

Moi przyjaciele, piszący i robiący coś bardzo ciekawego. Lubię sześćoosobowe kolacje, bo wtedy panuję nad stołem. Ale zwykle są u mnie przyjęcia trzydziestoosobowe. To moje doborowe towarzystwo i z każdą z tych osób chętnie rozmawiam i one ze sobą chętnie rozmawiają.

Co Pani serwuje gościom?

Stały repertuar, który nie brzmi zbyt wyrafinowanie, ale jeśli jakiegoś dania nie podam, to są zażalenia. A więc jajka faszerowane na ciepło smażone na maśle, fasola jaś z oliwą, majerankiem i czosnkiem, kasza gryczana z pietruszką zieloną, z bardzo dużą ilością czosnku i ostrym olejem orientalnym, zupę z soczewicy, naleśniki z maki jaglanej ze szpinakiem liściowym i miodem. Jeśli tych potraw nie ma, jest wrzask, dlaczego.

Ale jestem głodna. I to przez Panią. Ale ad rem. Jeździ Pani często na kongresy kobiet.

Ja to traktuję jako działalność dobroczynną. Bo te kobiety są mnie bardzo ciekawe.

A może podziwiają Pani odwagę, samodzielność, umiejętność mówienia wprost, brak tematów tabu...

Myślę, że tak. One chciałyby być takie jak ja, mówią o tym. Powiem wprost: spotykam kobiety, które dzięki mnie się rozwiodły i mają drugie, wspiane życie, spotykam kobiety, które po przeczytaniu moich książek pogoniły damskiego boksera, a były z nim już na przykład piętnaście lat. Spotykam kobiety, które zmotywowałam do własnych biznesów albo własnych pasji i... zaczęły malować. Jestem takimi kijkami do „nordic walking” dla kobiet. Czyli po naszych spotkaniach często zaczynają nowy, szybszy marsz. Mają podpórki. Czasami rekomenduję zachowania nietypowe, dla niektórych niepojęte. Niedawno dowiedziałam się, że po mojej rekomendacji, by kobiety katowane chodziły na kursy samoobrony, jedna z pań po kursie tak przyłożyła swojemu mężowi, że wylądował biedak w szpitalu, a on ją lat wcześniej przez dziesięć lat.

Czy Pani bywa czasami miękka i uległa?

Jestem bardzo delikatną i wrażliwą osobą. Nie do wszystkich i nie zawsze. Nie mam postawy agresywnej na zewnątrz. Jestem miłym, kulturalnym człowiekiem, a przyłożę jeśli trzeba.

Widać to w Pani książkach: ostry język, odrobina cynizmu i dystans wobec siebie.

Ogromny mam dystans wobec siebie. Moje bohaterki w książkach to w większości jestem ja zastrzona czy też wzbogacona i wzmocniona przez parę osób, które znam. W pewnym sensie jestem patologiczna, bo nie obchodzi mnie, co ludzie myślą o mnie. Nic a nic.

I nikt Pani nie urazi?

Nie, nigdy. Nie jestem aż taką wielką damą. Jestem zajęta tym, czym jestem zajęta i reszta mnie nie obchodzi.

A jest Pani bardzo zajęta?

(westchnienie)

A może jest Pani leniwa?

Jestem leniwa, jak widzę dobrą restaurację, bo od razu bym coś zjadła, jestem leniwa, gdy widzę ładny basen, w którym można poćwiczyć. Mając do wyboru pracę lub pójście na basen – pójść na basen. A jak mam nic nie robić, to śpię, bo szkoda mi czasu na nicnierobienie. A spanie jest produktywne. Mózg się regeneruje. Więc nie usiądę, by posiedzieć, bo albo czytam, albo maluję, albo śpię, albo jestem w knajpie.

Lubi Pani też rower, a nie lubi sportów ekstremalnych.

Tak, bo tylko idiota lubi sporty ekstremalne. Człowiek, który naraża swoje życie i robi to bez potrzeby, jest idiotą. Nie potrafi docenić tego, że jest zdrowy. A jeśli potem coś zdarzy mu się na tym bungee czy motocrossie, to ja płacę za leczenie. I to mnie irytuje, że to jest na mój koszt. Na mój koszt grubas ma zawał, na mój koszt leczy się cukrzyk, który je za dużo, a potem dostaje cukrzycy, na mój koszt leczy się palacz papierosów. Oni mnie wykorzystują, dlaczego?

Pisze też Pani o braku skrupułów i chamstwie.

Bo to mnie złości. Chama wychowała mama. Polski mężczyzna jest wychowany tak, że w ogóle nic nie musi. Samo jego istnienie powinno uszczęśliwiać kobietę i radować do szaleństwa. Piśzę o tym, bo walczę z tym schematem. Czasami nawet moje koleżanki mówią, nie poluj już tak na facetów. A ja jestem snajperem jeśli chodzi o facetów, którzy nie trzymają się jakiejś kulturalnej normy. Ja ich wyszydzałam, kiedyś powiedziałam, że nie rysuję grubych, tyśych i wąsatych.

Łysina nie jest winą mężczyzny. Ale łysy może założyć czapkę.

Jesteśmy w Sopocie, nieopodal Teatru im. Agnieszki Osieckiej. Pani się z nią przyjaźniła, a właśnie mija dwadzieścia lat od jej śmierci. Napisała Pani książki o niej i dla niej.

Tak, „Ostatni bal”. To były listy Agnieszki Osieckiej i moje napisane współcześnie do niej, a drugi tom to „Ostatnia dal” – listy i pocztówki. Myślę, że Agnieszka nie wytrzymałaby tego wszystkiego, co teraz się dzieje. Ze swoją estetyką i fizyczną i psychiczną nie mieściłaby się w tej doraźności, w stereotypie byle czego i dwumetrowych anorektyczek, które kiedyś pokazały cycek i dlatego są sławne. Nienawidziła wielu spraw, które są teraz w cenie. Jest coraz mniej sztuki, jest coraz mniejszy szacunek dla wrażliwości. Może by pisała o tej forsie, jako rzekomej wartości podstawowej aktualnego człowieka. Kiedyś dostałyśmy zaproszenie do Mariotta na jakiś wieczór. Firma zapraszała na coś. Zostawiłyśmy płaszcze, wjechałyśmy schodami ruchomymi. I Agnieszka rozgląda się i zdziwiona pyta: – Hanusiu, a gdzie są gospodarze? Ja mówię: – wiesz, oni potem będą na scenie. A ona na to naprawdę zdziwiona: – Ale kto mnie zaprosił? Mówię: – Zaprosiła cię firma. A ona: – Ja ich nie znam. To możemy już iść. I poszłyśmy. Takich zdarzeń było sporo.

A była Pani w teatrze Osieckiej?

Tak, ale tam jest mało Osieckiej. Ten teatr to było marzenie Agnieszki, także przez jej sentyment do André Ochodlo-Hübnera, który tylko w lecie prowadzi ten teatr. Myślę, że najlepszą i największą robotę robi Fundacja Agnieszki Osieckiej i jej córka.

Fundacja Okularnicy. W Sopocie odbywają się eliminacje do konkursu „Pamiętajmy o Osieckiej”.

Stucham tych piosenek na koncercie w Warszawie. Tak różnie ci młodzi ludzie je interpretują, są czasami niezwykle utalentowani. Znam wszystkie teksty piosenek Agnieszki na pamięć. Więc jak ktoś zmienia słowa, to ja siedzę na widowni i mam „ból zębów”. Pamiętam jak białe koszule na sznurze szły, zamiast schły. Przekręcają wersy i słowa, bo wielu słów, których używała Agnieszka, dzisiaj młodzi ludzie nie znają. Ogromną nadzieję mam co do młodości, ale tylko w pewnych aspektach. Co do wykształcenia – nie mam żadnych złudzeń, że czeka nas katastrofa intelektualna. Jak wymrze pokolenie profesora Bralczyka, to niewiele zostanie.

W sztuce też?

Nie będę Pani mówiła, że nie rozumiem sztuki konceptualnej i sztuki bardzo współczesnej. W sztuce jesteśmy w czołówce w muzyce poważnej, mamy znakomitych kompozytorów, śpiewaków, wirtuozów, dyrygentów, orkiestry kameralne. To dziwne, bo głuchy naród, który nie jest w stanie zaśpiewać czysto „Sto lat” wydaje z siebie wybitnych.

To może nie jest tak źle?

Ale tylko w muzyce. Dalej słabo. W sztukach pięknych ciągle najciekawszym pokoleniem są siedemdziesięciolatekowie – malarze, rzeźbiarze. W muzyce rozrywkowej jesteśmy beznadziejni, poza bardzo nielicznymi wyjątkami.

A co Pani lubi tak naprawdę? Czytać.

Ale nie lubi Pani Sienkiewicza.

Litości, to jest kawał wstrętnego rasisty, który spustoszył to społeczeństwo. Proszę to napisać. To jest facet, na którym wychowały się rzesze wąsatych ku pokrzepieniu serc grubasów, kłamczuchów, rasistów, zdrajców, pijaków.

Zagłoba się Pani nie podoba.

Kłamczuch – zdrajca, pijak. Fantastyczny facet, nieprawdaż? A pan Kmicic, Wołodyjowski? Zostawili szanowne panie i wysadzili się w powietrze. Zostawili panie, żeby zostały zgwałcone przez orde tatarską. Co to jest za model? A ci okropni Murzyni u Sienkiewicza, a ci straszni Żydzi? Co to jest? Myśmy się tego najedli. Ja sama też jestem wychowana na Sienkiewiczu i dopiero jak zaczęłam dojrzywać i analizować to, co napisał, wszystko do mnie docierało. I powiedziałam: dosyć! Kiedyś nawet do „Playboya” napisałam felieton „Ofiary Sienkiewicza”. Gdybyśmy byli wychowani na Prusie i Żeromskim, nie byłoby tak źle.

Kiedyś powiedziała Pani, że marzy o świętym spokoju. Nie mogę w to uwierzyć.

Każdy ma taki święty spokój, na jaki sobie zasłużył. Ja marzę o swoim. Chciałabym siedzieć w Tajlandii na plaży pod parasolem, żeby się nie opalać, i grać w brydża.

Dziękuję za rozmowę i życzę, tym razem w Sopocie, dobrego wypoczynku i dobrych lektur.



Prawdziwa pasja.... zaczyna się od spotkania inspirującego człowieka

Na spotkanie z Hanną Bakułą zaprosiła Hanna Hass, która jest miłośniczką wielu talentów pisarki i malarki. Kilkanaście napisanych dowcipnie książek podoba się wielu miłośnikom talentów artystki.



Danuta Wałęsa i Hanna Hass.



Przy obrazach artystki, Hanna Bakuła i Krzysztof Skiba.



Spotkanie odbyło się w hotelu Haffner i zgromadziło wiele osób z różnych stron Polski. Opowieści pełne dowcipu, ciepłych wspomnień i dystansu bardzo się podobały licznie przybyłym gościom. Hanna Bakuła opowiadała o swoim dzieciństwie, i nieco otyłej dziewczynce, która świetnie sobie radziła z przeciwnościami losu. Przywołała 8 lat spędzonych w Nowym Jorku, gdzie wyjechała po otrzymaniu stypendium Muzeum Guggenheima. Opowiadała o swoich pasjach, malarstwie i pisaniu.

Rendez vous zakończyły rozmowy kularowe i cocktail przygotowany przez właścicielkę hotelu Haffner - Hannę Hass.



Z miłośniczkami talentu Hanny Bakuły.



Adrenalina schodziła ze mnie powoli, przez cały tydzień!

Z Dorotą Miśkiewicz, wokalistką, skrzypaczką, kompozytorką rozmawia Jerzy Uklejewski

W ubiegłym roku na polskim rynku muzycznym ukazały się aż dwie Pani płyty, widać, że pracowity to był rok. Zgadza się, w czerwcu ukazała się płyta „Best of”, a w październiku „Piano.pl”. A czy to był rok pracy? Tak, „Piano.pl” jest płytą koncertową, musieliśmy więc zagrać najpierw koncert, a zgranie wszystkiego, czyli muzyków, a także całej ekipy technicznej, również współpraca z TVP 2, to było przedsięwzięcie, jakiego doświadczyłam pierwszy raz w życiu.

No i w ubiegłym roku została Pani wyróżniona nominacją do nagrody „Koryfeusz Muzyki Polskiej”, przyznawanej przez polskie środowisko muzyczne.

Dla mnie to było wielkie wyróżnienie. Zostałam nominowana w kategorii „Osobowość Roku” m.in. za płytę „Piano.pl”. Znalazłam się w gronie pięciu

wybitnych artystów: Agaty Zubeł, Rafała Siwka, Huberta Rutkowskiego i Adama Bałdycha, a więc konkurencja była mocna.

Płytę mającą w tytule „Best of” na ogół wydaje się na okoliczność podsumowania dorobku, czy właśnie taki był zamysł jej wydania?

To nie był mój pomysł, tylko firmy Sony Music, która postanowiła zebrać na jednej płycie najciekawsze piosenki z mego dorobku. Zgodziłam się na ten pomysł, uznałam, że kompilacja utworów z różnych moich płyt może też ciekawie brzmieć. A przy okazji na płycie „Best of” znalazła się piosenka premierowa i też utwory, które śpiewam na koncertach, a które nie znalazły się na moich solowych płytach, na przykład „Lubię być szczęśliwa” z Jerzym Wasowskim, czy też macedońska melodia z polskim tekstem „Anna Joanna”. Czy album „Best of” jest podsumowaniem mego dorobku? Na pewno jest podsumowaniem mojej dotychczasowej współpracy z firmą fonograficzną Sony i otwarciem nowego rozdziału, czyli współpracy z Universalem.

Rozumiem, że na tej płycie są Pani najpopularniejsze piosenki, takie obojętne pozycje, których nie może zabraknąć na Pani koncertach.

Tak, ale jest też utwór premierowy „Bezbledny” z muzyką Marka Napiorkowskiego i słowami Michała Rusinka. Ta piosenka powstała w ekspresowym tempie. Michał jeszcze pisał ostatnią zwrotkę, kiedy ja już stałam przy mikrofonie w studio. Na tej płycie są też inne piosenki ważne dla mnie, przede wszystkim duet z Cesarią Evorą „Um Pimelada”, czy też duet z wybitnym włoskim pianistą jazzowym Stefano Bollanim „So gia (Sodade)”, w którym zagrał on na fortepianie i zaśpiewał. Ta piosenka, którą nagrałam z nim kiedyś na włoską składankę z utworami Cesarii Ivory, teraz mogła ukazać się w Polsce.

Płyta „Piano.pl” to już coś nowego, nietypowego na naszym rynku, jaka myśl do niej prowadziła?

Zamiar nagrania takiej płyty miałam już od dawna. W Polsce mamy wielu rewelacyjnych pianistów jazzowych i tak sobie myślałam, że dobrze byłoby kiedyś ich zgromadzić. Jednak wówczas nie myślałam, żeby było to ich spotkanie podczas koncertu, bardziej myślałam, żeby zgromadzić ich w studio, żeby każdy z nich zagrał jeden utwór, żeby mógł mi akompaniować. Ten pomysł stał się realny, kiedy zainteresowała się nim również moja menedżerka. A wiadomo, przy projektach na dużą skalę menedżer jest niezbędny, po prostu na realizację projektu potrzebne są środki finansowe. Wymyśliłyśmy, że projekt zrealizujemy podczas koncertu i zarejestrujemy go, nie tylko w wersji audio, ale i video. Udało mi się zaprosić wielu wspaniałych pianistów, moich kolegów, choć oczywiście nie wszystkich, bo w ciągu dwugodzinnego koncertu nie zdążyliby się zaprezentować. Koncert odbył się, i to był największy projekt, jaki do tej pory zrealizowałam. Dodam jeszcze, że to było dla mnie absolutnie niezwykle przedsięwzięcie.

12 piosenek znalazło się na płycie kompaktowej, 12 duetów, ale druga osoba, która Pani towarzyszyła, to nie jest muzyk – wokalista, a muzyk – pianista.

Do współpracy zaprosiłam trzy pokolenia pianistów, wśród nich są pianiści tworzący historię polskiego jazzu, m.in. Włodzimierz Nahorny, Bogdan Hołownia, Andrzej Jagodziński, młodszy artyści m.in. Leszek Możdżer, Marcin Wasilewski, Krzysztof Herdzin, Michał Tokaj oraz reprezentanci najmłodszej generacji: Dominik Wania, Piotr Orzechowski. Do tej jazzowej braci postanowiłam dorzucić jeszcze inne kolory: Lutosławski Piano Duo zagrał na cztery ręce, Tomasz Kałwak pokazał brzmienia syntezatorowe. W tym gronie kilkunastu wielkich osobowości polskiej muzyki znalazł się także Grzegorz Turnau – właśnie w roli pianisty. Niektórym duetom towarzyszył znakomity Atom String Quartet. Mój tata, Henryk Miśkiewicz, też gościnnie pojawił się w jednym utworze. To było niezwykle wzruszające widzieć ich wszystkich w finale na scenie.

Czy to był jedyny taki koncert, na którym zgromadziła Pani całą czołówkę polskich pianistów?

Jedyny, ale mam nadzieję, że jeszcze uda mi się go powtórzyć. Na razie planujemy granie materiału z tej płyty na koncertach w nieco ograniczonym składzie.

W planie jest też koncert w Trójmieście?

Tak, w Gdańsku będziemy 10 marca, zagramy w klubie Żak, a wraz ze mną na scenie pojawią się: Włodzimierz Nahorny, Michał Tokaj i Piotr Orzechowski „Pianohooligan”, zagra z nami kwartet smyczkowy Bartosza Dworaka – zeszłorocznego zwycięzcy konkursu im. Z. Seiferta. Już się cieszę na to wydarzenie i już zapraszam!

Rejestracja koncertu na płycie DVD, to pełny jego zapis?

Tak, od początku do końca, łącznie z bisami! Na DVD jest więcej piosenek,

niż na CD, jest dodatkowo mazurek Fryderyka Chopina oraz utwory wykonane na bis. I co mnie jeszcze cieszy, oprócz płyty CD i DVD, koncert został zarejestrowany na dwóch płytach winylowych. W sprzedaży jest limitowany box z tymi płytami, to mój pierwszy winyl!

Nagrywaniu płyty koncertowej na pewno towarzyszyły emocje i radość wynikająca z procesu twórczego. A jak wyglądał finał koncertu, dzień nagrywania? Jak się zakończył? Szampanem?!

Oczywiście! (śmiech). Ten projekt tworzył się w specyficzny sposób. Chcąc pianistom dać trochę wolności zasugerowałam im utwory, które mieli wykonywać, utwory polskie, takie, które mnie wzruszają i w jakiś sposób są dla mnie ważne. Sugerowałam utwory i tonacje, ale aranżacje już tworzyli sami pianiści, bez mojego udziału. Spotykaliśmy się na próbach, które z racji tego, iż pianiści byli z różnych miast i nie zawsze mogliśmy spotykać się w Warszawie, były rozrzucone w czasie. Oczywiście na finale byliśmy już wszyscy razem. Spotkaliśmy się w przeddzień koncertu na długiej próbie, od 10 rano do 21 wieczorem, z godziną przerwą na obiad. Następny dzień też od rana był bardzo pracowity. W Teatrze Roma w Warszawie była od rana generalna próba, o godzinie 15 pokaz przedpremierowy, a sam koncert o godzinie 19, oba już rejestrowane przez telewizję. No, a jak już było po wszystkim, widownia opustoszała, poszliśmy wszyscy do klubu jazzowego i tam, na pełnym luzie zorganizowaliśmy sobie towarzyskie spotkanie z włoskimi przysmakami i winem. I tak świętowaliśmy ten dzień. Zauważałam, że ten koncert nie był tylko moim szczęściem, ale też szczęściem moich kolegów, którzy mieli okazję spotkać się w tak dużym gronie. Ten wieczór był niezwykle sympatycznym spotkaniem. Muszę jednak przyznać, odsypiałam go jeszcze przez tydzień i to nie z racji wieczornego spotkania w klubie, a wysokiego poziomu adrenaliny, który towarzyszył mi podczas koncertu i dni poprzedzających ten koncert. Adrenalina schodziła powoli, przez cały tydzień.

Wydaje Pani ciekawe tematyczne muzyczne projekty: płyta, na której znalazły się piosenki dzie-

cięce Lutosławskiego i Tuwima nagrane z zespołem Kwatrofonik, cztery płyty nagrane z Włodzimierzem Nahornym, m.in. „Nahorny – Chopin Fantazja Polski”, płyta „Wasowski odnaleziony”, no i teraz „Piano.pl” będąca hołdem złożonym polskiej pianistce. Ma Pani w planie kolejne tematyczne płyty?

Raczej swoich planów nie zdradzam, bo mam wrażenie, że to potem gdzieś się ulatnia i nic z tych planów nie wychodzi. Ale nie miałam świadomości, to pan mi teraz uświadomił, że faktycznie nagrania, w których uczestniczyłam, często miały jakiś przewodni temat. W tym momencie jestem tak pochłonięta płytą „Piano.pl”, że trudno mi myśleć o przyszłości. Teraz myślę o tym, żeby ruszyć w trasę, dać serię koncertów, na których będę mogła, wraz z pianistami, zaprezentować to, co znajduje się na mojej nowej płycie, tak żeby ten projekt dotarł do jak największej liczby odbiorców. A co zawodowo dalej, to też jest myśl, którą powinnam się zająć.

Ukończyła Pani Akademię Muzyczną w Warszawie w klasie skrzypiec, a kiedy poczuła Pani potrzebę śpiewania? Zbigniew Wodecki też kończył szkołę muzyczną w klasie skrzypiec, ale jako piosenkarz zadebiutował dopiero po kilku latach.

Skrzypce dlatego, że rodzice posłali mnie do szkoły muzycznej i tam został mi wybrany taki instrument. Na skrzypcach grałam do końca, aż do ukończenia wszystkich możliwych szkół muzycznych. A śpiewanie? Już jako dziecko lubiłam śpiewać, ale dopiero pod koniec liceum poczułam bardzo silną chęć śpiewania! Edukację wokálną prowadziłam już na własną rękę. Sama organizowałam sobie warsztaty wokalne, lekcje dykcji, czy też emisji głosu. Kiedy byłam na studiach, dostałam angaż od Włodzimierza Nahornego do jego kwintetu (a potem sektetu). I już wówczas byłam całkowicie pewna, że

oczywiście skończę Akademię Muzyczną w klasie skrzypiec, ale skrzypczką to ja nie będę.

Pochodzi Pani z muzycznej rodziny Miśkiewiczów; ojciec, Henryk Miśkiewicz, to znany saksofonista jazzowy. Muzyka obecna w Pani domu, przebywanie w środowisku muzyków sprawiło, że postanowiła Pani pójść tą drogą, co tata?

Miało wpływ o tyle, że w ogóle muzyka była w domu, otaczała mnie ze wszystkich stron. Ale była to inna muzyka, muzyka rozrywkowa, jazzowa. Ona była mi bliższa, niż muzyka poważna, która dominowała w szkołach. Chyba nie tylko wychowanie, zapewne i geny sprawiły, że podążam drogą podobną do taty.

Czy to Pani tata był pierwszym nauczycielem muzyki, udzielał Pani praktycznych lekcji?

Właściwie to mama, bo prowadziła umuzykalniające programy dla dzieci, znała całą masę piosenek dziecięcych. I ja, jako małe dziecko, byłam przez

dowoj z okazji 50-lecia jego pracy twórczej. Nie przeczę, bardzo lubimy takie rodzinne muzykowanie. Chociaż każdy z nas zajmuje się inną muzyką, to jednak mamy we krwi ten sam puls. Tata zajmuje się stricte jazzem, ja raczej lżejszymi formami, chociaż też jazzującymi, natomiast brat gra dość zaawansowaną muzykę jazzową, bardzo improwizowaną, otwartą. Mimo że każdy z nas gra nieco inną muzykę, to jednak kiedy się spotykamy, czujemy się ze sobą dobrze i dobrze się nam gra.

Pani życiem jest muzyka, a czy otworzyłaby się Pani na inne, nowe artystyczne przygody; np. Halina Młynkowa zgodziła się być aktorką i zagrać w czeskim filmie „Muzzikanti”. Pani też by się zgodziła zagrać w filmie?

Oj, musiałabym to przemyśleć, ale czy to jest propozycja (śmiech)? Nie wiem, na ile moje ewentualne zdolności aktorskie pozwoliłyby mi zaistnieć na filmowym planie. Poza muzyką, piszę też słowa do moich piosenek, ale robię to z pewną nieśmiałością, bo wiem, że są profesjonalści, tzw. tekściarze, którzy na pewno robią to lepiej. Ostatnio wystąpiłam też nie w swojej roli, byłam dziennikarką w radiowym programie Marka Niedźwieckiego „Markomania”. I powiem szczerze, śpiewanie bywa mniej stresujące, a kiedy jestem nie w swojej roli, jest to dla mnie nieco trudniejsze zadanie.

Jest czas na muzykę, jest czas dla siebie, co Pani wówczas najchętniej robi, zasztywając się w domowym zaciszu?

Bardzo lubię czytać książki i ilekroć mam czas i siłę, to siadam z książką. Najchętniej, jak jest jeszcze ładna pogoda, lubię przebywać za miastem i tam, na leżaku, zagłębiam się w lekturę. No, a że teraz mamy zimą, jak posypie śniegiem, na pewno wybiorę się na narty.

Sentyment do Trójmiasta, czy inny powód sprawia, że często gości Pani w naszych stronach?

Teraz tak się faktycznie złożyło, że w październiku byłam z sekstem Włodzimierza Nahornego w Gdańsku, chwilę później

prowadziłam warsztaty wokalne w waszej Akademii Muzycznej, w grudniu byłam z koncertem w Gdyni z okazji 83. urodzin Dworca Morskiego, a w marcu, jak już wspominałam, będę u was z koncertem „Piano.pl”. Może to nie tyle sentyment, że wracam do Trójmiasta, jestem tu po prostu zapraszana, co jest dla mnie bardzo miłe. A jak tu już przyjeżdżam, to jestem bardzo szczęśliwa, bo część rodziny ze strony mojej mamy mieszka w Gdyni i też przy okazji ich odwiedzam. Sentyment do Trójmiasta jest, i to duży, po prostu uwielbiam tu przebywać. Zarówno Gdynia, jak i Sopot, Gdańsk, każde z nich ma swój urok, specyficzny klimat, lubię spacerować ulicami tych miast.

Foto: Honorata Karapuda/Universal Music Polska



nią uczona tych piosenek. Nawet kiedyś posłała mnie na jakiś konkurs wokalny dla dzieci, ale nie poznałyśmy jego laureatów, zabrała mnie do domu jeszcze przed ogłoszeniem wyników. Chyba jej się po prostu nie podobał mój występ (śmiech). Potem nauczycielem był mój tata, a gdy byłam nastolatką – moi rówieśnicy. Jak wiadomo, rówieśnicy mają bardzo dużą siłę oddziaływania, a ja miałam szczęście spotkać na swojej drodze wyjątkowo zdolne osoby. Nauczycielami były też silne osobowości, z którymi pracowałam, od których, chcąc nie chcąc, uczyłam się.

Pani brat Michał jest perkusistą... czy zdarzało się Wam rodzinne muzykowanie?

Zdarza się nam od czasu do czasu spotkać na scenie, bo mój tata lubi nas jednoczyć pod swoimi skrzydłami, czyli we własnych projektach. Ostatnio zjednoczyliśmy siły podczas karnawałowego koncertu w Filharmonii Naro-

Letnia część trasy Forever Child Tour

Agnieszka Chylińska, po wydaniu długo oczekiwanej płyty „Forever Child”, od października 2016 r. gra koncerty entuzjastycznie przyjmowane przez fanów. Po kolejnych występach artystki w Polsce i Europie producenci trasy – Music Company i Top Management – zapraszają na cztery koncerty w ramach letniej części „Forever Child Tour” 2017.

We wrześniu 2016 r. Agnieszka Chylińska powróciła w wielkim stylu na polską scenę muzyczną, wydając album „Forever Child”, który szybko zyskał status złotej, a następnie platynowej płyty. Pierwszy utwór z krążka, „Królowa też”, ma już ponad 37 milionów odsłon w serwisie YouTube. Gdy w październiku 2016 r. artystka rozpoczęła trasę „Forever Child Tour”, bilety na wszystkie koncerty zostały wyprzedane w rekordowo krótkim czasie. Również polskie i europejskie koncerty w lutym i marcu 2017 r. cieszyły się ogromnym zainteresowaniem fanów. W związku z entuzjastycznym przyjęciem i emocjami towarzyszącymi występom Agnieszki Chylińskiej, Music Company i Top Management, producenci trasy, zapraszają na cztery koncerty w ramach letniej części „Forever Child Tour” 2017: w Płocku, Ostródzie, Sopocie i Koszalinie.

„Forever Child” Agnieszki Chylińskiej jest zaskakującą i nieoczywistą wypowiedzią artystki, której twórczość najlepiej określa ukute przez nią hasło: „nigdy taka sama”. Tym razem Agnieszka Chylińska łączy rockową siłę swojego charakterystycznego głosu z nowoczesnym brzmieniem. Nawiązując do stylistyki z początków kariery i wplatając wyraziste elementy ulubionych nurtów muzycznych, zaprasza fanów w niezwykłą podróż. Dopełnieniem są osobiste, niezwykle emocjonalne teksty, które długo pozostaną w pamięci słuchaczy. Na koncertach „Forever Child Tour” charyzmatyczna wokalistka kolejny raz zaskoczy słuchaczy i przypomni, czym jest prawdziwy, energetyczny rock.



Sorooptymistki uczciły pamięć wielkiej Polki

Promieniowanie madame Curie

W tym roku przypada 150. rocznica urodzin Marii Skłodowskiej-Curie. Postać znana każdemu Polakowi – jedyna kobieta, która otrzymała dwukrotnie Nagrodę Nobla, zarazem jedyna osoba uhonorowana tą nagrodą w dwóch różnych dziedzinach. Pierwsza kobieta w historii, która zdała egzaminy z fizyki i chemii na Sorbonę i pierwsza wykładowczyni, doktor fizyki. Jedyna pochowana w Panteonie i pierwsza tak uhonorowana osoba nieurodzona we Francji. Patronka instytutów naukowych w Polsce i za granicą, jedyna kobieta na polskich banknotach.



Stworzyła wyjątkową rodzinę noblistów: wraz z mężem Piotrem Curie zdobyła Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki za badania nad radioaktywnością; później, indywidualnie, za wydzielanie czystego radu – w chemii; jej córka Irena i zięć Fryderyk Joliot-Curie, otrzymali, także w dziedzinie chemii, Nagrodę Nobla za odkrycie sztucznej promieniotwórczości. Druga córka, Ewa, nie była wprawdzie, jak rodzice i siostra ze szwagrem, noblistką w naukach przyrodniczych, jednak ona i jej mąż, Henryk Labouisse, odebrali pokojową Nagrodę Nobla dla UNICEF, jako przedstawiciele tej organizacji (Ewa otrzymała też najwyższe odznaczenie francuskie, Legię Honorową, za działalność w UNICEF. Jest również autorką biografii matki – „Madame Curie”).

Choć naukowe dokonania Marii Skłodowskiej-Curie znane są na całym świecie, niewiele wiemy o jej życiu prywatnym, o codziennych problemach, marzeniach, miłościach, pasjach. A była to kobieta niezwykła, z temperamentem, łamiąca konwenanse, odważna tak duchem, jak ciałem. Mało kto wie, że swoją podróż poślubną odbyła na rowerach, że wraz z mężem Piotrem zdobyła Rysy, co w czasach nieprzetartych jeszcze szlaków górskich i długich sukien noszonych przez kobiety, było prawdziwym wyczynem. O Marię pojedynkowali się mężczyźni. Była bohaterką burzliwego ro-

mansu z żonatym Paulem Langevinem, a potem skandalu, jaki ten związek wywołał i któremu musiała stawić czoło. Serdecznie zaprzyjaźniona z Albertem Eisteinem, wspólnie z nim wędrowała po Alpach. Żeglowała, była też jedną z pierwszych kobiet, które zdobyły prawo jazdy, jako że samochód był jej potrzebny w czasie wojny do przewożenia aparatów rentgenowskich. Gdański Klub Soroptimist International postanowił uczcić rocznicę urodzin wielkiej Polki zaproszeniem na monodram „Promieniowanie. Sceny z życia Marii Skłodowskiej-Curie”, który został wystawiony na scenie Teatru Muzycznego w Gdyni. Ten przygotowany przez Teatr Mazowiecki spektakl, entuzjastycznie przyjęty przez widzów i krytykę, przybliży publiczności nie tylko Marię Skłodowską-Curie – uczoną, ale także kobietę z krwi i kości w jej codziennym życiu: żonę, matkę, panią domu, przyjaciółkę, kochankę. Emigrantkę, zmagającą się często z nieżyczliwością otoczenia, jednak nieuleknioną, nie poddającą się schematom. Zobaczyliśmy także świat przełomu XIX i XX wieku wraz z jego obyczajowością, życie w Warszawie i Paryżu, poznaliśmy trudną drogą utalentowanej kobiety, która pokonując liczne bariery w rzeczywistości zdominowanej przez mężczyzn, zmieniała ją, wyprzedzając swoją epokę.

Autorem scenariusza jest Jarosław Sokół, producentką Joanna Cywińska – twórcy nagradzani za swoje wcześniejsze przedsięwzięcia artystyczne.



W rolę Marii Skłodowskiej-Curie po mistrzowsku wcieliła się Ewa Wencel.



Aktorka Ewa Wencel i honorowa Lady Soroptimist Danuta Wałęsa.

W roli Marii Skłodowskiej-Curie wystąpi Ewa Wencel – aktorka teatralna, filmowa i kabaretowa, zapamiętana z głośnego, nagrodzonego Złotymi Lwami filmu „Plac Zbawiciela” Krzysztofa Krauzego. Ewa Wencel jest także utalentowaną scenarzystką, razem z Jarosławem Sokołem współtworzyła scenariusz znanego serialu „Czas honoru”, w którym grała jedną z głównych ról. Monodram „Promieniowanie” to nie tylko wydarzenie artystyczne i możliwość poznania życia naszej wielkiej rodaczki. To także satysfakcja z pomocy innym, bowiem na takie właśnie cele Klub Gdański SI przeznacza dochody ze swoich imprez.

I tak na przykład dzięki pieniądзом uzyskanym z niedawnego koncertu z okazji 20-lecia Klubu SI oraz wsparciu finansowemu Kulczyk Foundation powstaje kolorowy, pięknie wyposażony pokój rekreacyjno-edukacyjny dla dzieci matek osadzonych w Zakładzie Karnym w Grudziądzu. Z kolei do-

chód z grudniowego Koncertu Kolęd wsparł zdolne młode kobiety w ramach projektu grantowego Bank Ambitnych Kobiety, a Pomorskie Centrum Pomocy Bliźniemu Monar-Markot – schronisko dla bezdomnych matek z dziećmi w Gdańsku, dzięki pozyskanym środkom otrzymało w prezencie pod choinkę tak potrzebną przemysłową pralkę.

Kupując bilety-cegiełki na spektakl „Promieniowanie”, widzowie stali się fundatorami profilaktycznych badań lekarskich dla najbardziej potrzebujących kobiet.

Ze sposobem wykorzystywania zbieranych przez Klub SI funduszy oraz z jego strukturą i działalnością można zapoznać się na stronach <http://www.soroptimist.gdansk.pl> oraz <https://www.facebook.com/SoroptimistInternationalGdanskPoland/?fref=ts>

REKLAMA



GDANSKA
RESTAURACJA

Maria i Henryk Lewandowscy





Właścicielka Anna Smoleń z personelem.



Gdańska Klinika Urody otwarta



Otwarcie kliniki przebiegało w miłej atmosferze.



Anna Smoleń, właścicielka kliniki (w środku) z córką i pracownikami.



4 marca nastąpiło otwarcie kliniki urody, która jest propagatorem nowoczesnej medycyny estetycznej poprzez stymulację skóry z wykorzystaniem nowoczesnych technologii, takich jak laser, fala radiowa akustyczna, światło, plazma, czy ultradźwięki HIFU. Nowo otwarta Gdańska Klinika Urody posiada certyfikowane urządzenia, zakupione u światowych potentatów, których skuteczność potwierdzona jest licznymi badaniami naukowymi. Nowoczesna medycyna estetyczna, propagowana przez klinikę, to także biostymulacja skóry poprzez wykorzystanie komórek macierzystych, osocza bogatopłytkowego, fibroblastów, czy fibryny i tłuszczu.

Strategią kliniki są zabiegi nieinwazyjne, w technologii polegającej na pobudzeniu skóry i przywracaniu funkcji życiowych, nie zmieniając przy tym rysów twarzy i mimiki. Oferowana jest cała gama zabiegów z wykorzystaniem urządzeń kosmetycznych i medycznych: LPG do endormologii i endermoliftu, laser frakcyjny nieablacyjny, NIR – działanie światłem podczerwonym, platformę laserową Alma Harmony, plasmę IQ, GENEQ.

170 tysięcy pln – donacja Rotary



Elżbieta Utsch, prezes klubu Rotary.

Sopocki międzynarodowy klub Rotary – Sopot International Rotary Club, we współpracy z niemieckim klubem Rotary Club Hannover-Ballhof i wsparciu Fundacji Rotary, przekazał dla Domu Hospicyjnego Caritas w Sopocie sumę 169 891 pln na zakup sprzętu potrzebnego do pielęgnacji pacjentów.

Wymieniono 25 łóżek i materaców, których koszt wyniósł prawie połowę sumy, za resztę zakupiono dwa nowoczesne wózki stabilizujące i dwie elektryczne pompy ssące, trzy stetoskopy z funkcją wizualizacji, sprzęt do kąpieli, stacjonarny stół rehabilitacyjny, przeznaczony do terapii i rehabilitacji, i ultrasonograf, którego koszt to ponad 40 tysięcy złotych. W obsłudze nowego sprzętu pomogło czterech lekarzy i pielęgniarce, poświęcając na naukę wspólnie z opiekunami 30 godzin pracy.

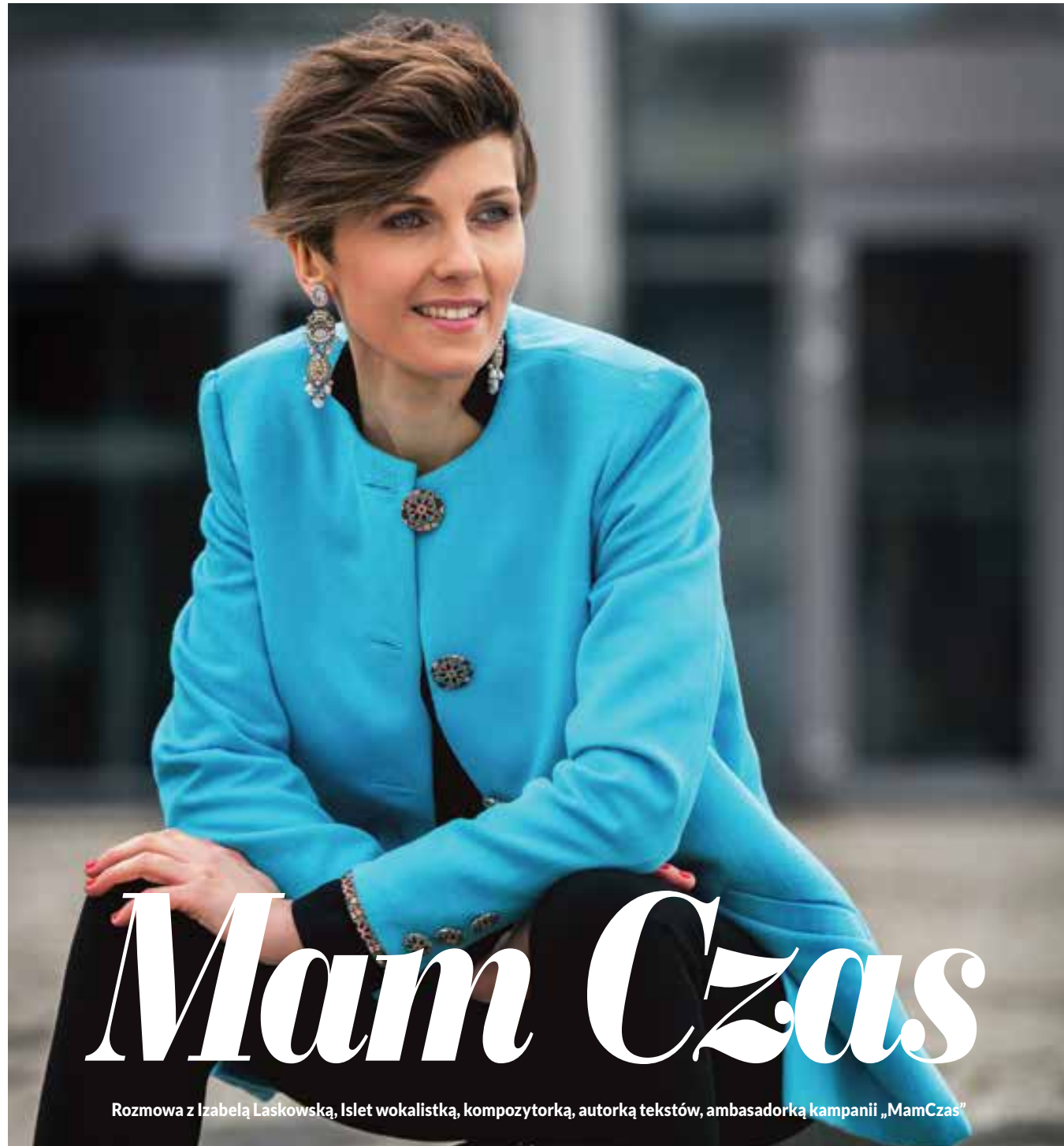
W pozyskaniu grantu i przeprowadzeniu projektu pomogło wiele osób, zarówno kierownictwo Domu Hospicyjnego, dyrektor ks. Tomasz Kosecki i dr Aleksandra Modlińska, jak i Ulrich Heymann z Klubu Hannover-Ballhof i Lauren Ribant z Fundacji Rotary oraz członkowie naszego klubu: prezes Rotary Sopot Elżbieta Utsch, prof. Maria Dudziak, Barbara Sergot-Golędzinowska, Wojciech Kossak i przewodniczący komisji zajmującej się projektem Bendt Haverberg z Danii.

To nie pierwsza znacząca pomoc sopockiego klubu dla trójmiejskich hospicjów. W 2010 r. zakupiono bus do transportu pacjentów dla Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza w Gdańsku. Gdyńskie Hospicjum Dziecięce Bursztynowa Przystań otrzymało w 2015 r. nowy pionizator, zakup współfinansowany przez wieloletniego partnera – Międzynarodowe Forum Kobiet.

Klub angażuje się również w pomoc dla miasta, gdzie od początków istnienia ma swą siedzibę. Wyposażono w meble Sopocki Inkubator Przedsiębiorczości Społecznej, który służy osobom pozostającym w trudnej sytuacji życiowej. Również i ten projekt został zrealizowany we współpracy z niemieckim klubem partnerskim Hannover-Ballhof oraz Fundacją Rotary.

Angielskojęzyczny Sopot International Rotary Club założyli w 2002 r. cudzoziemcy mieszkający i pracujący w Trójmieście, siedzibą klubu jest Softel Grand Sopot. Pomoc jest możliwa dzięki gorącym sercom darczyńców oraz ofiarodawcom 1% podatku.





Fot. PICK & CHIC, klubrodzica.com

Mam Czas

Rozmowa z Izabelą Laskowską, Islet wokalistką, kompozytorką, autorką tekstów, ambasadorką kampanii „MamCzas”

Islet to artystka przez duże A. Nie tylko komponujesz piosenki, ale też piszesz do nich teksty oraz je wykonujesz. Czy muzyka od zawsze była epicentrum Twojego świata? Zaczęło się od jakiegoś konkretnego wydarzenia, inspiracji artystą?

Muzyka zawsze była dla mnie jak oddech. Z najbliższych osób inspirowała mnie mama i jej cztery siostry, które mają talent do śpiewania i grania na instrumentach (gitara, pianino). W przedszkolu inspirowała mnie szalona pani wychowawczyni, a później zakochałam się w trzech artystach: Philu Collinsie, Siniead O'Connor oraz Edycie Bartosiewicz – i wtedy naprawdę się zaczęło...

Twoja muzyczna przygoda zaczęła się „po bożemu” – w szkole muzycznej, przy zeszycie z nutami czy wręcz odwrotnie – jesteś samoukiem?

Moim marzeniem była nauka w szkole muzycznej, chciałam dostać się na pianino, ale powiedziano mi, że mam za małe dłonie i dwa krzywe palce. Można sobie wyobrazić, jak się wtedy poczułam, ale jak widać, nie zniechęciło mnie to na tyle, aby porzucić marzenia. Przez chwilę pobierałam lekcje pianina u znajomego mojej mamy, ale coś mi w tych lekcjach nie pasowało i niestety porzuciłam naukę (żałuję), a chwilę później spodobało mi się brzmienie gitary. Kolega, który bardzo dobrze grał na gitarze, dał mi parę cennych wskazówek i tak zaczęłam ćwiczyć. Wychodzi więc na to, że jestem samoukiem.

Pamiętasz swój pierwszy poważny występ? Wyobrażasz sobie, że mogłaś przestać śpiewać i zacząć robić coś zupełnie innego?

Poważny występ miałam w wieku 19 lat w Irish oraz Celtic Pubie, ale to jest nic w porównaniu z tym, co przeżyłam w styczniu tego roku. Zagrałam koncert w TVP 3 Gdańsk. To był mój największy koncert jak do tej pory. Oby takich więcej. TVP 3 Gdańsk przygotowała bajkową scenę, goście byli wyjątkowi, a ja poczułam, że granie na dużej scenie z zespołem to jest to, co chcę przez resztę życia robić. Nie chciałabym przestać śpiewać, czuję, że jakaś część mnie by umarła. Poza tym mam coś ważnego do powiedzenia i jestem w stanie się wyrazić tylko przez moją twórczość.

Aksamitny, kobiecy głos jest Twoją wizytówką. Teksty są pełne emocji i odważnie je nazywają. Ciekawi mnie, jaką osobą jesteś prywatnie? Introwertyczką czy choleryczką? Należysz do delikatnych kobietek, czy to tylko pozór i kiedy trzeba, potrafisz tupnąć nogą i powiedzieć: nie?

Jestem ekstrawertyczką, bardzo wrażliwą, która przejmuję się zbyt wieloma sprawami i niestety mam w sobie naiwność, wydaje mi się, że wszyscy mają wobec mnie dobre intencje... a to kończy się źle i czasami mogę podpisać się pod słowami mojej ukochanej Sade .. i'm crying everyone's tears. Finał tej wypowiedzi będzie jednak pozytywny, ponieważ im jestem dojrzała, tym łatwiej o racjonalność i tupanie nogą w celu samoobrony.

„Zatrzymaj się” – to tytuł Twojej debiutanckiej płyty. Jakie przesłanie i do kogo skierowane on niesie?

Zatrzymałam się i... mam czas, aby poczuć samą siebie, pomyśleć kim jestem i dokąd zmierzam. Zatrzymałam się, aby dać sobie lepszą, bo prawdziwszą, mojej 11-letniej córce. Przesłanie jest skierowane do osób, które mają dosyć życia w biegu, tylko szukają czegoś więcej: prawdy, duchowości, przestrzeni na to, co ważne.

Zostałaś ambasadorką kampanii „Mam Czas” Fundacji Pegaz.la, która promuje aktywne spędzanie czasu z najbliższymi. Zainspirujesz nas swoimi ulubionymi – uwaga – niewirtualnymi i niezwiązanymi z mediami rozrywkami?

Uwielbiam grać z moją 11-letnią córką i z najbliższymi w kalambury, badmintona, siatkówkę, gry planszowe, np. quiz o Polsce czy w rummikub. Oprócz tego jeździmy na rowerach, na fiszce, tańczymy, śpiewamy, chodzimy na spacer, wspinały się po górach itd.

Czy jako dziecko miałaś okazję bawić się na podwórku z innymi dziećmi z sąsiedztwa? Brakuje Ci trzepaka, gry w klasy czy gumy do skakania?

Oczywiście bawiłam się z koleżankami. Umawiałyśmy się o konkretnej godzinie i grałyśmy w gumę, w klasy albo szłyśmy na plac zabaw, gdzie były huśtawki. Ja jestem fanką huśtawek. Gdybym miała ogród, to na pewno zamontowałabym jedną, ponieważ gdy się huśtam, to w głowie roi się o pomysły na utwory.

Twoja ukochana książka z dzieciństwa i dlaczego każde dziecko powinno ją przeczytać?

„Ania z Zielonego Wzgórza”. Myślę, że od tej pięknej, rudowłosej dziewczynki przejęłam pozytywne szaleństwo :) Książka ma ponadczasowe wartości. Można przy niej się pośmiać, wzruszyć, znaleźć cenne wskazówki, jak budować przyjaźń czy jak kochać. Dodaje wiary w to, że marzenia mogą się spełnić.

Gdzie będzie Cię można spotkać w trakcie kampanii „Mam Czas”? W Twoim ukochanym Gdańsku? Czy planujesz jakieś koncerty w trakcie tygodnia obchodów kampanii?

Zostaję w Gdańsku i zamierzam spędzić aktywnie czas z córką i z przyjaciółmi, a wieczorami czasami popracować, ale dokładnego planu jeszcze nie znam. Zapraszam serdecznie na moją stronę www.islet.com.pl, na której dowiedzą się Państwo, co u mnie słychać oraz na stronę kampanii „Mam czas” www.klubrodzica.com/mamczas Dołączcie do nas 1-7 maja!

Dziękuję za rozmowę



W dniach 1-7 maja 2017 roku odbędzie się druga edycja Ogólnopolskiej Kampanii Społecznej „Mam Czas”, której organizatorami są Fundacja PEGAZ.la oraz Klub Rodzica. Idea wydarzenia jest propagowanie rozmaitych form rozrywki innej niż cyfrowa, która zdominowała życie zbyt wielu dzieci. Długofalowe skutki działań Kampanii „Mam Czas”, to pozytywne i trwałe relacje międzyludzkie: rodzinne i przyjacielskie!

Partnerem merytorycznym kampanii jest amerykański Screen-Free Week, który otrzymał poparcie m.in. Baracka Obamy i reprezentowany jest przez znaną organizację Campaign for a Commercial-Free Childhood. Od 1994 roku organizatorzy zbierali informacje o skutkach nadmiernego korzystania z mediów przez dzieci oraz ich wpływie na relacje rodzinne, koleżeńskie, rozwój oraz naukę najmłodszych. Jednocześnie proponowali aktywne formy spędzania czasu w świecie realnym: bez rozrywek cyfrowych, w kontakcie z rodziną, kolegami z przedszkola czy szkoły, pedagogami czy organizatorami wolnego czasu.

Kampania „Mam Czas” przeniesiona w 2016 roku na polskie podwórko przez Fundację PEGAZ.la oraz Klub Rodzica spotkała się z ogromnym zainteresowaniem, a jej działania objęły 12 województw. W tym roku planujemy dotrzeć do 2 milionów osób na terenie całej Polski” – mówi Marta Umińska, pomysłodawczyni i organizatorka kampanii.

Ambasadorką tegorocznej edycji kampanii została m.in. Izabela Islet Laskowska.

Finał drugiej edycji Kampanii „Mam Czas” zaplanowany jest na 1-7 maja 2017 roku, a do udziału zaproszone zostaną przedszkola, szkoły, uczelnie, ośrodki edukacyjne, biblioteki, instytucje pomocy społecznej. Organizatorem może być każdy, kto zdecyduje się przez tydzień ograniczyć korzystanie z cyfrowej rozrywki, a wykorzystać ten czas w inny – bardziej aktywny i kreatywny sposób.

Mniej rozrywek cyfrowych, to więcej czasu na naukę, czytanie, kreatywną zabawę i ruch. Zgodnie z tym hasłem przez cały pierwszy tydzień maja 2017 roku organizatorzy Kampanii „Mam Czas” zaproponują aktywne, rozwijające formy spędzania czasu dla dzieci oraz ich rodziców, udostępniając uczestnikom materiały i pomoce dydaktyczne. Program kampanii uwzględnia zarówno samodzielną aktywność, jak i grupowe (rodzinne i rówieśnicze) zabawy. Harmonogram obejmie m.in. gry planszowe oraz sportowe, wspólne czytanie, granie na instrumentach, śpiewanie, wystawy plastyczne oraz konkursy.

Wszystkie informacje na temat działań kampanii „Mam Czas” oraz treści na temat wpływu nadmiaru korzystania z mediów oraz urządzeń cyfrowych na dzieci i młodzież dostępne są na stronie <http://www.klubrodzica.com/mamczas/> Głos zabiorą specjaliści badający temat na gruncie polskim.



Od prawej: Anna Szubert, pomysłodawczyni wydarzenia, promotorka polskich marek i idei multibrandingu i Dominika Zabrocka, dyrektorka Biura Prezydenta Gdyni, patrona honorowego wydarzenia.

„Marka Wspiera Markę”

Projekt „Marka Wspiera Markę”, stworzony przez pracującą od dawna z polskimi firmami Annę Szubert oraz kierowany przez nią zespół Personal Branding Polska, łączy we współpracy twórców, polskich twórców. Wszystko po to, by pokazać nasz rodzimy potencjał.

11

marca w Muzeum Miasta Gdyni, w ramach projektu „Marka Wspiera Markę”, odbył się pokaz stylizacji w oparciu o polskie marki. Taki pokaz, łączący wiele nazwisk świata mody i opierający się na łączeniu ich w jednej stylizacji, to pierwsze tego typu wydarzenie w Polsce, a druga jego odsłona.

Wystrój i aranżacja wnętrza muzeum nawiązywały do Gdyni, morza, piasku i żagli. Ten efekt to zasługa Karoliny Łuczyńskiej, designerki wnętrz, i Edyty Kasperczak projektantki ręcznie robionych naczyń ze szkła. Poczęstunek dla gości – łódzie z kwiatami – wykonany przez NellCourt oraz przygotowany przez kobiecy duet „Więcej” deser, łudząco naśladował wyglądem kamienie na plaży, nawiązywał do charakteru wystroju.

„Trzy ulice: Pekin, Gdynia, Londyn” to tytuł pokazu stylizacji, który przygotował Tomek Gąsienica Józkowy, od lat zajmujący się stylizacjami na wielkich pokazach mody od Rzymu po Pekin. Za fryzury modelek odpowiadała Teresa Opiąła, dwukrotna zwyciężczyni prestiżowego konkursu Color Trophy, za makijaże wizażystka Marzena Niewiarowska.

Podczas wieczoru „Marka Wspiera Markę” można było zobaczyć projektantów: Natashę Pavluchenko, Patryka Wojciechowskiego, Michała Starostę, Aggashe, Taranko, Furelle, La Metamorphose, Anję Coraletti, True Color by Ann, Gioyello.

Pokaz poprzedzony został wernisażem. Wśród marek modowych zobaczymy światowej klasy projektantkę Natashę Pavluchenko, finalistę drugiej edycji programu Project Runway Patryka Wojciechowskiego, siostrzanym duetem La Metamorphose, Furelle, Taranko, TRUE COLOR by Ann, MaraSimSim, Boccoo, Michał Starostę, Łukasz Dopieralski i Magya. Unikalne buty KASI OSTAPOWICZ dopełnią stylizacje, a biżuteria oraz dodatki marek Anja Coraletti, Gioiello oraz AggaShe wydobędą z nich ukryte piękno. O aranżację przestrzeni muzealnej zadba projektantka wnętrz Karolina Łuczyńska z Caroline's Design, dopełnieniem jej projektu będą szklane instalacje Darth Blondi. wystawy Dominiki Żurawskiej w galerii w Gdynskim Centrum Filmowym. Malarka, na stałe mieszkająca w Wielkiej Brytanii, występująca pod nazwą D.O.M., pokazała publiczności 15 portretów kobiet.



Alain Mompert, konsul honorowy Francji, powiedział: „Nie trzeba jechać do Włoch czy Francji, by kupić piękne ubrania od polskich projektantów”.





Fundacja dla Dzieci Vivadental organizuje pierwszy koncert charytatywny „Uśmiech dla dzieci”, który zapoczątkuje cykliczne pomorskie spotkania dobroczynne na progu lata.

3 czerwca 2017 r. w Filharmonii Bałtyckiej wystąpi zespół Boogie Boys oraz Grzegorz Turnau. Wydarzenie poprowadzi Beata Szewczyk, dziennikarka Radia Gdańsk.

Koncert charytatywny „Uśmiech dla dzieci” jest z definicji radosny i pogodny, a jak powiedział Grzegorz Turnau: „Każda okazja do manifestowania czułości i serdeczności jest dobra”. Zapraszamy w magiczną podróż, gdy „Na Brackiej pada deszcz”, jest „Cichosza” i nie wiadomo, czy „Naprawdę nie dzieje się nic”, czy jesteśmy na „Plażach Zanzibaru”, a wkoło „Liryka, liryka, tkliwa dynamika...”.

Spotkanie będzie okazją do wysłuchania artysty w jego przekrojowym repertuarze. Wyjątkowe połączenie pięknego słowa z doskonałą muzyką, dowcipu i ciepłego wizerunku scenicznego jest tym, co widzowie cenią od

lat. Dodatkowa radość ze zbliżającego się lata i wakacji pozwolą jeszcze pełniej cieszyć się najbardziej znanymi utworami autorskimi Grzegorza Turnaua oraz piosenkami Grechuty czy Kabaretu Starszych Panów w jego odświeżającym wykonaniu.

Dochód z koncertu przeznaczony będzie na sfinansowanie diagnostyki i leczenia stomatologicznego dzieci znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej, spowodowanej chorobą, kłopotami rodzinnymi czy warunkami ekonomicznymi. Konkretnie – to podopieczni pomorskich domów dziecka, Pogotowia Opiekuńczego w Gdańsku oraz osoby chorujące na oligodoncję – rzadką chorobę genetyczną.

W pierwszej części koncertu wystąpi zespół Boogie Boys, kwartet muzyczny wykonujący utwory w stylu boogie-woogie, z domieszką czarnego blu-

esa. Zespół tworzą: dwaj pianiści Bartłomiej Szopiński (który odpowiada także za wokale) i Michał Cholewiński oraz kontrabasista Janusz Brzeziński i Szymon Szopiński (perkusja, harmonijka ustna). Poznali się jesienią 2002 w Poznaniu. Koncertowali w większości krajów europejskich, występując u boku największych gwiazd bluesa i boogie-woogie. Zagrali również na urodzinowym koncercie Vince'a Webera.

Boogie Boys występowali na festiwalowych scenach większości imprez boogie-woogie na Starym Kontynencie. Supportowali m.in. przed Alem Copleyem, Aną Popović, Daną Gillespie, Erikiem Burdonem, Johnnym Rawlesem, a także MoFo Party Band. To królowie rytmu, porywającej muzyki i dobrej energii.

Podczas koncertu będzie szereg ciekawych atrakcji charytatywnych, w tym aukcja, zabawa fantowa. Na stoisku Koła Gospodyń Wiejskich „Rzeczpospolita Babska” będzie można kupić ich wyroby. Więcej na www.koncert.vivadental.pl

Patronat honorowy objęli: wojewoda pomorski, marszałek województwa pomorskiego, prezydent Gdańska, prezydent Pracodawców Pomorza oraz Gdańskiego Klubu Biznesu.

Bilety są w sprzedaży w kasach Filharmonii,

Koncert Charytatywny
VIVADENTAL®
FUNDACJA DLA DZIECI
Uśmiech dla Dzieci

3 czerwca 2017 - godz. 19.00
Filharmonia Bałtycka, Gdańsk ul. Ołowianka 1

Grzegorz Turnau

I część: zespół Boogie Boys, przerwa, II część Grzegorz Turnau.
Przewidywany czas trwania: 19.00 - 22.00

Bilety do nabycia:
• Kasy Filharmonii,
• Salony Empik,
• Ticketpro.pl,
• bilety24.pl,
• kupbilecik.pl

www.koncert.vivadental.pl

Druk sfinansowany przez drukarnię Digital 1

w salonach Empik, elektronicznie na portalach www.Ticketpro.pl, www.kupbilecik.pl, www.bilety24.pl.

Fundacja dla Dzieci Vivadental jest organizacją pozarządową, powołaną w listopadzie 2014 r., której celem jest pomaganie pomorskim dzieciom znajdującym się w ciężkiej sytuacji życiowej spowodowanej brakiem rodziny, trudnościami ekonomicznymi, ciężką chorobą. Wsparcie otrzymują podopieczni domów dziecka, domowych hospicjów dla dzieci, chorzy na oligodoncję – rzadką chorobę genetyczną powodującą brak zębów stałych. Średni koszt leczenia jednej osoby, oparty na przeszczepach komórek macierzystych i zastosowaniu implantów, wynosi 100 tys. zł, a obecnie leczeniem objęte są trzy osoby.

Z diagnostyki i leczenia stomatologicznego oraz z doraźnej pomocy socjalnej skorzystało do lutego 2017 r. ok. 170 dzieci.

Równolegle, mając świadomość negatywnych skutków braku opieki stomatologicznej w szkołach i przedszkolach, fundacja rozpoczyna program edukacyjny dotyczący profilaktyki przeciwpóchniczej, skierowany do najmłodszych Pomorzan – przedszkolaków. Aby podołać finansowo powyższym zadaniom fundacja postanowiła zorganizować pierwszy koncert charytatywny.

Forum FRACHT 2017 pod honorowym patronatem dwóch ministrów

Andrzej Adamczyk, Minister Infrastruktury i Budownictwa oraz Marek Gróbarczyk, Minister Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej objęli honorowym patronatem V Forum Transportu Intermodalnego FRACHT 2017, który odbędzie się w dniach 12-13 kwietnia 2017 roku w Gdańsku.

Forum Transportu Intermodalnego FRACHT to największe wydarzenie poświęcone tematyce transportu intermodalnego organizowane w Polsce. Konferencja odbywa się od 2013 r. w Gdańsku, gdzie zbiegają się główne szlaki przewozowe integrujące transport: morski, kolejowy i drogowy. Wydarzenie gromadzi ponad 300 przedstawicieli portów morskich, terminali kontenerowych, przewoźników i spedytorów z całego kraju, a także przedstawicieli rządu i instytucji naukowych. Co roku, uczestnicy Forum wypracowują konkretne wnioski i kierunki działań, których głównym celem jest rozwój transportu intermodalnego oraz przedsiębiorstw funkcjonujących na tym rynku, takich jak Pekaes, który jest złotym partnerem V Forum Transportu Intermodalnego FRACHT 2017. Wszystkich zainteresowanych zachęcamy do zapoznania się z programem konferencji oraz rejestracji.



13 zł za godzinę pracy

Od 1 stycznia 2017 r., na mocy ustawy z dnia 22 lipca 2016 r. o zmianie ustawy o minimalnym wynagrodzeniu za pracę oraz niektórych innych ustaw, wprowadzono obowiązek wypłaty minimalnej stawki godzinowej zleceniobiorcom oraz osobom świadczącym usługi. W bieżącym roku wysokość minimalnej stawki została ustalona na poziomie 13 zł.

Kto dostanie, a kto płaci

Podmioty uprawnione do otrzymania minimalnej stawki godzinowej, to osoby wykonujące prace na podstawie umów, o których mowa w art. 734 i art. 750 Kodeksu cywilnego. Są to umowy wykonywane przez przyjmujących zlecenie lub świadczących usługi, czyli osoby fizyczne wykonujące działalność gospodarczą zarejestrowaną w RP albo w państwie niebędącym państwem członkowskim UE lub państwem EOG, niezatrudniające pracowników lub niezawierające umów ze zleceniobiorcami albo – osoby fizyczne niewykonyjące działalności gospodarczej. Dotyczy to także zlecenia lub świadczenia usług wykonywanych na rzecz przedsiębiorcy, w rozumieniu przepisów ustawy o swobodzie działalności gospodarczej albo na rzecz innej jednostki organizacyjnej, w ramach prowadzonej przez te podmioty działalności. I to właśnie te podmioty są zobowiązane od 1 stycznia br. do wypłaty minimalnej stawki godzinowej. Dodać jeszcze należy, że jeżeli kilka osób przyjmuje zlecenie lub zobowiązuje się świadczyć usługi wspólnie, 13 zł za godzinę pracy należy się każdej z nich.

Nowe obowiązki

Zapewnienie 13 zł za godzinę to nie wszystko. Dodatkowo nałożono również obowiązek potwierdzania przepracowanych przez zleceniobiorców godzin. Strony określają w umowie sposób potwierdzania liczby godzin wykonania zlecenia lub świadczenia usług. Jeśli tego nie zrobią, zleceniobiorca przedkłada (w formie pisemnej, elektronicznej lub dokumentowej) informację o liczbie godzin wykonania zlecenia lub świadczenia usług, w terminie poprzedzającym termin wypłaty wynagrodzenia. Natomiast w przypadku, gdy umowa nie została zawarta z zachowaniem formy pisemnej, elektronicznej lub dokumentowej, zleceniobiorca przed rozpoczęciem wykonania zlecenia lub usługi, potwierdza zleceniobiorcy w formie pisemnej, elektronicznej lub dokumentowej ustalenia co do sposobu potwierdzania liczby godzin wykonania zlecenia lub usługi. Jeśli tego nie zrobi, zleceniobiorca przedkłada w jednej z trzech wyżej wymienionych form, informację o liczbie godzin wykonania pracy, w terminie poprzedzającym termin wypłaty wynagrodzenia. Wyjątek od powyższego dotyczy skierowania takich osób do wykonania zlecenia lub świadczenia usług na podstawie przepisów ustawy o zatrudnianiu pracowników tymczasowych. W takim przypadku ewidencję liczby godzin wykonania zlecenia lub świadczenia usług prowadzi pracodawca użytkownik, na rzecz którego jest wykonywane zlecenie lub są świadczone usługi.

Forma pisemna wiąże się ze złożeniem własnoręcznego podpisu na konkretnym dokumencie. Natomiast formą dokumentową będzie np. sms, e-mail, który umożliwi ustalenie osoby składającej oświadczenie i zapoznania się z jego treścią. Z formą elektroniczną, będziemy mieli do czynienia, gdy oświadczenie woli złożone w postaci elektronicznej będzie opatrzone kwalifikowanym podpisem elektronicznym.

Kolejny nowy obowiązek dotyczy przechowywania dokumentacji przez przedsiębiorcę albo inną jednostkę organizacyjną, na rzecz której jest wykonywane zlecenie lub usługa. To na tych podmiotach spoczywa obowiązek przechowania dokumentów określających sposób potwierdzania liczby godzin wykonania zlecenia lub świadczenia usług oraz dokumentów potwierdzających liczbę godzin ich wykonania. Dokumenty te należy przechowywać przez trzy lata od dnia, w którym dane wynagrodzenie stało się wymagalne. Podobnie, jak w przypadku prawa do minimalnej stawki godzinowej, jeżeli kilka osób przyjmuje zlecenie lub zobowiązuje się świadczyć usługi wspólnie, potwierdzanie liczby godzin wykonania przez nich zlecenia lub świadczenia usług, następuje odrębnie w stosunku do każdej z nich.

Wypłata co najmniej raz w miesiącu tylko w pieniądzu

Przepisy ustawy zakładają też szczególną ochronę dotyczącą wypłaty stawki godzinowej. Zleceniobiorca nie może zrzec się prawa do takiego wynagrodzenia ani przenieść prawa do niego na inną osobę. Wypłaty wynagrodzenia wynikającego z minimalnej stawki godzinowej dokonuje się w formie pieniężnej. Natomiast w przypadku umów zawartych na czas dłuższy niż miesiąc, wypłaty wynagrodzenia dokonuje się co najmniej raz w miesiącu.

Wyjątki

Przepisy obowiązujące od początku 2017 r. określają również krąg podmiotów, w stosunku do których nie stosuje się przepisów dotyczących obowiązku wypłaty minimalnej stawki godzinowej. Dotyczy to m.in.: umów zlecenia lub świadczenia usług, jeżeli o miejscu i czasie wykonania pracy decyduje zleceniobiorca i przysługuje mu wyłączne wynagrodzenie prowizyjne, umów dotyczących usług polegających na sprawowaniu opieki podczas wypoczynków lub wycieczek, umów dotyczących usług opiekuńczych i bytowych, umów o pełnienie funkcji rodziny zastępczej zawodowej, o utworzeniu rodziny zastępczej zawodowej lub rodzinnego domu dziecka, itd.

Kontrola PIP

W związku z nowymi regulacjami, organy Państwowej Inspekcji Pracy zostały umocowane do kontroli realizacji obowiązku wypłaty co najmniej 13 zł za godzinę pracy. W przypadku stwierdzenia nieprawidłowości w tym zakresie inspektor pracy jest uprawniony do skierowania wystąpienia lub wydania polecenia. Wypłacenie zleceniobiorcy wynagrodzenia za każdą godzinę pracy w wysokości niższej, niż obowiązująca wysokość minimalnej stawki godzinowej, zostało zagrożone karą grzywny w wysokości do 30 tys. zł.

Podstawa prawna

Ustawa z dnia 22 lipca 2016 r. o zmianie ustawy o minimalnym wynagrodzeniu za pracę oraz niektórych innych ustaw (Dz. U. z 2016 r., poz. 1265).

Otwarte drzwi do biznesu

Rozmowa z Aleksandrą Harasiuk, brokerem eksportowym.

Jednym z działań brokera eksportowego jest zadanie wspierania pomorskich firm w nawiązywaniu kontaktów z zagranicznymi firmami. W jaki sposób zamierzacie Państwo to realizować?

Wśród zaplanowanych działań systemowych, czyli wspólnych wyjazdów na misje gospodarcze lub zapraszanie grupy przedsiębiorców do nas, planujemy udział w zagranicznych wydarzeniach eksportowych. W ramach tego ostatniego miałam okazję spotkać się na początku lutego z przedsiębiorcami zrzeszonymi w Business Hanse w Herford.

Czym jest to zrzeszenie?

Business Hanse została powołana 13 czerwca 2013 r. podczas obchodów Dni Hanzy, czyli spotkań przedstawicieli miast, instytucji kulturalnych z danych miast oraz przedstawicieli biznesu. Nazwa organizacji, a także tradycje współpracy i zasięg terytorialny są ściśle związane z średniowiecznymi działaniami kupców zrzeszonych w Hanzie. Członkami są przedsiębiorcy z Niemiec, Holandii, Anglii, Francji, Danii, Estonii, Polski i Rosji. Główną misją organizacji jest stowarzyszenie firm, miast oraz przedstawicieli handlowych i przemysłowych, uczelni, którzy mają ten sam cel do osiągnięcia: rozwiniecie współpracy gospodarczej na globalnym rynku opartej na wartościach takich jak zaufanie, odpowiedzialność i partnerstwo.

Od początku istnienia stowarzyszenia, zapisana jest niestety tylko jedna firma z Polski – z Malborka. Więc gdy otrzymałam zaproszenie od p. Marion Köhn, dyrektor Business Hanse, do udziału w uroczystościach 100-lecia Ratusza i tym samym do spotkania z członkami Business Hansy ze wszystkich krajów, wiedziałam, że nie może zabraknąć przedstawiciela naszego projektu.

W jaki sposób wpłynie to na uczestników projektu „Pomorski Broker Eksportowy”?

Moim zdaniem, otwierają się drzwi do współpracy z firmami z wymienionych krajów w jednym miejscu!

W zrzeszeniu aktywnie działają firmy z różnych branż, które dzięki kontaktom biznesowym są pomocne w nawiązywaniu kontaktów z rodzimymi przedsiębiorcami – potencjalnymi partnerami biznesowymi dla naszych firm. Świetną informacją, którą usłyszałam w czasie rozmowy z p. Wibo van Wier, członkiem Business Hanse z Holandii, to programy spotkań biznesowych podczas Dni Hanzy w czerwcu br. w holenderskim mieście Kampen. Tematem przewodnim tegorocznego wydarzenia będzie „water connect”, czyli wszystko co jest związane z transportem, bezpieczeństwem, usługami, produktami na wodzie. W województwie pomorskim jest sporo firm, które mogłyby zapoznać uczestników ze swoimi rozwiązaniami. W części biznesowej przewidziane są spotkania B2B z prawie 150 firmami, spotkania z lokalnymi przedsiębiorcami na terenie ich siedziby np. Scania czy Wehkamp, możliwość skorzystania z kilku różnych branżowych study tourów. Obecnie Business Hanse zrzesza 180 firm, z czego 100 z Niemiec, tym samym jest szansa rozpoczęcia współpracy już po pierwszym spotkaniu.



Czy jest określona procedura wstępowa do stowarzyszenia?

Zgodnie z założeniami funkcjonowania Business Hanse, najbardziej oczekiwani są przedsiębiorcy mający siedzibę w mieście hanzeatyckim. W naszym województwie są to aż cztery miasta – Gdańsk, Malbork, Łębork i Słupsk. Mile widziane są również firmy z najbliższego otoczenia tych miast, a także deklarujący współpracę zgodnie z określonymi zasadami. Ośrodki naukowe są pożądanymi partnerami, znane są bowiem przykłady współpracy, które wymagają międzynarodowych partnerów naukowych. Wracając do biznesowego przeznaczenia aktywności z przedsiębiorcami w Business Hanse, nie należy zapominać o charakterze stosunków pomiędzy członkami. Organizowane są spotkania cykliczne,

wspólne wyjazdy na imprezy targowe. Jako przedstawiciel regionalnego projektu, wspierającego małe i średnie firmy w zacieśnianiu więzi biznesowych na arenie międzynarodowej, spodziewam się, że zaprosimy do naszego województwa przedstawicieli firm hanzeatyckich na spotkania organizowane przez naszych przedsiębiorców. Tym bardziej że już w 2024 roku Gdańsk będzie gospodarzem Dni Hanzy.

(H)

O projekcie Pomorski Broker Eksportowy:

„Pomorski Broker Eksportowy. Kompleksowy system wspierania eksportu w województwie pomorskim” – projekt kierowany do pomorskich firm nastawionych na rozpoczęcie działań eksportowych, rozwój eksportu oraz zdobywanie nowych rynków. Jest to pierwszy kompleksowy program wspierania eksportu w województwie pomorskim, z którego przedsiębiorcy będą mogli korzystać do końca 2023 roku.

Przygotowana w ramach projektu oferta odpowiada na potrzeby firm znajdujących się na różnych etapach rozwoju eksportu. Wśród konkretnych korzyści z udziału w projekcie warto wymienić m.in.: pozyskanie wiedzy dotyczących kwestii prawnych, celnych, podatkowych, marketingowych czy informacji o potencjalnych kooperantach zagranicznych. Przedsiębiorcy będą mogli pozyskać dofinansowanie na udział w targach, misjach gospodarczych i innych wydarzeniach o charakterze biznesowym, skorzystać z pośrednictwa na rynkach zagranicznych, nawiązać współpracę z zagranicznymi kontrahentami i innymi firmami z regionu. Pomorski Broker Eksportowy jest projektem partnerskim realizowanym przez Agencję Rozwoju Pomorza – partnera wiodącego, Regionalną Izbę Gospodarczą Pomorza, Stowarzyszenie Wolna Przedsiębiorczość Terenowy Oddział Gdańsk, Inkubator STARTER, INVESTGDA i Pomorski Park Naukowo-Technologiczny.

Projekt realizowany jest w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego na lata 2014–2020, Osi Priorytetowej 2 Przedsiębiorstwa, Działania 2.3 Aktywność eksportowa, współfinansowanego z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego.

Biznes jak wyprawa w kosmos

Wyobraźmy sobie, że organizujemy wyprawę mającą na celu zbadanie możliwości osiedleńczych na jednej z planet ostatnio odkrytych przez NASA. Do wyprawy trzeba się należycie przygotować. Trzeba zaplanować, jaki zabierzemy ze sobą sprzęt oraz ludzi posiadających odpowiednie kompetencje. W dosyć szybkim eksperymencie myślowym, na potrzeby tego artykułu założmy, że będziemy potrzebowali: botanika, geologa, astronautę, pilota, fizyka, chemika, technika, psychologa i lekarza.



Czego potrzebujemy na wspólnej misji? Jak widać, każdy ma inne kompetencje i każdy odpowiada za konkretny obszar funkcjonowania wyprawy. Każdy wnosi do zespołu konkretne umiejętności i doświadczenie. A na barkach każdego z członków wyprawy spoczywa inny zakres obowiązków. W celu odpowiedniego zgrania tych zestawów kompetencji cały zespół musi funkcjonować wedle ustalonych zasad i reguł. W końcu muszą ze sobą przetrwać długie lata podróży najpierw na niewielkiej powierzchni statku kosmicznego, a później na badanych, niezaludnionych planetach. Bez jasno określonych zasad problemy i nieporozumienia to kwestia kilku – kilkunastu tygodni.

Zasady czy „kwasy”?

W takiej sytuacji warunkiem powodzenia wyprawy jest ustalenie zasad wzajemnego funkcjonowania. Najlepiej, aby wszyscy członkowie ekipy badawczej uczestniczyli w ich tworzeniu, w przekonaniu o pełnej odpowiedzialności za powodzenie wyprawy każdego z nich. Kluczowe jest to, aby

te zasady zaakceptowane były przez wszystkich. W przypadku pojawienia się ewentualnych konfliktów lub nieporozumień będzie można się do tych zasad odwołać i w poszanowaniu wzajemnych zobowiązań rozwiązać konflikty oraz podsumować efekty współpracy. Jednocześnie doprowadzając misję do końca.

Cel misji: firma.

A teraz wyobraźmy sobie, że przygotowujemy się do poprowadzenia swojej firmy, tak jak do wyprawy w kosmos. Do naszej misji będziemy potrzebowali „statku kosmicznego” i ludzi. Mamy współników, z których każdy odpowiada za konkretny obszar biznesu, każdy wnosi do powstającej lub już funkcjonującej firmy konkretną wartość (środki pieniężne, kompetencje, wyposażenie itp.). Każdy też w poczuciu odpowiedzialności za wspólny biznes, zobowiązał się do realizacji konkretnych celów.

A celem ogólnym naszego przedsięwzięcia jest generowanie zysku, pomoc klientom i wspieranie członków zespołu.

Jednocześnie musimy zdawać sobie sprawę z tego, że w prowadzeniu biznesu są pewne dwie rzeczy: zmiana i to, że prędzej czy później pojawią się wyzwania i problemy, przy rozwiązywaniu których potrzebne jest zgodne i sprawne działanie.

I teraz pojawia się pytanie: w jaki sposób i jakim dokumentem uregulować wzajemne oczekiwania i zobowiązania współników tworzących przedsięwzięcie. Niestety obowiązujące i obowiązkowe w polskim prawie: umowa spółki, statut fundacji, regulamin stowarzyszenia itp. nie omawiają tak szczegółowo relacji, jakie mają funkcjonować między współnikami.

A nieuregulowanie spraw, o których więcej niżej, jest kluczowym warunkiem powodzenia „wyprawy”.

Dlaczego jest to takie ważne?

Często osoby zakładające firmy, szczególnie takie, które nigdy wcześniej nie prowadziły biznesu, wyobrażają sobie, że będąc właścicielami przedsiębiorstwa stoją ponad zasadami i nie muszą się nikomu tłumaczyć ze swoich działań i przed nikim nie odpowiadają. Z naszego doświadczenia wynika, że życie szybko weryfikuje tego typu pojmowanie wolności prowadzenia biznesu. Pierwsze nieporozumienia mogą pojawić się przy omawianiu sposobów wypłacania wynagrodzenia (ile sobie wypłacamy, na podstawie jakich umów), kwestiach związanych z nieobecnościami (urlopy, sprawy zdrowotne, wyjazdy służbowe), czy sprawach dotyczących przekazywania udziałów (sprzedaż lub darowanie, kwestie spadkowe itp.). A już naprawdę poważnym problemem jest sytuacja, w której naszą spółkę musimy poratować dodatkowymi funduszami, bo chwilowo straciliśmy płynność.

Ustalenie tego typu kwestii na samym początku prowadzenia biznesu ma dwa efekty. Pierwszy to brak kłótni, gdyż jeśli wiemy co możemy zrobić,

nie musimy o tym dyskutować. I drugi – bezpośrednio z tego wynikający – oszczędzamy sporo czasu, ponieważ mamy jasno określone zakresy kompetencji i odpowiedzialności – dzięki temu możemy podejmować szybkie i klarowne decyzje.

Skąd „konstytucja”?

Takie zasady współdziałania możemy „ubrać” w tzw. konstytucję współpracy, której stworzenie zalecamy wszystkim naszym klientom i przedsiębiorcom współpracującym z nami. W takim samym stopniu nowo powstającym projektom, jak i tym, które w formie firmy trwają już od jakiegoś czasu. Trzeba pamiętać, że tak naprawdę nie jest to nic odkrywczego, gdyż w systemie anglosaskim tego typu rozwiązanie jest obowiązkowe i nazywa się fouders’ agreement.

Gorąco namawiamy, aby każdy kto prowadzi biznes, rozważył „ubranie” relacji funkcjonujących między współnikami w tego rodzaju dokument. Dla wzmocnienia znaczenia i uwiarygodnienia zalecamy też zaangażowanie notariusza, który potwierdza złożenie podpisów przez każdego ze współników pod umową.

Dobłą praktyką jest również stworzenie tylu kopii tego dokumentu, ile jest osób zaangażowanych w projekt i jednej dodatkowej, pozostawionej w zaufanym miejscu do wglądu przez każdego ze współników.



Paweł Korycki
Paweł Korzeniowski
Profit Plus sp. z o.o.

KOMPLEKSOWA OBSŁUGA SZKÓD SAMOCHODOWYCH

NASZE USŁUGI:

ANRO®
Ryszard Ostrowski

NAPRAWY BEZGOTÓWKOWE

ZGŁASZANIE SZKÓD w siedzibie naszej firmy

AUTO NAPRAWA ANRO

PONAD 35 LAT DOŚWIADCZENIA

BLACHARSTWO
LAKIERNICTWO
MECHANIKA I DIAGNOSTYKA
LIKWIDACJA SZKODY
AUTA ZASTĘPCZE
ANRO Błysk
UBEZPIECZENIA
OBSŁUGA FLOT
ANRO Express

www.anro.info

GDAŃSK BRZEŻNO
UL. GDAŃSKA 21F
TEL. (58) 522-11-11

ASSISTANCE 24h
tel. 605-696-000

tel. (58) 522-11-11
biuro@anro.info

/anrogdansk



Bogusław Kaczmarek

Był piłkarzem, jest trenerem, a kiedyś uczył biologii w podstawówce

Rozmowa z jedną z legend pomorskiego futbolu, znakomitym piłkarzem i nie mniej wybitnym trenerem, a przy tym nietuzinkowym człowiekiem, czyli... Bogusławem „Bobo” Kaczmarkiem.

Pamięta Pan kiedy i w jakich okolicznościach dostał Pan pierwszy rower i piłkę? Oczywiście, że pamiętam. Stare czasy. Wówczas ojciec jeździł na akcję „wykopki”, bo potrzebne były ręce, by zebrać podstawową żywność dla Polaków. W ten sposób udało mu się zdobyć pieniądze na rower dla mnie. Zresztą wygrałem na nim swój pierwszy wyścig kolarski w Łodzi i w nagrodę dostałem... książkę „Przygody barona Münchhausena”, chociaż pierwszą nagrodą był diaskop, czyli urządzenie do wyświetlania slajdów, marzenie każdego chłopaka,

a i dorosłych także. Wszystko dlatego, że byłem z Bałut, a nie ze Śródmieścia. A piłkę też dostałem dzięki ojca „wykopkom”. Takie czasy...

No, to teraz nieco podchwytliwe pytanie, ale powinien Pan sobie z nim poradzić. Do jakiej gromady zaliczają się owady i insekty?

O rany, to chyba będę musiał zadzwonić do pana Niesiołowskiego, on jest w tym dobry. Ale wiem, skąd to pytanie, przecież mój pierwszy zawód to nauczyciel biologii. Już wiem, przypominałem sobie... stawonogi. Nawet kiedyś uczyłem w podstawówce.

Dlaczego zatem padło na football, a nie na badanie życia siekieratek?

Oj, to bardzo długa i skomplikowana historia z tym moim studiowaniem, w dodatku na dwóch kierunkach. Generalnie zakochałem się w Gdańsku, który na tle szaroburej Łodzi jawił się niczym miasto z bajki. Tu podjąłem naukę w ówczesnej Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego. Ale to piłka była moim przeznaczeniem, jednak wiedza z zakresu biologii i anatomii człowieka niezwykle przydała mi się później w zawodzie trenera. Na Zachodzie do tej pory szkoleniowcy nie mają pojęcia o tej dziedzinie nauki, kluby stać, by zatrudniać odpowiednich specjalistów. Ja tę wiedzę posiadałem i korzystałem z niej w pracy z zawodnikami.

Rzucam hasło: Wojciech Łazarek.

Mój mentor, mój guru. Wspaniały trener, wspaniały i nietuzinkowy człowiek, osoba, która miała niepodważalny wpływ na moje życie. Od niego się wszystko zaczęło, to on mnie przygarnął, jako studenta I roku, i zrobił II trenerem piłkarskiej reprezentacji województwa gdańskiego. Dzięki niemu uczyłem się trenerki na uczelni i bezpośrednio na boisku. On mnie także ukształtował jako szkoleniowca. To jest niesamowity pasjonat piłki nożnej i potrafił, jak mało kto, zarażać tą miłością innych.

Był Pan lepszym piłkarzem niż jest trenerem czy odwrotnie?

Trudno to porównywać. Proszę pamiętać, że mój najlepszy czas w karierze piłkarskiej w Lechii przypadł na okres, gdy w ataku grali Tomek Korynt, Mirek Tłokiński czy Zdzisław Puszkarski, a w pomocy Jurek Kasalik, Zbyszek Krawczyk i ja. To była superekipa, były wyniki. Miałem wówczas kilka konkretnych propozycji z Polski, najbardziej naciskały Widzew Łódź i ŁKS, doceniano mnie jako piłkarza, ale z drugiej strony przez cztery lata studiowałem w Gdańsku po to, by kiedyś zostać dobrym trenerem. I nie chciałem się stąd ruszać. A czy byłem lepszym piłkarzem niż trenerem? Nie mnie oceniać.

To wróćmy jeszcze na moment do przeszłości, do gdańskich początków Pana kariery. Kiedyś o godzinie 9, spod Żurawia przy Motławie wypływał statek „Panna Wodna”. Była specyficzna syrena i...

Trzeba było wstawać i biec na trening. Zresztą z tą „Panną Wodną” w tle, to jest cała historia, ale w skrócie. Przez cały rok akademicki korzystałem z akademika, jednak gdy przychodziły wakacje, trzeba było szukać noclegu w innym miejscu. Ja je znalazłem na Ołowiance, w hoteliku należącym do klubu MRKS, właśnie naprzeciwko Żurawia. Mieszkalem tam do momentu, gdy wznowiane były zajęcia na uczelni, czyli do początku października. I każdego dnia kapitan jednostki ciągnął za linkę i po okolicy nioś się przesyłając ciało dźwięk. To było lepsze niż każdy budzik. Bardzo skuteczne.

Dość nostalgii. Kiedy poczuł Pan, że może być trenerem z „górnej półki”? Na przykład wtedy, gdy ze Stomilem Olsztyn awansował Pan do ekstraklasy? Wszak „Boba” znosili wówczas na rękach z boiska. A może wcześniej? Myślę, że w Lechii. Wtedy, gdy te wszystkie moje juniorskie „dzieci” ciągnąłem do góry, a one „zatrybiły” w poważnych rozgrywkach. Bo my, w pewnym momencie, graliśmy w II lidze młokosami. Owszem, było 3-4 zawodników starszych, doświadczonych, ale na przykład taki Sławek Wojciechowski zdobył pierwszego gola w II lidze kiedy nie miał jeszcze 16 lat. Może to co po-

wiem niektórzy określają jako samochwalstwo i egocentryzm, ale chyba mam gdzieś tam głęboko w sobie ten dar do wynajdywania młodych talentów. I, co może najważniejsze, po ich wyłowieniu, potrafię z nimi odpowiednio pracować.

Czyli trenerskie oko, intuicja czy coś jeszcze?

A może to, że właśnie studiowałem również tę biologię, która stała się w pewnym momencie moją wartością dodaną. Tak jak wspominałem wcześniej, trenerzy na Zachodzie mają od tego odrębnie opłacanych specjalistów i oni im podpowiadają, co, jak, kiedy, dlaczego itd. Ja na studiach biologicznych nauczyłem się nie tylko teoretycznych podstaw, ale i szczegółów, wszystkiego, co jest związane ze sportem pod względem funkcjonowania organizmu sportowca. Czyli fizjologia, biochemia, biomechanika, anatomia, nawet psychologia. A później musiałem tylko znaleźć balans między tymi wszystkimi zależnościami. Aby to zrobić przez cały czas współpracowałem z pracownikami gdańskiego AWF-u. I dużo na tym skorzystałem. Słuchałem również porad profesora Janusza Czerwińskiego, wybitnego trenera piłki ręcznej. Swego czasu specjalnie chodziłem na mecze Spójni Gdańsk, by podpatrzeć pracę nóg zawodników w obronie. To są może i drobiazgi, dla niektórych nieistotne, ale mnie bardzo przydały się w pracy z piłkarzami... nożnymi.

A Leo Beenhakker, był Pan jego asystentem. Ile wniósł nowego do Pana warsztatu trenerskiego?

Może inaczej. Zawsze chciałem być trenerem, ale również nauczycielem. By mieć prawo do przekazywania swojej wiedzy profesjonalnie, musiałem mieć również profesjonalne podstawy. Dlatego odbyłem w swojej karierze trenerskiej, często za własne pieniądze, ponad 20 stażów zagranicznych. Do Feyenoordu Rotterdam, na przykład, sam się wybrałem, wyjechałem na własny koszt, tak na totalny „spontan”. Zatrzymałem się u znajomych. Jako klasyczny Polak zabrałem ze sobą kilka

butelek „Chopina” „Belwederu” i innych takich eleganckich trunków. W książce telefonicznej znalazłem numer telefonu do Włodka Smolarka, który, jakby nie patrzeć, był ikoną tej drużyny, ale akurat w tym momencie grał w Utrechcie. Zadzwoniłem. Odebrał. Umówiliśmy się na następny dzień. Na dzień dobry dostał „Chopina”, później otrzymali te specjały inni, ważni z Feyenoordu. Ale to Włodek wprowadził mnie do klubu. Miało być krótko, a zostałem tam na dłużej, czynnie uczestnicząc w treningach. Nawet jeden sam poprowadziłem, bo chcieli zobaczyć, jakie techniki zajęć z piłkarzami prowadzone są na wschodzie Europy. A wie Pan, czym byli najbardziej zaskoczeni? Moją wiedzą dotyczącą... no właśnie, tej fizjologii, biochemii, biomechaniki itp.

A zatem generalnie sam dbałem o swoją edukację trenerską, może czasami w sposób niekonwencjonalny. A czego nauczyłem się od Leo Beenhakкера? Bardzo dużo. Głównie w kontekście couchingu na najwyższym poziomie, czyli pracy z piłkarzami w całym tego słowa zakresie. Ten zakres naprawdę jest ważny, bo skupia niemal wszystkie elementy, łącznie z psychologią i indywidualnym podejściem do każdego piłkarza. Ale pewnie nie wszyscy wiedzą, że z Leo poznałem się znacznie wcześniej, niż zostałem jego asystentem. To było właśnie podczas moich licznych stażów w Holandii.

A Leo Beenhakker, był Pan jego asystentem. Ile wniósł nowego do Pana warsztatu trenerskiego?

Może inaczej. Zawsze chciałem być trenerem, ale również nauczycielem. By mieć prawo do przekazywania swojej wiedzy profesjonalnie, musiałem mieć również profesjonalne podstawy. Dlatego odbyłem w swojej karierze trenerskiej, często za własne pieniądze, ponad 20 stażów zagranicznych. Do Feyenoordu Rotterdam, na przykład, sam się wybrałem, wyjechałem na własny koszt, tak na totalny „spontan”. Zatrzymałem się u znajomych. Jako klasyczny Polak zabrałem ze sobą kilka

butelek „Chopina” „Belwederu” i innych takich eleganckich trunków. W książce telefonicznej znalazłem numer telefonu do Włodka Smolarka, który, jakby nie patrzeć, był ikoną tej drużyny, ale akurat w tym momencie grał w Utrechcie. Zadzwoniłem. Odebrał. Umówiliśmy się na następny dzień. Na dzień dobry dostał „Chopina”, później otrzymali te specjały inni, ważni z Feyenoordu. Ale to Włodek wprowadził mnie do klubu. Miało być krótko, a zostałem tam na dłużej, czynnie uczestnicząc w treningach. Nawet jeden sam poprowadziłem, bo chcieli zobaczyć, jakie techniki zajęć z piłkarzami prowadzone są na wschodzie Europy. A wie Pan, czym byli najbardziej zaskoczeni? Moją wiedzą dotyczącą... no właśnie, tej fizjologii, biochemii, biomechaniki itp.

A zatem generalnie sam dbałem o swoją edukację trenerską, może czasami w sposób niekonwencjonalny. A czego nauczyłem się od Leo Beenhakкера? Bardzo dużo. Głównie w kontekście couchingu na najwyższym poziomie, czyli pracy z piłkarzami w całym tego słowa zakresie. Ten zakres naprawdę jest ważny, bo skupia niemal wszystkie elementy, łącznie z psychologią i indywidualnym podejściem do każdego piłkarza. Ale pewnie nie wszyscy wiedzą, że z Leo poznałem się znacznie wcześniej, niż zostałem jego asystentem. To było właśnie podczas moich licznych stażów w Holandii.



Te Pańskie holenderskie staże zaowocowały także transferem Jerzego Dudka do Feyenoordu. Ponoć Jurek nie za bardzo palił się do tego wyjazdu...

Transfer Jurka to też materiał na osobny wywiad, ale faktycznie podchodził do niego jak do jeża. Ludzie z Feyenoordu zwrócili na niego uwagę podczas sparingu, jaki jeszcze wtedy „mój” Sokół Tychy rozegrał z nimi w Holandii. Na marginesie, wygraliśmy 3:1. Później w Tychach padły finanse, nie było pieniędzy na wypłaty, ja już nie byłem trenerem i powstał totalny marazm. Zadzwonili do mnie z Feyenoordu i mówią: – przyjeżdżaj z tym bramkarzem, jesteśmy poważnie zainteresowani. A tak naprawdę, to w tym czasie Jurek rozegrał w I lidze dopiero 14 meczów. Pojechałem do niego na obóz przygotowawczy i mówię: – jedziemy. A on, że nie, że trzy dni wcześniej wziął ślub i w ogóle. Drużyna zwołała zebranie w szatni i dalej go przekonywać: – człowieku, jedź, jak się uda, to może i my dostaniemy zaległe wypłaty. Dodam, że w tym momencie Dudek nie miał ani paszportu, ani nawet prawa jazdy, aby się swobodnie poruszać. No, ale w końcu przyjechał do Gdańska. Wyładowaliśmy w Sitnie, w domu Jana de Zeeuw, który również niebagatelnie przyczynił się do tego transferu. Stremowany Jurek pyta mnie: – trenerze, ale po co ja mam tam w ogóle jechać? W tym momencie podeszła do niego moja żona i mówi: – Jurek, czym ryzykujesz? Jak ci nie wyjdzie, to najwyżej wrócisz do tej swojej Concordii Knurów czy gdzieś tam. Dudek spojrzał na nią, pomyślał chwilę i pyta: – Pani Aniu, Pani tak na poważnie?”. Na poważnie – odpowiedziała małżonka.

Koniec końców wsadziliśmy go do samolotu, a w Rotterdamie, na lotnisku, odebrał go Włodek Smolarek. Co było dalej, to chyba nie muszę opowiadać, choć byłoby co... Chociażby fakt, że gdy Jurek zdobył tytuł najlepszego piłkarza Holandii, zadzwoniono do mnie i to ja, na wielkiej sportowej gali, spocony ze stresu jak mysz, wręczałem mu nagrodę. To była dla mnie największa nagroda za moją trenerską pracę.

No to teraz powiedzenie: Niedaleko pada jabłko od jabłoni, czyli...

No tak, czyli mój syn Marcin. Fakt. Też dobry piłkarz, choć mógł być lepszy, ale pewne uwarunkowania, w tym zaniedbana i zlekceważona przez lekarzy kontuzja ścięgna Achillesa, na to nie pozwoliły. A obecnie trener. Łączy nas to, że obaj bardzo szybko podjęliśmy pracę jako trenerzy. Tak naprawdę, to nie chodzę na jego mecze, nie oglądam ich na żywo w telewizji, czasami tylko powtórki. On jest niezależny jak Statua Wolności. Owszem, był na kilku stażach ze mną, co jakiś czas podrzucam mu jakieś materiały szkoleniowe, ale to wszystko. Nic więcej. To jest jego samodzielna droga. Na razie wygląda nieźle.

Pan wprowadził Stomil Olsztyn do ekstraklasy, Marcin zrobił to samo z Wisłą Płock.

Zgadza się, ale w zupełnie innych czasach. Mało kto wie, że jego Wisła ma chyba najniższy budżet w rozgrywkach. Ale daje sobie radę, i w swoich sukcesach cały czas pnie się do góry. I oby tak już zawsze było.

Ostatnie pytanie musi być związane z gdańską Lechią. Czy biało-zieloni zdobędą w tym roku tytuł mistrzów Polski?

Jak nie teraz, to kiedy? Legia ma kłopoty właścicielskie, pozbyła się kilku kluczowych piłkarzy, w tym dwóch napastników. Z drugiej strony Lechia robi mądre, przyszłościowe transfery, jak chociażby Dusan Kuciak czy Ariel Borysiuk, typowa solidna „szóstka”, układ właścicielski jest stabilny, podobnie jak finanse. W dodatku Piotrek Nowak, dla mnie trener z mentalnością westernowego kowboja, już drugą zimę przepracował z zawodnikami i wie, co chce osiągnąć i jaką drogą ku temu celowi podążać. Jest piękny stadion, jeden z najpiękniejszych w Europie i wreszcie jest zawodnik z numerem 12. na koszulce, czyli kibice. Tak. Lechia ma potencjał i możliwości, by zostać mistrzem Polski. A czy zostanie? Tego sobie życzę.

Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał: Piotr Rymsza

Technologia dla europejskich sieci handlowych

Sescom SA z Gdańska utrzymuje technicznie placówki sieci handlowych w Europie. Wkrótce będzie do tego wykorzystywać swoją nową platformę analityczną SES BI, która wesprze procesy zarządcze w sklepach sieciowych.

Nowością będzie zastosowanie w platformie rozwiązań klasy Business Intelligence. Umożliwią one automatyczne badanie zależności pomiędzy różnorodnymi czynnikami wpływającymi na placówki, takimi jak np. zużycie energii, dane techniczne czy finansowe. W rezultacie powstaną rekomendacje przyszłych działań zarządczych, inwestycyjnych oraz serwisowych.

Projekt jest wsparty dotacją Komisji Europejskiej dla innowacyjnych małych i średnich przedsiębiorstw. Prowadzi go multidyscyplinarny zespół złożony ze specjalistów z Sescom oraz ekspertów zewnętrznych, w tym naukowców. – Nasz cel, to dostarczyć klientom nowe narzędzie do kompleksowego zarządzania placówkami, w tym budżetowania, planowania inwestycji oraz prac serwisowych. Będzie ono wspierało usługę Sescom Intelligence, polegającą



na szerokim wykorzystaniu analiz danych do zarządzania sieciami – mówi Bartłomiej Gawin, IT Director w Sescom i kierownik zespołu projektowego. Opracowano już studium wykonalności platformy, które powstało według standardu TELOS. Dokładnej analizie poddano jej aspekty techniczne, ekonomiczne, prawne, operacyjne i organizacyjne. Zbadano m.in. możliwości komercjalizacji, zapotrzebowanie rynku, potencjalnych użytkowników oraz wymogi IT dla nowego narzędzia.

– Powstał już prototyp platformy SES BI. Teraz przygotowujemy wniosek o dofinansowanie w ramach drugiej fazy programu Horyzont 2020 na działania bezpośrednio związane z wytworzeniem gotowej platformy i jej komercjalizacją – przedstawia dalsze plany Bartłomiej Gawin.

REKLAMA



CENTRUM OGRODNICZE

Drzewa, krzewa ozdobne i owocowe
Sklep ogrodniczy, kwiaciarnia
Akwarystyka



Dlaczego warto nas odwiedzić?

- Dobór roślin do każdego ogrodu i balkonu
- Fachowe doradztwo zatrudnionych ogrodników
- Największy wybór roślin (od małych sadzonek kwiatów po duże parkowe drzewa i krzewy)
- Gwarantowana, sprawdzona jakość roślin
- Porady w zakresie zabiegów ochrony roślin – zwalczanie chorób i szkodników
- Porady dotyczące sadzenia i pielęgnacji roślin
- U nas zaopatrzysz się we wszystko co potrzebujesz do ogrodu



Dwie dogodne lokalizacje

Gdańsk
 ul. Trakt Św. Wojciecha 291
 sklep: tel. 602 345 612
 dział roślin tel: 604 636 270
 akwarystyka tel: 508 799 966

Gdynia
 ul. Wzgórze Bernadowo 304
 sklep: 660 112 213

www.ogrodyjustyny.pl

Nie musisz się znać, jesteśmy po to by Tobie pomóc.

Z nami każdy stanie się dobrym ogrodnikiem.

Stwórz swoją zieloną przestrzeń lub
 zaprojektuj ją z naszym architektem.



Rośnie biznes paczkowy Poczty Polskiej

O jedną piątą wzrosła sprzedaż usług kurierskich w Poczcie Polskiej w 2016 r. w porównaniu z rokiem poprzednim. Cały rynek paczkowy dla biznesu w Poczcie Polskiej wzrósł w tym czasie o 17 proc. Narodowy Operator Pocztowy notuje również znakomite wyniki w usłudze Polecony e-commerce osiągając 70-proc. wzrost sprzedaży, w porównaniu z ostatnimi kwartałami 2015 i 2016. To oferta, z której najchętniej korzystają allegrowicze i małe sklepy internetowe.

S strategiczne porozumienia

W 2016 roku Poczta Polska dynamicznie rozwijała segment paczkowy poprzez nową ofertę i strategiczne alianse. Budując pozycję w przestrzeni międzynarodowej, podpisała porozumienie o strategicznej współpracy w skali globalnej z chińskim gigantem kurierskim STO Express, który wysyła ponad 14 mld przesyłek rocznie. Współpraca z Poczta Polska dotyczy logistyki, magazynowania, konfekcjonowania i dostarczania przesyłek na terenie Europy i Azji.

Największa sieć punktów odbioru

Dynamicznie rozwijają się także usługi z opcją odbioru w punkcie. W porównaniu do 2015 roku ich sprzedaż wzrosła o dwie trzecie. Poczta podpisała również strategiczne porozumienie z Ruchem SA, zwiększając docelowo sieć punktów odbioru do prawie 7 tys. Tym samym sieć click & collect Poczty Polskiej to dziś największa tego typu w kraju. Dodatkowo od listopada klienti sklepu prowadzonego przez Allegro – największą platformę handlu elektronicznego w Polsce – mogą korzystać z trzech rodzajów przesyłek obsługiwanych przez Poczta Polska: e-Commerce, Pocztex Ekspres 24 i Pocztex Kurier 48.

Rozwój oferty dla e-Commerce

Poczta Polska wprowadziła w ubiegłym roku nowe kategorie wagowe paczek – te najchętniej wybierane przez klientów stały się jeszcze bardziej przystępne cenowo. Paczka 48 z opcją „Odbiór w punkcie” i do 0,5 kg kosztuje tylko 8,50 zł. – Zmiany stały się dużym udogodnieniem dla przedsiębiorców z branży e-commerce. Nasze działania sprzedażowe spowodowały, że na koniec 2016 roku pozyskaliśmy o 4,5 proc. klientów umownych więcej, niż rok wcześniej – powiedział Paweł Kopeć, dyrektor zarządzający pionem sprzedaży Poczty Polskiej.

Pogłoski o schyłku „pobrania” mocno przesadzone

Klienci biznesowi Poczty Polskiej w dalszym ciągu chętnie korzystają z usługi z opcją „pobranie”. W zeszłym roku sprzedaż usług z takim rozwiązaniem wzrosła o 13 proc. w porównaniu do 2015 roku. – Oznacza to, że klienci w dalszym ciągu cenią sobie swobodę wyboru i bezpieczeństwo, pozostawiając do ostatniej chwili finalizację transakcji – podkreśla Paweł Kopeć.

Usługa Polecony e-Commerce notuje blisko 70-proc. wzrost sprzedaży

Polecony e-Commerce, oferowany przez Poczta Polska, zanotował prawie 70-proc. wzrost sprzedaży w stosunku do ostatnich kwartałów 2015 i 2016. To oferta, z której najchętniej korzystają allegrowicze i małe sklepy internetowe.

Poczta Polska oferuje usługę Polecony e-Commerce przygotowaną specjalnie pod kątem sprzedawców internetowych. Koszt przesyłki jest nadal jednym z kluczowych czynników skorzystania z oferty wybranego przez klienta sklepu. Sprzedawcy, wystawiający swój towar np. na platformie Allegro, otrzymali możliwość pakietowego zakupu usługi nadania paczek, obniżając tym samym koszt, jaki musi ponieść kupujący. Usługa odpowiada na potrzeby klientów e-Commerce w zakresie dostawy drobnych przedmiotów, takich jak: moda, kosmetyki, zabawki.

Internetowi handlowcy mogą już za 4,40 zł netto nadać paczkę w usłudze obejmującej również ubezpieczenie, trwałe kartonowe opakowanie oraz ewentualny zwrot do nadawcy.

Usługa Polecony e-Commerce sprzedawana jest w pakietach po 5, 10, 20 lub 30 sztuk. Sprzedaż pakietów prowadzona jest za pośrednictwem strony internetowej ecommerce.poczta-polska.pl. Poczta Polska doręcza pakiety z opakowaniem firmowym w ciągu dwóch dni roboczych od momentu zaksięgowania wpłaty klienta.

Poczta Polska obecnie oferuje cztery rodzaje pakietów:

- Pakiet POLECONY e-Commerce 5 – 24,99 zł netto za 5 sztuk, cena netto 5,00 zł za sztukę.
- Pakiet POLECONY e-Commerce 10 – 48,99 zł netto za 10 sztuk, cena netto 4,90 zł za sztukę.
- Pakiet POLECONY e-Commerce 20 – 91,99 zł netto za 20 sztuk, cena netto 4,60 zł za sztukę.
- Pakiet POLECONY e-Commerce 30 – 131,99 zł netto za 30 sztuk, cena netto 4,40 zł za sztukę.

Co zawiera pakiet

W ramach pakietu klienci otrzymują odpowiednią liczbę opakowań firmowych (5, 10, 20 lub 30) oraz możliwość nadania przesyłek o masie do 1 kg (lub za dopłatą o większej masie) z gwarantowanym terminem doręczenia w kolejnym dniu roboczym (pod warunkiem nadania do godz. 15) lub z terminem dostarczenia w ciągu 3 dni. W cenie przesyłki jest ubezpieczenie przesyłanej zawartości do 100 zł z możliwością rozszerzenia do 500 zł.

Usługa gwarantuje również bezpłatny zwrot w przypadku klientów Allegro oraz w przypadku nieodebrania przesyłki przez adresata.

Elektroniczna odprawa

Dużym udogodnieniem zarówno dla sprzedających, jak i kupujących jest aplikacja e-Nadawca. Dzięki temu rozwiązaniu nadawca może wszystkie formalności związane z wysyłką załatwić na domowym komputerze. Jeśli poda numer telefonu albo adres e-mail swojego klienta – poczta powiadomi SMS-em albo e-mailem odbiorcę o nadejściu przesyłki.



Grand Prix dla „Kaszubianek”

W Żukowie już po raz siódmy rozstrzygnięto Powiatowy Turniej Kół Gospodyń Wiejskich. W tym roku główne trofeum – Grand Prix – zdobyły panie ze Stowarzyszenia „Kaszubianki” z Kamienicy Szlacheckiej w gminie Stężyca. I miejsce w kategorii edukacyjnej „Pokolenia” zajęło KGW „Borkowo” (ex aequo z KGW „Sławki”), reprezentujące gminę Żukowo.



Wojciech Kankowski w towarzystwie Gospodyń Wiejskich



Rywalizacja kół gospodyń wiejskich odbywała się w kilku konkurencjach: kulinarna – „Ciasto z owocami”, edukacyjna – „Pokolenia”, moda – „Kreacja – inspiracja”, wokalna – piosenka kabaretowa z inscenizacją pt. „Jak nie my, to kto” oraz taneczna – „Z bajki”. Do ośmiu kół gospodyń wiejskich z powiatu kartuskiego: KGW „Borkowo” (gmina Żukowo), KGW „Kaszebsci Serca z Górcza” – Garcz (gmina Chmielno), KGW „Marzebiónci” – Długi Kierz (gmina Sierakowice), Stowarzyszenie „Kaszubianki” Kamienica Szlachecka (gmina Stężyca), KGW „Mściszewiczanki” – Mściszewice (gmina Sulęcyno), KGW „Sławki” (gmina Somonino), Stowarzyszenie Kobiet Aktywnych „Jezioranki” Smołdzino (gmina Przodkowo), KGW „Staniszewo” (gmina Kartuzy) dołączyło gościnnie KGW „Lutomia” z gminy Świdnica – partnerskiej gminy Żukowa.

Początek turniejowi dało uroczyste wprowadzenie uczestniczek przez Orkiestrę Dętą z gminy Żukowo pod kierownictwem Pawła Gruby. Panie z KGW wykazały się pomysłowością, humorem, a także talentami kulinarnymi. Podziw budziły własnoręcznie wykonane stroje, prezentowane tańce, no i oczywiście smakowite ciasta.

Mając trudny wybór sędziowie w składzie: Barbara Ditrich, przewodnicząca, Barbara Kąkol i Agnieszka Pestka, przyznały Grand Prix za całokształt Stowarzyszeniu „Kaszubianki” z Kamienicy Szlacheckiej.

W kategorii kulinarnej „Ciasto z owocami” najwyżej oceniono dwa zespoły: KGW „Kaszebszczę Serca” z Górcza – Garcz i Stowarzyszenie Kobiet Aktywnych „Jezioranki” ze Smołdzina.

W kategorii edukacyjnej „Pokolenia” przyznano ex aequo dwa I miejsca, które przypadły KGW „Borkowo” i KGW „Sławki”.

W kategorii moda „Kreacja – inspiracja” komisja przyznała I miejsce KGW „Staniszewo”.

W kategorii piosenka „Jak nie my, to kto?” I miejsce uzyskało KGW „Mściszewiczanki” z Mściszewic.

W kategorii tanecznej „Z bajki” I miejsce wytańczyło KGW „Marzebiónci”.

Puchar za udział w turnieju otrzymały panie z KGW „Lutomia” (gm. Świdnica).

Podczas imprezy wystąpili: Orkiestra Dęta z gminy Żukowo, zespół taneczny Rapsodia, Iga Pobłocka, Czarodzieje z Kaszub, Jass&One oraz Kris.

Kolejny Powiatowy Turniej Kół Gospodyń Wiejskich odbędzie się w przyszłym roku w Chmielnie, natomiast zwycięzca tegorocznego, Stowarzyszenie „Kaszubianki” z Kamienicy Szlacheckiej, reprezentować będzie powiat kartuski na XIV Wojewódzkim Turnieju 22 kwietnia br. w Luzinie.

Już 10 lat „Przemek (pomaga) dzieciom”



Przemek Szaliński pomaga chorym dzieciom od 13. roku życia. Przez dekadę zakupił wiele sprzętu rehabilitacyjnego, ufundował turnusy rehabilitacyjne, wyremontował i przystosował mieszkania do potrzeb chorych dzieci. Zorganizował kilkadziesiąt koncertów, aukcji, spotkań, wizyt w szpitalach dziecięcych, w których wzięli udział najpopularniejsi artyści. W sierpniu 2016 roku założył fundację „Przemek Dzieciom”.

W lutym tego roku Przemek Szaliński zorganizował kolejny charytatywny koncert gwiazd „10 lat Przemek Dzieciom”, w którym wystąpili między innymi: Halina Kunicka, Grażyna Wolszczak, Mateusz Damięcki, zespół „Homo Homini”, Edward Hulewicz, Janusz Panasewicz z Michałem Sitariskim, Andrzej Rybiński z Kacprem Rybińskim, Andrzej Seweryn. Koncert poprowadzili Zygmunt Chajzer i Roman Czejaręk, natomiast licytację jak zwykle dynamicznie prowadził Krzysztof Skiba.

Podczas imprezy wylicytowano przedmioty подарowane przez wybitnych artystów. Na miejscu można było kupić płyty, książki i gadżety z autografami znanych osobistości, a także numerowane cegiełki o wartości 70 i 90 zł. Zebrane środki zasilą konto Fundacji „Przemek Dzieciom”, która pomaga chorym i najbardziej potrzebującym dzieciom z Trójmiasta.

Patronat honorowy nad koncertem roztoczyli: rzecznik praw dziecka Marek Michalak, marszałek województwa pomorskiego Mieczysław Struk i prezydent Gdańska Paweł Adamowicz. Patronatem prasowym objął koncert m.in. „Magazyn Pomorski”.

W Gdyńskiej Szkole Filmowej dyplomy wręczono po raz trzeci. „Między nami” – film Millera zakwalifikowany na festiwal w Busan.

Młodzi, zdolni i ambitni

Filip Ignatowicz, Katarzyna Iskra, Maciej Miller, Grzegorz Mołda, Urszula Morga, Justyna Pelc, Paweł Podolski, Edyta Rembała i Piotr Wołodźko – to tegoroczni absolwenci Gdyńskiej Szkoły Filmowej. Uroczyste wręczenie dyplomów było wzruszające nie tylko dla tych, którzy je odbierali z rąk Wojciecha Szczurka, prezydenta Gdyni i Leszka Kopcia – dyrektora GSF.



Osiem krótkometrażowych fabuł i jeden dokument – to efekty dwuletnich studiów absolwentów Wydziału Reżyserii gdyńskiej szkoły. Dwa lata wytężonej pracy, 2680 godzin zajęć, przede wszystkim praktycznych, pod okiem profesjonalnych scenarzystów, reżyserów, montażyistów, praktyków i teoretyków kina zaowocowało dyplomowymi filmami, z których każdy właściwie zasługuje na uwagę, bo każdy inny, stylistycznie ciekawy, z bardzo dobrymi zdjęciami. Jedno jest pewne: skończyła w tym roku gdyńską filmówkę dziewiątka młodych, wrażliwych ludzi, którzy umieją patrzeć na świat niebanalnie, potrafią zapisać z sytuacji, którą przedstawiają w filmie, ale również wnikliwie i z uwagą opowiedzieć historię swoich bohaterów. Tegoroczni absolwenci wiedzą, co to ciężka praca i upór. I tak Filip Ignatowicz zrobił film „Nowy Bronx” o trudnych relacjach między młodymi gniewnymi, gdzieś na obrzeżach dużego miasta. Kiedy dwie nastoletnie dziewczyny walczą o chłopaka, nie ma miejsca na sentymenty. „Casting” Katarzyny Iskry jest opowieścią o ambicjach i miłości do zawodu. Młoda aktorka jest w stanie poświęcić wiele, by dostać wymarzoną rolę; nawet ironia i złośliwości starszej, nieco już zgorzkniałej gwiazdy, nie są w stanie jej zatrzymać. Być może kilkumiesięczna córeczka okaże się najlepszym lekarstwem na wszystkie rozczarowania. Dokument Macieja Millera „Między nami” zdumiewa szczerością. Para dwudziestolatek spodziewa się dziecka. Nie umieją sobie z tą sytuacją poradzić. Decydują się rozstać, a dziecko oddać do adopcji, ale nie jest to ani tak oczywiste, ani tym bardziej łatwe. I już pierwszy sukces tego dokumentu. Film „Między nami” został zakwalifikowany do międzynarodowego konkursu 34. Busan International Short Film Festival, na który zgłoszono blisko cztery i pół tysiąca filmów ze 126 krajów. Film Millera przeszedł dwuetapową selekcję i znalazł się wśród 37 zakwalifikowanych filmów. Wielkie gratulacje!

Film Grzegorza Mołdy, kolejnego tegorocznego absolwenta GSF, „Koniec widzenia” jest opowieścią o trudnym poszukiwaniu uczciwości, o wyborach młodej dziewczyny między miłością do ojca i do chłopaka, Urszula Morga w filmie „Mleko” opowiada o trudnej miłości córki i matki do tego samego chłopaka, „Przyjazd” Justyny Pelc próbuje pokazać skomplikowane relacje między matką alkoholizką a jej dorastającą córką, Paweł Podolski zrobił film „Dzieciak” o małej przemądrzałej pannicy, która może pokrzyżować wszystkie plany. Filmowy świat Edyty Rembały w filmie „Pola” jest próbą aktualnego spojrzenia na eurosieroty; dwie dziewczynki zostają z ojcem, bo mama wyjeżdża „za chlebem”; wrażliwość dziecięca wystawiona zostaje na przejmującą próbę. I film Piotra Wołodźko „Nie da się kochać” również godny uwagi, z ironią i dowcipem, ciekawy formalnie i bardzo sprawnie zrealizowany.

Tegoroczne dyplomowe filmy z gdyńskiej szkoły będą na pewno ubiegały się o możliwość prezentacji na konkursach, przeglądach filmowych i festiwalach. Wszak dyplomowe filmy absolwentów dwóch wcześniejszych roczników Gdyńskiej Szkoły Filmowej (istniejącej od 2010 roku) zdobyły już łącznie 76 nagród na festiwalach w Polsce i za granicą.

(ak)

Literacki debiut roku Program Inkubator Innowacyjności+

Rozpoczął się nabór tekstów do VI edycji konkursu „Literacki Debiut Roku” organizowanego przez Wydawnictwo Novae Res, pod honorowym patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zadaniem konkursu jest wyłonienie w danym roku kalendarzowym najlepszej powieści, która nie była dotychczas nigdzie publikowana w wersji drukowanej.



Fot. Czarna Zebra

Laureat pierwszego miejsca – Lech Grabowski wraz z Kapitułą Konkursu.

W ubiegłorocznej edycji konkursu główną nagrodę otrzymał Lech Grabowski za powieść „Podwójne przekleństwo”. - „Literacki Debiut Roku” jest inicjatywą, dzięki której odnajdujemy i promujemy utalentowanych rodzimych debiutantów, których twórczość ma za zadanie odświeżyć polski rynek literacki – wyjaśnia Wojciech Gustowski, przewodniczący Kapituły Konkursu. Uroczyste wręczenie nagród po raz kolejny będzie miało miejsce w Pomorskim Parku Naukowo-Technologicznym w Gdyni. Tradycją już się stało, że fragmenty zwycięskiego utworu czyta znany aktor. W poprzednich edycjach byli to Szymon Sędrowski, Katarzyna Figura, Ewa Kasprzyk, Anna Dymna oraz Edyta Jungowska.

Termin nadsyłania prac upływa 14 kwietnia 2017 roku. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone 30 lipca. Na laureatów pierwszego, drugiego i trzeciego miejsca w konkursie „Literacki Debiut Roku” czekają nagrody, w tym pieniężna i rzeczowa. Premiera zwycięskiej powieści – zgodnie z tradycją – będzie miała miejsce w trakcie 21. Targów Książki w Krakowie. Regulamin konkursu oraz formularz zgłoszeniowy dostępne są na stronie www.literackidebiutroku.pl.



Laureat pierwszego miejsca – Lech Grabowski wraz z Edytą Jungowską.



Efektem współpracy trzech największych pomorskich uczelni – Uniwersytetu Gdańskiego, Politechniki Gdańskiej, Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego i uczelnianych centrów transferu technologii, jest uzyskanie dofinansowania Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego na prace przedwdrożeniowe w ramach programu Inkubator Innowacyjności+. Wniosek o dofinansowanie złożyło konsorcjum w składzie: Politechnika Gdańska, Uniwersytet Gdański, Gdański Uniwersytet Medyczny oraz spółka celowa PG Excento sp. z o.o. Uzyskane środki pozwolą prowadzić przedsięwzięcia przedwdrożeniowe, promować osiągnięcia pomorskich naukowców oraz wzmocnić współpracę między środowiskiem naukowym a otoczeniem biznesowym. Łączny budżet projektu wynosi 3 750 tys. złotych.

Podczas wspólnych spotkań naukowców z przedstawicielami biznesu przedstawiane będą oferty technologiczne, wyniki badań naukowych czy usług badawczych. Dla przedstawicieli biznesu będzie to okazja do zapoznania się z ofertą uczelni. Z kolei przedsiębiorcy będą mieli możliwość przedstawienia swoich potrzeb dotyczących innowacyjnych rozwiązań, co pozwoli na ukierunkowanie prac badawczych poszczególnych zespołów naukowych.

Inkubator Innowacyjności+ to przedsięwzięcie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach projektu pozakonkursowego „Wsparcie zarządzania badaniami naukowymi i komercjalizacja wyników prac B+R w jednostkach naukowych i przedsiębiorstwach”, realizowanego w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój 2014-2020 (Działanie 4.4).

– Współpraca nauki z biznesem jest ważnym czynnikiem, który wspomaga rozwój gospodarki opartej na wiedzy i wdrażanie innowacyjnych rozwiązań do przedsiębiorstw – mówi dr Karol Śledzik, dyrektor Centrum Transferu Technologii UG.

– Naszym celem jest udoskonalenie uczelnianych mechanizmów transferu wyników badań naukowych do otoczenia gospodarczego, jak również aktywne stymulowanie współpracy nauka – biznes na różnych poziomach – dodaje Jerzy Buszke, kierownik projektu Inkubator Innowacyjności+ z Politechniki Gdańskiej.

– Szeroko rozumiana współpraca środowiska naukowego z przedsiębiorstwami stwarza możliwość prowadzenia interdyscyplinarnych badań, co znacząco wspiera działania w zakresie innowacyjności i wdrażania ciekawych projektów – stwierdza dr Katarzyna Waligóra-Borek, specjalista Sekcji ds. Innowacji i Transferu Wiedzy z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.



Człowiek jest **tyle wart**,
ile **drugiemu może pomóc...**

Święta **Bożego Narodzenia**
to czas **wyjątkowy i magiczny** -
pełny **miłości, radości, wiary i nadziei**.

W tym wyjątkowym czasie
pragniemy podziękować naszym wspaniałym darczyńcom.

To właśnie dzięki Wam mijający rok
był pełen naszego uśmiechu i radości.

Prosimy, przekaz **1% podatku dochodowego** na rzecz fundacji
Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym „Uśmiech Dziecka”.

Sprawdź na www.smiechdziecka.com.pl
jak wykorzystywane są środki przekazywane
przez naszych darczyńców.

FUNDACJA POMOCY DZIECIOM NIEPEŁNOSPRAWNYM „UŚMIECH DZIECKA”

Szklana 44, 83-334 Miechucino, gmina Sierakowice, tel./fax: 58 684 77 66

Fundacja posiada statut Organizacji Pożytku Publicznego

KRS nr 0000027416 NIP: 589-17-44-910 REGON: 192557788

Konto Bank Spółdzielczy Sierakowice nr 95 8324 0001 0000 1368 20000 0010

Od **15 lat** nieustająco wspiera nas
założyciel i największy darczyńca
właściciel firmy

ELWOZ

www.elwoz.pl

ziaja

ponadczasowa pielęgnacja



Nasza firma powstała z pasji i z chęci tworzenia preparatów leczniczych oraz kosmetyków pielęgnacyjnych o jak najprostszyc, zbliżonych do naturalnych recepturach, opartych na farmaceutycznym doświadczeniu i inspirowanych surowym nadmorskim klimatem. To dla Was tworzymy preparaty, które nie tylko doskonale wspomagają codzienną pielęgnację, ale są również źródłem przyjemności i dobrego samopoczucia.

W trosce o Ciebie i Twoją Rodzinę przygotowaliśmy wyjątkową linię pielęgnacyjną. Zainspirowały nas liście zielonej oliwki, które wspomagają pielęgnację skóry naturalnym, zdrowym i dermatologicznym sposobem.

Odwiedź nas na stronie ziaja.com i wybierz produkty idealne dla Ciebie.

moderna
Superior living

FRONT
– PARK
MOTŁAWA

W gdańskim nurcie

Osiedle z najdłuższą linią brzegową Motławy

Kameralne miejsce w Śródmieściu, kilometr od Długiego Targu,
wśród parkowej zieleni, otoczone Opływem Motławy.

Atuty Front Parku? **Temat rzeka.**

GDAŃSK

FRONT-PARK.PL